

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

POSZUKIWANIA

Nr 1-2 (70-71) Zielona Góra 2020 ISSN 1642-5995 Nr indeksu 370754



Eseje Wiersze Proza Szkice krytyczne Sztuka



Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

Redaktor naczelny
Andrzej Buck

Sekretarz redakcji
Ewa Mielczarek

Korekta
Joanna Wawryk

Stale współpracują:
Joanna Kapica-Curzytek, Małgorzata Mikołajczak, Czesław Sobkowiak, Mirosława Szott, Joanna Wawryk

Fotografie:
Archiwum „Gazety Wyborczej”, archiwum prywatne Marii Siateckiej, archiwum rodziny Koniuszów, archiwum WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, Archiwum Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, archiwum ZLP Oddziału Zielona Góra, Roman Czarnecki, Tomasz Kowalski, Kazimierz Ligocki, Aneta Michałowska

Wydawca
Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra

Skład komputerowy i opracowanie graficzne numeru
Danuta Morawska

Druk i oprawa
Dual Studio Bartosz Zajęc

Nakład – 300 egz.

ISSN 1642-5995

Nr indeksu 370754

Adres redakcji:
WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris)
e-mail: prolibris@wimbp.zgora.pl, www.wimbp.zgora.pl, www.prolibris.net.pl

Od redakcji

Łagodna i ciepła zima niemal się kończy. W oczekiwaniu na – miejmy nadzieję – piękną i typową wiosnę zachęcamy naszych Czytelników do sięgnięcia w głąb najnowszego numeru „Pro Libris”, który zawiera teksty w stałych, tradycyjnych już rubrykach, ale też sporo zaskoczeń i nowych autorów.

Wydarzeniem, które w sposób szczególny poruszyło środowisko literackie, była wiadomość o śmierci prof. Czesława P. Dutki, wspaniałego humanisty, literaturoznawcy, nauczyciela akademickiego, który wykształcił wiele pokoleń zielonogórskich studentów. Waga Jego działań naukowych, twórczych i edukacyjnych zainspirowała naszą redakcję do pomysłu, by numer jesienny „Pro Libris” poświęcić w dużej części materiałom związanym z postacią Pana Profesora. Dlatego apelujemy do Państwa o dzielenie się wspomnieniami, refleksjami i przypomnieniem tej wybitnej osoby i przysyłanie ważnych dla nas tekstów, także materiałów ikonograficznych, które pozwolą nam na ukazanie pełni sylwetki Czesława P. Dutki. W tym numerze publikujemy sygnałny tekst Artura Łukasiewicza, który miał okazję blisko się znać i współpracować z Panem Profesorem.

W dziale, który stanowi bazę prozatorsko-poetycką, odnajdą Państwo szereg wartościowych utworów, a wśród nich laureatów 20. Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Eugeniusza Pausztzy, który organizuje Kargowa pod nazwą „Małe ojczyzny – pogranicze kultur i regionów”. Zachęcamy także do zapoznania się z tekstami prozaików goszczących po raz pierwszy na naszych łamach (m.in. P. Gulewski, M. Mielcarek) oraz wierszami debiutujących w „Pro Libris” poetów (K. Koziorowska, P. Szczepański, A. Urbańska, T. Stefaniuk, W. Elbanowski).

Wyjątkowo rozbudowany dział ZBLIŻENIA skrupulatnie rejestruje ważne przedsięwzięcia kulturalne organizowane w Lubuskim na przestrzeni ostatnich miesięcy, w tym m.in. wydarzenia 9. edycji Festiwalu Literackiego im. Anny Tokarskiej Proza Poetów, galę Nagrody Literackiej im. Andrzeja K. Waśkiewicza zorganizowaną przez zielonogórski oddział Związku Literatów Polskich czy wystawy perfekcyjnie przygotowane w Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze. W numerze dostrzegamy także wydarzenia organizowane w innych ośrodkach (Gorzów Wielkopolski, Gubin, Szprotawa), które tworzą mozaikę kulturową Ziemi Lubuskiej.

Pragniemy zwrócić Państwa uwagę na ważny esej Urszuli M. Benki zamieszczony w dziale VARIETY, zatytułowany *Święta Agata i św. Naga Lalka z sex-shopu*. W cyklu KOLEKCJONER LUBUSKI prezentujemy sylwetkę Marii Siateckiej, zbieraczki kamieni, która wprowadza nas w magiczny świat swojej pasji. Znakomite ekslibrisy Agaty Buchalik-Drzyzgi, opatrzone odautorskimi komentarzami dla ich adresatów, które powierzone zostały naszej opiece, publikujemy w stałym dziale EKSLIBRIS W PRO LIBRIS.

Opracowania ważnych książek, które niedawno ukazały się na rynku wydawniczym, zamieściliśmy w rubryce RECENZJE I OMÓWIENIA. Pewnym novum, które pojawia się w czasopiśmie, jest publikacja kompletnych zestawów książek i utworów zgłoszonych na Lubuskie Wawrzyny 2019. Warta obejrzenia jest również twórczość młodej artystki, Pauliny Pochanke, która zechciała udostępnić swoje oryginalne prace dla upiększenia numeru.

Zachęcamy do lektury!

Spis treści

Władysław Edelman , Wiersze [Deszcz, Drzewo, Mgła, Rzeka]	6
Igor Myszkiewicz , Popiół	10
Agnieszka Ginko , Wiersze [Błękit, Psalm IV, Psalm V, Psalm VI]	16
Janusz Barwik , Korkociąg	20
Halina Jerulank , Wiersze [Byłam, Nie wiedziałam]	25
Piotr Gulewski , Dla Niej	27
Katarzyna Kozirowska , Wiersze [Lęk wysokości, Skalpel pióra]	33
Marcin Mielczarek , Scena pierwsza, ujęcie pierwsze, akcja, kurwa!	35
Jakub Domoradzki , Wiersze [Pędzle nie moje, Bezsensowność w B.]	41
Marcin Radwański , Natalia z czwartego piętra	44
Bogumiła Różewicz , Wiersze [Na wzgórzu, *** Dłonie..., *** Ponad zielone korony..., *** Odchodzisz, *** W ciszy..., *** Ziarnka piasku...]	47
Czesław Sobkowiak , Zapiski zimowe	53
Piotr Szczepański , Wiersze [Zawsze byłeś w innym miejscu, Annie Lennox wróć]	57
Władysław Edelman , Pewnego razu obudziłem się dziewczyną, Echo, Duch teatru	59
Anna Urbańska , Wiersze [Po co, Przewidywista, Książka, Tata]	66
Halina Bohuta-Stapel , Błogosławieństwo niespełnionych marzeń	71
Marian Bugajski , Wiersze [Modlitwa o uśmiech, Topielica]	73
Czesław Markiewicz , Tutejszość, która bywa nietutejsza	75
Tomasz Stefaniuk , Wiersze [Pod ziemią, Dziwka]	78
Łukasz Barys , Poszukiwania	80
Waldemar Elbanowski , Wiersze [*** To był film..., *** Usiadłem...]	83
Krzysztof Martwicki , Gienek	85
Beata Patrycja Klary , Wiersze [Martwia. Czterdzieści trzy lata po porodzie, Social Credit System]	88

ZBLIŻENIA

Artur Łukasiewicz , Zmarł prof. Czesław P. Dutka, barwna legenda zielonogórskiej polonistyki	90
Maria Radziszewska , <i>Od słowa do słowa</i> – wystawa poświęcona Januszowi Koniuszowi	92
Anna Polus, Agnieszka Sobiak , Benefis Alfreda Siateckiego – relacja z jubileuszu 50-lecia aktywności twórczej i debiutu literackiego	95
Eugeniusz Kurzawa , Nagroda Literacka im. Andrzeja K. Waśkiewicza	
Laury dla prof. Małgorzaty Mikołajczak	100
Żaneta Cierach , Proza Poetów 2019	102
Agnieszka Ginko-Humphries , Cukierki, anioły i kot, czyli Turniej Jednego Wiersza Dedykowany Annie Tokarskiej. [Prezentacja wierszy laureatów i wyróżnionych]	107
Dorota Kaczmarek , Noworoczne Wierszowanie... [Prezentacja wierszy laureatów i wyróżnionych]	115
Ewa Mielczarek , Mistrz Różewicz w obiektywie Zbigniewa Kulika	120
Alina Polak-Woźniak , Dawne zielonogórskie atelier fotograficzne 1858-1945 – wystawa w Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze	122

Ewa Rutkowska , Promocja najnowszej książki Łucji Fice <i>Druga strona grzechu</i>	127
Roman Czarnecki , Gubin w literackich szrankach	129
Anna Urbańska , „Dopóki ptaki śpiewają”... chce się żyć!	131
Alina Kruk , Kazimierzowi i Jadwidze Dziadoszom	134
Grzegorz Żegleń , Słowa w „obrazie miasta”	135
Tomasz Kowalski , Motywy winiarskie w krajobrazie przestrzennym i społecznym Zielonej Góry	137

KOLEKCJONER LUBUSKI

Moje minerały dają radość i szczęście. [Z Marią Siatecką rozmawia Ewa Mielczarek]	147
--	-----

EKSLIBRIS W PRO LIBRIS

Z teki Agaty Buchalik-Drzyzgi	152
-------------------------------	-----

PREZENTACJE

Paulina Pochanke	154
------------------	-----

VARIA

Urszula M. Benka , Święta Agata i św. Naga Lalka z sex-shopu	155
---	-----

RECENZJE I OMÓWIENIA

Niebawem	
Czesław Sobkowiak, <i>Powszednie niebo</i> (Urszula M. Benka)	168
Pora odlotu	
Urszula Koziół, <i>Znikopis</i> (Czesław Sobkowiak)	171
Zeszyty bibliograficzne	
<i>Zeszyty bibliograficzne ZLP</i> , Oddział Zielona Góra: nr 1 – <i>Mieczysław J. Warszawski</i> , oprac. Mirosława Szott; nr 2 – <i>Eugeniusz Kurzawa</i> , oprac. Eugeniusz Kurzawa; nr 3 – <i>Andrzej K. Waśkiewicz</i> , oprac. A. Sobecka (Czesław Sobkowiak)	172
Uduchowanie natury	
Justyna Koronkiewicz, <i>Naturalna kolej rzeczy</i> (Czesław Sobkowiak)	174
Kamień milowy popkultury	
Jacek Dehnel, <i>Ale z naszymi umarłymi</i> (Klaudiusz Mirek)	176
Po ścieżkach odniesień	
Michał Banaszak, <i>Miejsca</i> (Klaudiusz Mirek)	177
Sześćdziesiąt cztery kroki na równoważni	
Elżbieta Dybalska, <i>Białą</i> (Klaudiusz Mirek)	178

LUBUSKIE WAWRZYNY 2019	179
-------------------------------	-----

AUTORZY NUMERU	184
-----------------------	-----

Deszcz

pochwyciła mnie
nić babiego lata
uniosła
widzę
miniony świat
odwiedzam miejsca
których już nie ma
wspominam miłości
które mogły się zdarzyć
odpoczywam nad rzeką
która wielokrotnie
zamieniła się
w deszcz
śnieg
lód
łzy

Drzewo

na szkolnym podwórku
w podartych spodniach
starych trampkach
wchodzę na szczyt
jestem najwyżej
drzewo jest mizerne
młode jak ja
łamie się
lecz ja jestem zwycięzcą
z dumą podaję mamie dzienniczek
z wpisaną uwagą

Mgła

nie ma cię
znikasz
jak ja
jak ty
nie możemy się spotkać
jesteśmy
mgłą znad rzeki
nasionkami dmuchawca
niesionymi
w nieznane światy
wracamy do źródła
którego już nie ma

źródło rodzi nowe życie
nie nasze

Rzeka

urodziła mnie rzeka
niewielka
płytką
małą
jak ja
gdy w niej brodziłem
nad jej brzegiem paliłem papierosy sport
podkradane z kiosku ruchu
były w paczkach po dziesięć sztuk
i po dwadzieścia
wróciłem nad jej brzeg
nie mogę jej poznać
zmieniła się
jak my
jak ty
jak ja

Popiół

– Właściwie do końca nie wiem, co to jest – przyznał Paproch. – Obiło mi się o uszy, że to monument dziękczynny upamiętniający ocalenie od zarazy z 1314 roku, wiesz, kiedy część mieszkańców schroniła się tu, na wzgórzach za miastem i dlatego przeżyła...

Arkan Rat spojrział krytycznie na zwietrzały kamienny obelisk.

– W tej intencji zbudowano chyba kaplicę, tu obok?

– Taaa... A to może też być tylko resztką oznaczenia rewiru winiarskiego. Widzisz ten ślad? – Pomarszczona dłoń starego kustosa przesunęła się po powierzchni piaskowca. – Przed wojną była tu tablica z jego nazwą – Löbtenz.

– Co to znaczy?

Paproch zachichotał.

– Wracamy do zarazy! Uważa się, że nazwa odnosi się do radosnego tańca ocalonych.

– Znowu to samo. – Rat przewrócił oczami nad zapalonym papierosem. – Im głębiej w dzieje, tym więcej rzeczy ma kilka opowieści. Wszystko ileś razy nadpisane, pokreślone! Nawet data założenia miasta występuje w kilku wariantach, rok 1222, 1302 albo i 1323... To rozrzut ponad wieki!

– Może próbowali do skutku – zażartował (lub nie, Rat nigdy nie mógł tego z całą pewnością stwierdzić) Paproch.

Przeszedł aleją Słowackiego kawałek dalej, tam gdzie na poboczu stał wielki drewniany krzyż. Zarośla za nim rzedyły i wzrok nie napotykał już przeszkód, ze wzgórza, na którym stali, otwierał się widok na zasnutą smogiem panoramę Zielonej Góry.

– *Prasiae Elysiorum* – westchnął kustosz. – Wiesz, że nawet ta nazwa nie musi być oczywista? Pola Elijskie to przecież także...

Rat westchnął.

– Akurat znam mitologię. Ale czy to cię powstrzyma? Zaczynaj.

Zaciągnął się głęboko i wypuścił strugę dymu, patrzył na miasto. W powietrzu niosło się brzęczenie owadów.

* * *

1314

Śłup czarnego dymu wspina się w niebiosy, nie rozwiewa, mimo szarpącego jesiennego wiatru, tylko wznosi się coraz wyżej, skłębiony, tłusty, lepki. Nie słychać ptaków, nie kraczą wrony, kruki, nie skrzeczą sroki. Cisza. Martwa cisza.

– *To kraina umarłych, panie. – Przemko ze Wschowy ściga wodze rumaka. – Jedźmy stąd.*

– *Nie. To moje miasto i mój lud. Muszą mnie zobaczyć.*

Rycerz spluwa na ziemię, ale nie protestuje, a księżę Henryk IV, Piast, pan Głogowa i Poznania, rusza w stronę buchającego z wielkiej jamy ognia.

– *Zawsze wierny – mruczy z podziwem Otto, ale Otto jest tylko giermkim zapatrzonym w swego pana, zbyt mało jeszcze widział, zbyt wielu rycerskich pieśni się nasłuchał.*

Orszak podąża za księciem, giermek unosi wyżej proporzec ze śląskim orłem, tylko Przemko jeszcze się ociągga, patrzy z niechęcią na rozmyty przez deszcz wał, szczerbatą palisadę, otwartą bramę, której nikt nie pilnuje. A jednak nagle widzą jakiś ruch. Z czeluści wymarłej osady wynurza się postać w burym habicie, ciągnąc drewniany wózek. Mija księcia, rycerzy, człapie zgarbiona z osłoniętą kapturem głową.

Księżę zastawia tamtemu drogę. Wóz skrzypi, trupy kołysz się na nim jak sarta szmat.

– *Jak umarli? – pyta łagodnie Henryk.*

Przemko znów spluwa; przecież, kurwa, widać, czarne wrzody znaczą martwe twarze, czarne napuchłe języki w rozwartych jamach ust. Jednak człowiek w habicie ma inną odpowiedź.

– *Może z głodu, może z moru, panie... A może z gniewu boskiego? Tego i tego mamy tu pod dostatkiem. Mam właściwie.*

– *Twój głos... – Księżę mruży oczy. – Czy ja cię znam?*

Tamten prostuje się, odsłania twarz, niemożliwie wychudzoną, jak u tych dwóch na wozie. Na szczęście wrzodów brak. Siwe kudły unoszą się szarpane wiatrem.

– *Jestem Wolfger, sługa boży. Proboszcz...*

– *Pamiętam. Gdzie wójt?*

Wolfger wskazuje dłonią płomienie. Księżę zagryza wargi.

– *A inni? Ława?*

– *Na wozie mam dwóch ostatnich z ławy, miłościwy panie. – Wolfger pokornie schyla głowę. – Bartko i Macieja... Resztę Bóg wziął wcześniej.*

Henryk zsiada z konia, podaje giermkowi lejce. Podchodzi do szkieletu w habicie, dumny, wyprostowany, piękny. Odrzuca na ramię połę czerwonego płaszcza, kładzie dłonie na barkach kapłana.

– *Nie lękajcie się, dobrzy ludzie. Wasz księżę przybył z pomocą.*

– *Gdzie byłeś, księżę? – mówi książdź niemal niesłyszalnie. – Gdzie byłeś przez trzy lata głodu i ten rok zarazy?*

Nie spuszcza już wzroku, wbija go prosto w twarz księcia, a oczy ma jasne, ledwo błękitne, niemal białe. Henryk chrząka, widać, że chętnie by się odsunął, ale ludzie patrzą. Epos nie napisze się przecież sam.

– *Na wojnach. Cesarz, Łokietek... Bestie szarpią nasz kraj z obu stron. Dość jednak! Wasz księżę powrócił! Pomożemy wam.*

– *Pomoc? – Wolfger chyba się uśmiecha, Przemko czuje przebiegające mu po krzyżu ciarki. – Chętnie przyjmę. Na początek może mi Wasza Miłość pomóc wrzucić te trupy do ognia.*

I ten idiota się zgadza.

* * *

Oczywiście nie kończy się na dwóch truchłach. Wolfger zaprowadził ich do wielkiego budynku zajmującego plac pośrodku osady.

– *Nasza owczarnia, kiedyś, znaczy. Dziś to...*

– *Trupiańnia. Widzę przecież. – Księżę zasłania usta i nos skrajem płaszcza.*

– *Znosiliśmy ich tu, jak tylko pokazywały się wrzody, niektórzy sami przychodzili. Mór był szybki, przyszedł i odszedł, zarażeni umierali w kilka pacierzy.*

– *Ilu ocalało?*

Kapłan ściska szponiastą łapą zawieszony na piersi krucyfiks.

– Dobrzy ludzie pracują już na niebieskich winnicach, panie... Mnie jednego Bóg oszczędził, więc palę ich doczesne powłoki. Tyle dni, jednego po drugim, braci, przyjaciół, cały Kościół mój... A dziś niebiosy zesłały mi pomoc w posłudze... – Gruba łza spływa w bruzdy zniszczonej twarzy.

Więc teraz noszą te trupy, rycerze i giermkowie poowijali sobie dłonie i twarze szmatami i noszą. Wrzucają na wozy, za bramę, do jamy. Dym bije coraz wyżej, oczy łzawią, dobrze chociaż, że ścierwa lekkie, garść kości w workach wysuszonych skór. Drewniane chaty kryte szarą słomą obserwują ich oczodołami okien, otwarte drzwi, rozrzucone sprzęty, koński szkielet przed pustym poidłem.

W imię czego, kurwa... myśli Przemko, choć przecież dobrze wie, o co chodzi. A chodzi o pamięć, o legendę, o słowa. Tylko o to walczy już książę Henryk, wczoraj Dziedzic Królestwa Polskiego, dziś człowiek, który przegrywa bitwy, traci ziemie, oddaje miasta temu askańskiemu psu Waldemarowi, w zamian za pomoc w walce z kujawskim karłem... Przemko nie ma złudzeń, jego pan nie wygra tej wojny. I wie to również książę Henryk. Dlatego właśnie tu są, w cieniu wzgórza, od którego miejscowi nazwali swoje miasto. Żeby je ocalić, żeby zapisano to w kronikach, wierny książę, wdzięczny lud. Ale trochę się spóźnili.

Przemko i Otto zrzucają z wozu ostatnie truchło, włosy martwej dziewczyny znikają w kuli ognia. Koniec. Grünenberg, jak nazywa osadę Wolfger, lub Zielona Góra, jak pewnie mówili ci, co mieszkali tu wcześniej, zanim pradziadowie księcia, Henryk Brodaty i Konrad, sprowadzili Niemców, jest martwy jak i jego mieszkańcy; kraina umarłych, dolina cieni. Koniec pieśni, można wracać do Głogowa.

Niestety, kiedy dołączają do księcia, okazuje się, że jeszcze niekoniecznie.

– Powiedziałeś „dobrzy ludzie”... – Henryk jest zmęczony, pije drobnymi łykami z podanego przez Ottona bukłaka. – A ci niedobrzy?

Wolfger, który zdążył już dosięść jednego z luzaków, sztywnieje.

– Panie...

– Mów.

Orszak jedzie stępą wzdłuż rzeki, Złota Łącza płynie leniwą brunatną strugą. Jesień zabrała inne kolory, niskie niebo jest szare, drzewa pozbawione liści i czarne, na drugim brzegu majaczy płat uschniętej winnicy, dalej, na wzgórzach brzozy las. To tam patrzy kapłan.

– Bóg nie gniewa się bez przyczyny. Choć nie od razu wygubi odstępców...

– Ilu odeszło z miasta?

– Setka, może więcej, jeszcze wiosną, przed morem. Panie, oni...

Książę unosi dłoń, kapłan milknie.

– To nasz lud, klecho. Zagubiony, pozostawiony. I ocalaty. Przyszłość i nadzieja.

– Nie są już z mojej owczarni – cedzi Wolfger.

– Trupiarni – wtrąca Otto.

Kapłan garbi się w siodle. Przemko przeklina, bezgłośnie i plugawie. Już wie, co będzie dalej.

Książę Henryk uśmiecha się szeroko. Sięga do klamry i zrzuca poznaną smugami sadzy pelerynę.

– Otto, świeży płaszcz. I podaj mi mitrę. Jedziemy sprowadzić owieczki zagubione. I wyżej ten porządek!

Konie ruszają klusem. Wolfger naciąga kaptur na głowę, mamrocząc coś gniewnie. Tylko Przemko jest wystarczająco blisko, by zrozumieć słowa. Czuje gwałtowny przypływ sympatii do starego kapłana.

– Święta racja, ojczulku. Ja pierdolę!

Brzozy rosną tu gęsto, majaczą w zapadającym zmierzchu jak blade duchy drzew. Henryk orientuje się, że zostali z Ottonem sami; na wąskich leśnych ścieżkach orszak rozciągał się coraz bardziej, aż wresz-

cie stracili z oczu podążających za nimi rycerzy. Jadą więc we dwóch, książę w dumnej pozie, w monarszej mitrze na czole i giermek wznoszący wysoko proporzec z czarnym orłem. Ścieżka pnie się wciąż w górę, konie stąpają w ciszy, ich powolny chód usypia, kołysze. Kiedy książę zauważa obserwującą ich spomiędzy pni postać, zrazu nie reaguje, dopiero po chwili obraz twarzy, w której oczy ziały jak dwie czarne dziury, dociera do jego świadomości. To był ktoś drobny, dziewczyna, a może dziecko? Piast ściga wodze, odwraca się, ale widzi znów tylko drzewa, podobne jedno do drugiego i białe. Za to z przodu pojawia się blask, zapowiedź płonących na szczycie wzgórza ognisk.

Wjeżdżają na wielką polanę. Ogniska faktycznie tam płoną, a przed nimi stoi milczący tłum, czarny na tle płomieni.

– Panie? – Głos Ottona jest niepewny, drżący. I trudno się chłopakowi dziwić, bo za nimi, zza drzew wychodzą na polanę inni, którzy musieli iść za księciem i jego towarzyszem już od jakiegoś czasu, niewidoczni, bezgłośnie. A teraz odcinają im odwrót.

– Dobrzy ludzie! – Henryk stara się, by jego słowa brzmiały spokojnie i władczo. – Przybył wasz książę i opiekun! Nie lękajcie się, albowiem wasza leśna tułaczka dobiegła końca. Wasze miasto znów rozkwitnie i zabłyśnie jak cenny szmaragd mojej ziemi!

Podchodzą blisko, tłoczą się wokół koni, brudne, wychudłe dłonie wyciągają się ku jeźdźcom, dotykają szat. Henryk dookoła widzi lśniące oczy, rozkwitające uśmiechy, początkowo niepewne, potem coraz szersze i szersze, odsłaniające zęby. Spiłowane na ostro kły.

– Panie mój!!! – Schwytany przez kilka par rąk o długich i połamanych pazurach Otto wali się na ziemię, tłum zamyka się nad nim, przez chwilę ogień odbija się w wyszczerbionym ostrzu sierpa, krzyki giermka rozpylają się w gwałtownym bulgocie. Henryk sięga do miecza, ale w tym ścisku nie jest w stanie wydobyc broni. Nagle jego koń szarpie się dziko, krew tryska z boku szyi rumaka i książę spada na miękkie łasy wyciągniętych dłoni. Mitra toczy się w ciemność, kopyta karosza kopią wściekle, z rozkrojonego końskiego brzucha wylewają się śliskie wieńce jelit. Henryk wyje unoszony w stronę ognia, ale spadające na jego głowę ciosy sprawiają, że przełyka krzyki, tym razem wraz z własną już krwią.

Zrzucają go na ziemię, na kolana, czyjś but na karku nie pozwala się podnieść, choć Henryk, Henryk IV z rodu Piastów, pan Głogowa, Poznania i też Grünenbergu, na litość boską, naprawdę próbuje. Silną dłoń chwytając go za włosy, odchyła głowę do góry, ktoś podsuwa glinianą misę pod wyprężoną szyję i Henryk nagle widzi, przed czym klęczy. Przestaje się szarpać, to koniec, nie będzie pieśni i chwalebnych kronik.

Patbę musieli ulepić z gliny, wielka, pokraczna postać o proporcjach dziecka siedzi w majestatycznej pozie, przybrana splotami wyschniętych winorośli. Twarz bożka wykrzywia zimny uśmiech, jego oczy to oczy węży. Stopy figury toną w czarnych liściach i kościach, Henryk widzi splątane łuki zeber, długie kości udowe, szerokie uśmiechy czaszek. Nagle między nim a idolem staje ktoś jeszcze. Książę nie może unieść głowy na tyle, by zobaczyć twarz, ale sierp w dłoni przybysza jest już jak najbardziej w zasięgu wzroku.

– Jezu Chryste... Libera me, Domine!

Sierp jest coraz bliżej, Henryk zamyka oczy.

Świst. Głuchy jęk. Dookoła eksploduje krzyk. Zakrzywione ostrze pada między liście, a jego właściciel cofa się na załamujących się nogach, by wesprzeć się plecami o glinianego demona i tam znieruchomieć. Książę dopiero teraz widzi, że to kobieta, ubrana w płaszcz z jakichś miękkich bezwłosych skór i naszyjnik z zębów, drobnych, żółtych. Wstrząsają nią ostatnie drgawki, dłonie zaciskają się ptasio na drzewcu tkwiącego w jej piersi oszczepu.

– Wasza Miłość!

Książę pochyla głowę.

– Deo gratias. – A potem odwraca się i pewnym ruchem chwytając rzucony mu przez Przemka miecz.

* * *

Pobłądzili w tym brzozowym lesie jak dupy wołowe. Dopiero Wolfger kazał w końcu przerwać poszukiwania księcia i Ottona oraz kierować się od razu na szczyt wzgórza ku polanie, którą, jak mówił, znał. Tak zrobili, a potem zobaczyli ogniska i sprawy nabrały tempa.

Pomogło im to, że tamci nie wystawili żadnych straży, polana pełna była ludzi, choć w tę definicję akurat Przemko trochę zwątpił, gdy już potem mogli spokojnie obejrzeć trupy, które zdawały się zatracać w powolnym, ekstatycznym tańcu. Ciała skręcały się w rytm jakiegoś jęklowego zaśpiewu bez słów. Płonęły wielkie ogniska, opiekano na nich kawały ociekającego krwią mięsiwa, jemu też Przemko przyjrzy się później i nigdy już nie zdoła wyrzucić tego widoku z pamięci, a pośrodku, u stóp paskudnego bałwana, jakaś wysoka panna szykowała się, by sprawić pana tej ziemi jak wieprzka.

Przemko nie znosił rycerskich pieśni i wielkich słów, swojego pana też niespecjalnie lubił, ale na własnej robocie się znał. Przyszpilił pannę precyzyjnym rzutem oszczepu i dopiero wtedy dał sygnał do ataku. Konni wtoczyli się na polanę, rąbiąc zapamiętałe skłębioną beładnie tłuszczę. Przemko spiął ruma-ka i runął w stronę księcia.

– Wasza Miłość! – Cisnął mu własny miecz, a sam sięgnął po kiścień. Zatoczył ramieniem długi łuk, chlapnęło krwią i mózgiem.

* * *

I teraz stoi, zziąpany jak pies, zbryzgany tym mózgiem od szyszaka po buty. Ogniska dogasają, powoli wstaje świt.

– I czego się tak szczerzysz? – Wolfger wyciera sztylet o habit. Broń pożyczyl mu Przemko, jeszcze nim wjechali na polanę i wygląda na to, że kapłan będzie chciał ją zatrzymać. Niech tam, zasłużył.

– Życiem się cieszę. Ty nie?

Wolfger krzywi twarz w czymś, co może, ale niekoniecznie musi być uśmiechem. Ktoś podchodzi z książęciem proporcem w dłoniach, drzewce jest złamane, materiał pokrywa nie tylko błoto.

– Co z jeńcami? Będzie ich ze twa tuziny. Kazałem na razie spędzić na środek.

Nim Przemko zdąży odpowiedzieć, odzywa się Henryk. Nawet nie zauważyli, jak nadszedł. Brudny jak cała reszta, z gołą głową i mieczem w dłoni wygląda raczej na rycerza rabusia niż na śląskiego księcia.

– Wybić. Do ostatniego. Teraz. – W głosie Piasta dźwięczy stal. Wcześniej Przemko nie słyszał u niego tego tonu.

Kiwa głową i chwyta kiścień. Rękojeść klei mu się do dłoni.

– Ty nie. Karz ludziom, my mamy inną robotę. Ty również, Wolfgerze.

We trzech podchodzą do glinianego idola, dzień wydobywa nowe szczegóły figury, jeden bardziej paskudny od drugiego. Boże jedyny, tyle tu kości, czy one są... ogryzione? Henryk nawet nie musi nic mówić. Przy akompaniamencie dobiegających z tyłu wrzasków trzej mężczyźni drzewcami włóczni rozbijają bałwana na kawałki. Potem Wolfger chwilę jeszcze mamrocze modlitwy nad gładami gliny.

Gdy już zapada cisza, książę Henryk staje pośrodku polany.

– Tu powstanie kaplica. Dom boży na poświęconej ziemi. – Nie jest to przepowiednia, lecz rozkaz.

Orszak wraca do miasta, kilku rannych chwieje się w siodłach, dwa konie biegną bez jeźdźców. Przed owczarnią książę zatrzymuje rumaka.

– Pochodnia.

Wolfger podaje władcy żagiew, ten ciska ją na pokryty słomą dach.

– Tu stanie ratusz.

Ogień rozlewa się szybko w krwistą ścianę. Henryk IV wciąż stoi na tle płomieni, nie zwracając uwagi na potężniejący żar.

– Nowe miasto potrzebuje ratusza.

Potem wreszcie odjeżdżają, zostawiając za sobą wspinający się w niebo słup dymu, którego nie jest w stanie rozwiać słaby, jesienny wiatr.

* * *

1323

Nie poznaje Grünenbergu. Wał sroży się świeżą palisadą, ratusz stoi, co prawda mały i drewniany, ale nie o budynki, nowe i odbudowane, naprawdę chodzi. To ludzie, wypełniają gwarem główny plac, rozbawieni, pijani... Żywi. Książę pan sprowadził ich ze wschodu i zachodu, z kraju karła i z Marchii; chłopów, rzemieślników, klechów. Znów złoczą się pola i zielenieją winnice, tu i tam turkocze warsztat tkacza.

Przemko pociągga miód z dzbanu. Myśli o martwej ciszy, którą zapamiętał.

Rozlegają się wiwaty. Henryk wraz z landwójtem pokazują się w drzwiach ratusza. Książę trzyma zwój pergaminu obciążony ciężkimi pieczęciami.

– Prawa miejskie! Dziś narodziło się nowe miasto, wasze miasto!

Okrzyki, śpiewy, wiwaty. Przemko bierze łyk miodu, ociera wąsy rękawem. Słucha.

– I oby wasz nowy Grünenberg był miastem zasobnym i bezpiecznym!

– Stara się. I pamięta. Oddał nawet kraj pod protekcję papieską, uwierzysz? – mruczy Wolfger. Stoi obok, też z dzbanem, najwyraźniej nie pierwszym tego dnia. – Prasiae Elysiorum, kurwa mać...

– Niech żyje nasz książę pan, Henryk IV Wierny! – ryczy tłum.

Przemko, sącząc miód, myśli teraz o pieśniach i kronikach. W uszach dźwięczy mu cisza sprzed dziewięciu lat i nic nie może jej zagłuszyć.

– Skoro już zeszlśmy na trudne słowa... Czy jest jakaś uczona nazwa na księgę, z której ktoś wykrobał litery i potem na nowo...

– Palimpsestus. A co? – Przez chwilę w przekrwionych oczach Wolfgera jest tylko miód, potem dołącza doń zrozumienie. – Napijmy się. Szybko.

Piją, rosty rycerz i stary kapłan, piją tego i od serca. Pije i książę Henryk, Lotar, nowy giermek napełnia jego puchar, przepija do władcy nowy wójt i poważni mężczyźni z miejskiej tawy. Dookoła nich lud Grünenbergu też pije, śpiewa i tańczy, przed ratuszem, na ulicach, na popiołach.

Błękit

Smuga błękitu
pojawia się nad ranem,
przenika spojrzenie.
W błękitcie łzy
stapiają się z niebem,
odchodzą w siną dal.
W błękitcie przychodzi
ten kolejny miesiąc, rok,
który ratuje nas przed dzisiaj,
przed rozpaczą teraz.
W błękitcie rozpoczyna się
równoległe życie
i płynie ławicą.

lipiec 2019

Psalm IV

Szczęśliwy, kto w upadku ma upodobanie
i wstawaniu z kolan,
wtulony w słowo.
Jak wielu opiewa lament
i kłania się nicości!
Skąpani w piwie jak Wenus
larwy, larwy widzą jeno.
Lecz to, co jest, to pozostanie
i na nic tu płacz i zgrzytanie zębów.
Jak wielu opiewa lament!
Gubią się żywi, zgubieni są umarli.
Szczęśliwy, kto w upadku ma upodobanie
i wstawaniu z kolan.
Wiatr go nie zrani, deszczu się nie złęknie,
wtulony w słowo.

Psalm V

Okryj, okryj mnie piórami,
 do jasności mnie prowadź,
 gdy pokusa liże stopy.
 Bo wróg śledzi nas pod mikroskopem
 i z pęsetą w dłoni.
 I nie będzie się z nami cackał.
 Wystarczy jeden podpis
 własną krwią.
 A w zamian życie all-inclusive
 i full wypas.
 Ale nie będzie się z nami cackał.
 I dusza do kapelusza,
 a kapelusz fik i znikł.
 Okryj, okryj mnie piórami,
 gdy pokusa liże stopy.
 Do prawdy prowadź
 prostej jak dłoń dziecka.

Psalm VI

Błogosławiony, który jesteś i będziesz,
 kiedy stoję w słońcu i kiedy w nim zniknę.
 Daj mi słowa i siły, aby
 w przyrzeczonej chwili
 sprężyć się sięgać po swój los,
 jak na trampolinie, śmiejąc się jak kuglarz.
 A lecąc w dół, zrobić salto
 i odbić się w górę szerokolistnie.
 Daj mi słowa i siły, aby
 w przyrzeczonej chwili
 biec na bosaka w kierunku morza,
 oddychać słonym powietrzem,
 podskakiwać z piskiem,
 mieć apetyt na kolejny skok.
 Daj mi słowa i siły, aby
 w przyrzeczonej chwili
 rozczesywać włosy w ogrodzie,
 głaskać brzuchy kwiatów.
 Błogosławiony, który jesteś i będziesz,
 kiedy stoję w śniegu i kiedy w nim zniknę.

Korkociąg

Zdawała się nie mieć końca ta wiosna. Kończyłem wtedy studia i wprowadziłem się na kilka miesięcy do mieszkania należącego do mojego brata, który wyjechał z kraju na staż w jakiejś firmie w Niemczech lub Holandii. Jeśli o mnie chodzi, to niczego mi nie brakowało. W nowym miejscu nie udało mi się zadzierzgnąć żadnych nowych znajomości, a co za tym idzie – nie miałem powodu, żeby wychodzić na miasto i wydawać pieniądze. Miałem natomiast wielki wór palonych ziaren kawy zakupionych na wietnamskim targu, które co dzień z rana pracowicie mełłem, oraz stypendium za osiągnięcia w nauce, które starczało mi na stołowanie się w pobliskim barze mlecznym.

Wybierałem się tam właśnie pewnego przepętnionego miękkim blaskiem popołudnia, przeglądając w myślach katalog klasycznych dań serwowanych w mojej jadłodajni, kiedy natknąłem się na nie najgorzej prezentujący się fotel wiklinowy, wystawiony pośród innych rzeczy obok śmietnikowej altanki. W mieszkaniu mojego brata było wszystko, czego potrzeba do wygodnego mieszkania; wszystko oprócz wiklinowego fotela, który można by bez wyrzutów sumienia wystawić na słabo osłonięty przed wiatrem i deszczem balkon i w którego objęciach oddać by się można lekturze albo wypalić zasłużonego papierosa.

Kilka dni później, zainstalowany wygodnie w moim wiklinowym znalezisku, obserwowałem sponad książki i spomiędzy sztachet balkonowej barierki starania pewnej dziewczyny. Z wysokości drugiego piętra i z pewnego oddalenia mogłem ocenić, że musiała mieć coś koło trzydziestki. Ubrana była w robocze ciuchy i nowe buty do biegania o żywych kolorach i widziałem jeszcze, że poruszała się z pewną elegancją czy może po prostu swobodą. W regularnych odstępach czasu wynosiła do śmietnika coś, co z oddali wyglądało na pełne ciemnej materii słoiki i powiązane sznurkiem sterty starych gazet. Przy jednym z takich podejść zawahała się, ustawiła na ziemi karton i popatrywała na niego najpierw z góry, po czym usiadła na ziemi po turecku i zgarbiona przeglądała jego zawartość. Po namyśle wyciągnęła jedną z wielu, jak się później przekonałem, winylowych płyt z jej okładki i ustawiła ją na opartym o ścianę altanki kartonie.

Kiedy wracałem do mieszkania, niosąc przed sobą mój najświeższy łup, spotkałem ją na klatce, taszczącą w dół stromych schodów nieporęczny moduł meblościanki.

– Och, jak dobrze, że się komuś przydało – powiedziała, unosząc brodę wysoko ponad krawędź mebla. – Miałam straszne wyrzuty sumienia, że to wyrzucam.

Przytrzymując drzwi wejściowe stopą, tak żeby mogła przejść, podziękowałem jej uprzejmie i wyjaśniłem, że moja przyjaciółka, którą miałem odwiedzić we Wrocławiu latem, uwielbiała płyty winylowe, a że i ja z chęcią przesłuchałbym je w międzyczasie. Byłaby to druga rzecz, której w domu mojego brata brakowało, mimo że gramofon miał.

Podczas naszej krótkiej rozmowy na klatce schodowej szybko zauważyłem, że dziewczyna miała w sobie taki rodzaj spokoju, który udzielał się rozmówcy, dzięki czemu sytuacja ta nie wydała mi się ani trochę krępująca. A przecież mogła taką być.

– Na dziś już skończyłam – powiedziała – ale następnym razem, jak tu będę, to zapraszam do mieszkania. Jest tam więcej takich skarbów, coś może wpadnie ci w oko. Możesz też wziąć znajomych, jeśli masz ochotę. Raz jeszcze dziękuję, że je przysyłałaś.

I tak to się zaczęło. Odtąd dzieliłem swój czas pomiędzy mozolne pisanie pracy magisterskiej, literackie próby i wieczory spędzane z dziewczyną o imieniu Józefina. Chodziło, krótko mówiąc, o wysprzątanie mieszkania po jej zmarłym stryju. Dziwne to było zajęcie i począwszy od momentu, w którym najbardziej oczywiste śmieci zostały uprzątnięte, ani ja, ani ona nie mieliśmy pojęcia, jak postępować dalej z piętrzącą się przed nami masą rzeczy. W idealnym świecie każda z nich zapewne by się komuś przydała i nie musiałaby iść na zmarnowanie, powiedziała Józefina, oprowadzając mnie po raz pierwszy po mieszkaniu. Podczas gdy ja rozglądałem się jeszcze, ona zabrała się za wiązanie książek sznurkiem w poręczne pakiety. Tak wtedy, pierwszego dnia, jak i później czerpałem dużą przyjemność z obserwowania jej przy pracy, której oddawała się bez reszty.

Prawda jest taka, że mimo iż żadne z nas nie było miłośnikiem przedmiotów ani zapalonym ich zbieraczem, obydwie mieliśmy duży problem z wyrzucaniem nieswoich rzeczy na śmietnik. Z czasem wypracowaliśmy system wstępnej selekcji, który polegał na odkładaniu poddawanych pod rozwagę przedmiotów do poszczególnych wydzielonych na podłodze w przedpokoju stref. Rzeczy, które przydałyby się komuś z nas, rzeczy przeznaczone na sprzedaż w internecie, rzeczy, które przydałyby się może osobom potrzebującym i wreszcie strefa przedmiotów o wartości sentymentalnej. Nierzadkie były jednak sytuacje, kiedy przedmiot przeznaczony na śmietnik już następnego dnia zostawał przenoszony do najbardziej prestiżowej strefy pamiątek sentymentalnych, a przedmioty, które odłożyliśmy dla siebie, wędrowały prosto do kontenera.

I tak siedzieliśmy pewnego razu oparci o ścianę niemalże opróżnionego pokoju i wpatrywaliśmy się w rozpostarte na ziemi kunsztownie wykonane zaświadczenie o przynależności stryja Edwarda do cechu zegarmistrzów.

– Piękne – powiedziałem, podziwiając odręcznie namalowane winiety, zredukowaną do prostych brył postać rzemieślnika w skórzanym fartuchu, słoneczny zegar oraz odsłonięty mechanizm zegarowy. – To pewnie rzadkość.

– Sześćdziesiąty pierwszy rok – powiedziała Józefina, pociągając łyk piwa z trzymanej za szyjkę butelki. – Pamiątka dla kuzynów? Nie bardzo. Nie sądzę, żebyś chciał to mieć w domu, bo ja na pewno bym nie chciała. Biednym się nie przyda, ale ładne i szkoda wyrzucać. Myślisz, że ma jakąś wartość?

– Nie wiem – odparłem niezadowolony już do żadnej pracy kategoryzacyjnej.

Wcześniej tego dnia wyniosłem na śmietnik niezbędny z narzędziami do roweru, dokładnie taki, na jaki przed nastaniem zimy bezskutecznie polowałem na aukcjach internetowych. W takim właśnie byłem stanie. Pociągnąłem łyk piwa i odparłem pytaniem na pytanie:

– Czy udało ci się już coś sprzedać?

– Stojak na parasole miał sześćdziesiąt wyświetleń. Skórzany plecak z wojskowymi guzikami dobił do setki, ale nikt nie zaczął licytować.

Pracowaliśmy w coraz większym odklejeniu, a zadania nie ułatwiała nam skala przedsięwzięcia. Brałem, pamiętam, przedmiot do ręki i pytałem siebie: a jeśli ja tu teraz zadecyduję, że to by mi się przydało, to czy będę konsekwentny i podejmę taką samą decyzję w przypadku setki innych rzeczy o podobnej wartości? Czy ja będę to miał gdzie trzymać? I tak, przytłoczony wizją góry nieprzebranych jeszcze rzeczy, odkładałem przydatny nawet przedmiot do strefy śmietnikowej. Takiego rodzaju były to dylematy i tak płynne były moje punkty odniesienia.

O stryju Józefiny dowiedziałem się podczas tych prac tyle, że mogłbym z powodzeniem sporządzić wpis do Wikipedii na jego temat. Dowiedziałem się, w którym roku i gdzie przyszedł na świat, gdzie skończył szkołę i dlaczego nie skończył studiów. Na licznych w mieszkaniu zdjęciach mogłem oglądać wizerunek miłości jego życia, od lata roku 1967, kiedy się poznali, do jej przedwczesnej śmierci w wieku lat 55. Nie mieli dzieci, udzielali się natomiast w licznych zrzeszeniach oraz prowadzili dość bujne życie towarzyskie, czego żywym znakiem były sporadyczne telefony dalszych znajomych, którym umknął fakt śmierci siedem-

dziesięcioletniego zegarmistrza amatora. Tak czy inaczej, jak to się zwykle dzieje, odchodząc, pozostawił po sobie sporej wielkości wyrwę w rzeczywistości. Fakt, że wraz z nim hurtem przepadła również wartość należących do niego przedmiotów, sytuował się na mało istotnym marginesie tego braku, a mimo to, tamtej niekończącej się wiosny, często nawiedzało mnie dojmujące poczucie kruchości ludzkich ustaleń.

Na przekór, a może właśnie dlatego kontynuowałem swoje próby literackie, poddając się fascynującemu mnie od dawna urokowi wizji postapokaliptycznych. Nie szło mi za dobrze, to prawda. Mój bohater przemierzał opustoszałe miasto, w którym różnorodność funkcji i pozycji piastowanych przez jego mieszkańców ustąpiła miejsca bardziej egalitarnemu modelowi, w którym nie było przegranych choćby dlatego, że jedyną stawką było utrzymanie się przy życiu. W mojej fantazji karty bankowe mogły służyć co najwyżej dzieciom do zabawy, po hierarchiach nie było nawet śladu, a zasady gry zostały zredukowane do minimum. „Rzeczywistość odarta z iluzji”, zanotowałem na górze arkusza. Wszystko to jednak było dosyć płaskie i im dłużej zajmowałem się fizycznym przeglądaniem materialnej spuścizny po panu Edwardzie, tym mniej miałem serca do opisywania, będących toposem gatunku, wypraw po zasoby.

Pewnej nocy, popijając jedną z nalewek, których wiele wciąż zalegało w głębokich szafkach stryjskiej kuchni, usnąłem w moim wiklinowym fotelu. We śnie przewodziłem grupie ocalałych, która zrobiła wypad poza mury będącego naszym schronieniem bloku mieszkalnego. Była to wyprawa w przeszłość, naszym zadaniem było bowiem zbadać przyczyn naszej godnej pożałowania kondycji. Zamiast jednak zanurzyć w przeszłości ręce po łokcie i dowiedzieć się, co nas załatwiło, od samego początku byliśmy w odwrocie. Ucieczka trwała nieskończenie długo, a kiedy wreszcie znaleźliśmy schronienie w naszej twierdzy, okazało się, że zagrażające nam niebezpieczeństwo, którego nazwy ani natury po przebudzeniu za Chiny nie mogłem sobie przypomnieć, wlewało się już przez okna i drzwi, a nawet przez dach. Tak więc przeszłość, z której mieliśmy czerpać wiedzę, a która miała być odległa i uśpiona jak bakterie w szczepionce, wdarła się do naszej teraźniejszości. Była tuż, tuż. Zbudziłem się przed świtem zmarnięty mimo grubego koca, którym owinałem sobie nogi. Mrok nocy poszarzał i gdzieś z bardziej wysuniętego na wschód końca miasta zaczynały dochodzić moich uszu spieszne trele rannych ptaków.

– Wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? – zapytała retorycznie, mocując się z drzwiczkami kuchennej szafki, którą próbowała rozebrać na części. – Najgorsze jest to, że nigdy nie wiem, czy coś, co wyrzucamy, nie przydałoby się jeszcze komuś. Podejmuję tu sobie jakieś arbitralne decyzje, a nie jestem przecież jedynym spadkobiercą.

– Tak, ciężko wyrzuca się nieswoje rzeczy – odparłem.

Robiliśmy, co w naszej mocy, żeby jak najwięcej z tego uratować. To i owo udało się odłożyć dla jej lub moich znajomych, jakiś drobiazg poszedł na internetowej aukcji i nieraz rzeczy wystawione w widocznym miejscu pod blokiem znalazły sobie nowego właściciela. Dwa kartony książek oddaliśmy do pobliskiej biblioteki, a znośnie wyglądające ubrania trafiły do kontenerów PCK. To, co pozostało, a co w naszych oczach posiadało jeszcze jakąś wartość, wywoziliśmy stopniowo do sklepu charytatywnego.

I tak pewnego razu, wiedząc, że będę przejeżdżał w jego pobliżu, zarzuciłem na ramię brezentową torbę pełną zimowych akcesoriów, w tym staroświeckiego śpiwora i, żeby uniknąć pustych przebiegów, dociążoną maszyną do szycia. Dzień był wyjątkowo ciepły, a ludzie w komunikacji miejskiej wyjątkowo mało wspaniałomyślni, toteż gdy dotarłem na miejsce, byłem złany potem i miałem szczerze dość całego tego sprzątania, ludzi i wszystkiego innego. Obsługująca sklepik kobieta poprosiła mnie, żebym zrzucił ładunek w małym magazynku na zapleczu, po czym podziękowała mi z wdzięcznością, co nieco poprawiło mi humor, nie powstrzymało jednak narastającego od rana bólu głowy.

Skołowany i wykończony usiadłem z butelką wody w cieniu wiaty na pobliskim dworcu autobusowym, czekając, aż leki, które zażyłem, zaczną działać. Czasem, kiedy zbliża się choroba, wszystko wydaje mi się odstręczające. Tak i tamtego dnia nie mogłem wprost patrzeć na przewalający się przez dworzec

tłum. Coś bliskiego odrazy wzbudzały we mnie drobne niedoskonałości, takie jak zapięty na tylko jeden z dwóch zaczepów plecak, plama błota na czyjejs nogawce czy kolor spranego T-shirtu opinającego się na zaczerwienionym męskim karku. Z odrazą pomyślałem także o swoich projektach i o wszystkim, czego w życiu dokonałem. Przez chwilę byłem wręcz przekonany, że postapo jest tu i teraz, że wszyscy jesteśmy nieco zniekształceni i przesunięci i zmuszeni jesteśmy żyć z tym, co nam pozostało. Nie wiem, w jaki sposób dotarłem tamtego dnia do domu.

Za oknem, a jednak brzmiąc tak blisko, jakby nic nas od niego nie odgradzało, rozległ się dźwięk pęknięcia. Pęknięcia starej deski, suchego pnia i wreszcie czegoś wielkiego i stawiającego ogromny opór. Odgłos przerodził się w ciężki, znajdujący drogę do mojego podbrzusza, przeciągły grzmot. Zbliżyliśmy się do okna, obserwując pędzący z zachodu na wschód szkwał i smugę cienia połykającą coraz to nowe połacie miasta. Deszcz pachniał świeżością i ulgą i pewnie stałbym tam, patrząc, jak wiatr szarpie gałęzie drzew, a deszcz obmywa drobne, zielone ich liście, gdyby nie oślepił nas blask, po którym nastąpiła ciemność i cisza. Zaczynając pracę w mieszkaniu, zawsze włączaliśmy radio, które zagłuszało doprowadzający nas do szaleństwa odgłos tykających zegarów w nietkniętym przez nas jeszcze pokoju stryjskiego Edwarda. Teraz jednak urządzenie zamilkło i uparcie milczało, a manipulowanie przy korkach nad drzwiami wejściowymi nie przyniosło rezultatu. Tykanie złało się w jedno z gwałtownymi uderzeniami deszczu o okna zachodniego pokoju i spowijało nas przez następne pół godziny, dopóki nie przywrócono prądu w całym budynku. Wydarzenie to było swojego rodzaju wstępem do małej katastrofy, która miała miejsce kilka dni później, a która stanowiła ostatni punkt naszej znajomości.

Byliśmy wykończeni, co tłumaczy może trochę, dlaczego sprawy obrały taki, a nie inny obrót. Czytałem sobie jakąś książkę do magisterki w moim wiklinowym fotelu, kiedy pod blok zajechała biała półciężarówka. Kiedy zorientowałem się, że dwóch mężczyzn zaczęło wynosić do niej zegary należące do stryjskiego Edwarda, zerwałem się na równe nogi i pobiegłem do mieszkania na górze. Chciałem upewnić się, że działa się to za przyzwoleniem Józefiny, dziwnym wydało mi się bowiem, że nie zadzwoniła po mnie jak zawsze, kiedy przyjeżdżała kontynuować porządków. Natknąłem się na nią w przedpokoju, wycofaną i zatroskaną. Obserwowała w milczeniu pracę mężczyzn zdejmujących ze ściany tak nas przecież irytujące zegary i wynoszących je systematycznie z mieszkania. Mogło ich być około setki. Pośród zwyczajnych, masowej produkcji zegarów znajdowało się kilka kunsztownie zdobionych, niewątpliwie starych mechanizmów.

– Oddałam je zrzeczeniu zegarmistrzów, w którym udzielał się stryj. Najcenniejsze sztuki przekażą do nowo powstałego muzeum zegarmistrzostwa, a resztą mają się podzielić.

– Dobrze, że się komuś przydadzą – odparłem.

– Dobrze, a jednak trochę szkoda – powiedziała, by po chwili, jakby na swoją obronę, dodać: – Nie spędzę przecież kolejnego roku, próbując każdemu z nich znaleźć nowy dom.

To był ostatni raz, kiedy rozmawialiśmy. Podziękowała mi wtedy za pomoc i powiedziała, że z resztą poradzi sobie sama. Widziałem ją jeszcze kilka razy z mojego punktu obserwacyjnego na balkonie i pomachała mi przyjaźnie na powitanie, ale na tym koniec. Tydzień później wyjechałem z miasta odwiedzić przyjaciółkę we Wrocławiu, obroniłem pracę magisterską, a potem bardzo długo szukałem pracy. Podarowane mi przez Józefinę książki przeczytałem i oddałem do pobliskiej biblioteki, bo od tamtej pory przez dłuższy czas nie odczuwałem najmniejszej choćby potrzeby gromadzenia przedmiotów.

Zachowałem jednak drewniany korkociąg w kształcie papugi, który w ostatniej chwili wyłowilem z kartonu pełnego drobiazgów przeznaczonych na śmietnik. Szkoda mi go było wyrzucać, a że nie miałem dla niego lepszego zastosowania, pozostał zawieszony w tej strefie przejściowej, jaką była wyściełana gładką podszewką kieszeń mojej coraz bardziej wyblakłej kurtki. Z zawstydzeniem przypominam sobie, że z początku żywiłem cichą nadzieję, że mógłby mi on może służyć za coś w rodzaju amuletu, chroniącego mnie przed zawrotem głowy zawsze wtedy, kiedy dociera do mnie, jak szybko biegnie czas.

Nie jest jednak prawdą, że papuga na nic mi się nie przydała. Pewnego dnia spotkałem przypadkiem znajomego i poszliśmy napić się wina nad rzeką. Zaczynało się wtedy znowu jakieś lato. Tamtego dnia na błoniach odprężyłem się, jakbym wiedział, a przytłoczony skwarem i zamknięty w swoim rozżaleniu nie mogłem przecież podejrzewać, że gdzieś poza zasięgiem mojego wzroku powstało niewielkie poruszenie, że coś się wreszcie ruszyło.



Byłam

Byłam dotykiem
Powietrzem
Muśnięciem
Mgłą która znika
Na polach po świcie
Byłam na krótko
Mrówką jaskółką
Żeby zaistnieć
W czyimś życiu

Nie wiedziałam

Nie wiedziałam
 że łyż są takie słone
 Ale oczyszczą to
 co jest do zmycia
 Żeby już nigdy
 przenigdy nie cierpieć
 a używać życia

Dla Niej**Prolog: Christopher Sparrow**

„To jest pieprzona wojna”. Wstając z miejsca, Richard Miles uderzył pięścią w blat, a następnie rozejrzał się wokół na zgromadzonych przy stole. Choć jego przywództwo było w gruncie rzeczy jedynie na szczeblu lokalnym i w całości organizacji był tak naprawdę nic nie znaczącym pionkiem, nie przeszkadzało mu to w tym, by czuć się Królem, który decydował o losach wielu znajdujących się pod jego rozkazami poddanych. Gdyby któryś z nich śmiał być nieposłusznym lub wręcz nawet okazać sprzeciw, w imieniu władcy wyrok wykonałaby jego prywatna gwardia. Na skinienie jego ręki byli zarówno drobni złodzieje, jak i profesjonalni zabójcy, zdolni wyeliminować niepożądany element bez mrugnienia okiem.

Pomimo tego, że byli wygodnymi narzędziami, Miles nie ufał im w pełni. Uważał ich za chciwych głupców, gotowych zdradzić go dla pieniędzy, gdy tylko natrafi się na to dobra okazja. Oczywiście, zdarzały się też i wyjątki, niebędące w jego oczach skończonymi idiotami. Oprócz tych od brudnych zadań, w szeregach jego podwładnych czasem trafiali się godni wprowadzenia do najbliższego kręgu współpracowników – jego osobistej rady ministrów.

Zbierała się ona w pełni jedynie w wymagających tego przypadkach, ale nie zmieniało to faktu, że jej członkowie byli w stałym kontakcie, bo tego wymagało prawidłowe funkcjonowanie dystryktu. W końcu Król był tylko jeden, a leżące u jego stóp miasto – pełne ludzi, jak przystało na stolicę Kanady, Ottawę.

– Jeśli czegoś nie zrobimy, będziemy mieć poważny problem. – „Lub raczej ja będę go miał”, pomyślał.

Jeśli wyższy szczebel dowiedziałby się o tym, co od niedawna zaczęło się dzieć w jego rejonie, bez dwóch zdań zostałby szybko odsunięty od ukochanej pozycji w sposób raczej nieprzyjemny, a tego bał się najbardziej. Kiedyś usłyszał, co działo się z tymi, którzy nie spełniali postawionych przed nimi wymagań. Łagodnie mówiąc, byli „wymazywani” z kart historii...

– Mamy do czynienia z profesjonalistami. Zasrańcy dobrze sprzątają po każdej robocie. Sprawdziłem bazę policji. Nie mają nawet jednego odcisku palca – odezwał się siedzący na lewo od przywódcy Michael „Zero” Goldenwire, poprawiając swoje okulary. Był on hakerem, a jego „resort” zajmował się kontrolą przepływu informacji w mieście. – Może nie mam Talentu mojego załosnego kuzynka, ale jestem pewny, że to wszystko – dodał pod nosem i z grymasem na twarzy wrócił wzrokiem do ekranu swojego laptopa.

– Bez jaj. Sam widziałem, do czego są zdolni. Dawno nie natknąłem się na tak brutalne egzekucje... – włączył się do dyskusji Żelazny Blake Brooke. Ten przydomek zawdzięczał swojej oślawionej legendami wytrzymałości na rany i choć na pierwszy rzut oka mógł wydawać się zwykłym bezmózgim mięśniakiem, był wyjątkowo lojalny i dyskretny w swoich działaniach. Jak do tej pory to właśnie on i jego najemnicy odnieśli największe straty, więc Miles mógł być pewien, że w tych ciężkich czasach miał w nim sojusznika.

– Cóż, pozałują tego. – Bawiąc się ostrzem długiego noża myśliwskiego, zakapturzony mężczyzna splunął na podłogę. Choć zazwyczaj przedstawiał się jako Mrok, Miles wiedział, że naprawdę nazywał się James Irving i pomimo bycia dość nieprzewidywalnym człowiekiem, nadrobił swoim Talentem, gdyż był on niesamowicie użyteczny zarówno przy planowaniu eliminacji przeciwników, jak i fortyfikacji pozycji sojuszników.

– Tylko bez żadnych nierozważnych ruchów. Ulice też milczą na ten temat – wtrącił Henry White, przywódca lokalnej szajki narkotykowej.

„Z takim nazwiskiem nic dziwnego, gdzie skończył...”, Miles skomentował w myślach, przypominając sobie pewną postać z popularnego serialu. Lekko szczerowaty wygląd White’a budził w Milesie niesmak, ale jego pragmatyczna natura i chłodna logika nieraz okazywały się przydatnymi doradcami w sytuacjach, kiedy wyjątkowa ostrożność była konieczna.

– A ty? Co o tym sądzisz? – Osobą, do której zwrócił się Richard, był zasiadający na przeciwległym krańcu stołu ostatni ze zgromadzonych i zarazem najbardziej tajemniczy ze współpracowników – V.

Nawet sam Miles nie wiedział prawie nic o tym kryjącym swoją twarz pod przypominającą dziób średniowiecznego lekarza zarazy maską osobniku, jednak przypuszczał, że był on kimś bogatym i wpływowym, prawdopodobnie przysłanym przez przełożonych. Pomimo to, czuł, że V jak na razie stał po jego stronie i trzymał aktualne wydarzenia w sekrecie.

– Ktoś poluje na naszych ludzi. – Odpowiedź była krótka, ale wniosła do dyskusji więcej niż wszystkie pozostałe, powodując, że w pomieszczeniu zapadła cisza, choć ta po części mogła też być spowodowana modulatorem, jakiego używał V, by nadać swojemu głosowi demoniczny charakter.

Organizacja, do której należeli Miles i jego doradcy, mogła kontrolować z cieni całą stolicę, jednak w gruncie rzeczy nadal była poniekąd przestępczą, a na pewno taką, o której zwykli ludzie nie powinni wiedzieć. Z tego powodu, dla zmniejszenia ryzyka większość z należących do niej kompleksów mieściła się pod powierzchnią ziemi. Oczywiście, licząc tylko te, do których dostęp miał Miles, który był świadomy tego, że skrywano przed nim wiele sekretów. Ale z czasem miało to się zmienić. Miał pewien plan, jak wspiąć się na wyższe szczeble w hierarchii i rozszerzyć swoje królestwo poza Ottawę, przejmując kontrolę nad całą Kanadą i nie tylko. Potem miał przyjść czas na kontynent, a następnie – cały świat. Jednak, dopóki istniało to zagrożenie, marzenia musiały chwilę poczekać.

– Co do...? – Miles niemal podskoczył w miejscu, gdy nagle z oddali dobiegł charakterystyczny dźwięk – wystrzał broni palnej. Dla każdego, kto spędził wystarczająco czasu w tym świecie, był to dźwięk bardzo znajomy i niemożliwy do pomylenia. Co ważniejsze, nie było powodu, żeby tutaj się rozległ.

„Czyżby któremuś od Brooke’a puściły nerwy? Nie, to nie mogło być to. Przecież znają konsekwencje takich zachowań. Żaden z tych imbecyli nie strzeliłby w tym miejscu bez uzasadnienia”, Miles przetknął ślinę, próbując się uspokoić, ale po chwili z sąsiedniego pomieszczenia nadeszła kolejna seria, potwierdzając jego najgorsze obawy.

– To muszą być oni! Jak...?! – wykrzyknął Żelazny Blake, zrywając się z krzesła w stronę swojej strzelby Kel-Tec KSG. Pozostali poszli w jego ślady, także zaczynając się zbroić. Nawet sam Miles dobył zza pasa swoją ulubioną broń – połączony rewolwer Smith & Wesson Model 500 ze sprofilowanym uchwytem z kości słoniowej. Nie chciał wierzyć, żeby ktokolwiek był w stanie przebić się przez przygotowane przez jego ludzi linie obrony, ale pewności nigdy nie za dużo. Nie mówiąc już o tym, że pragnął osobiście wpakować przysłowiową ostatnią kulę w łeb przywódcy grupy, która ośmieliła się zaburzyć porządek jego królestwa.

Strzałem nie było końca. Przeplatane były narastającymi krzykami rannych i umierających. „Wygrywamy? Przegrywamy?” Niepewność pojawiła się w myślach Milesa. Skoro ci tajemniczy napastnicy byli w stanie zacierać swój trop do tego stopnia, musieli być siłą, której nie powinno się lekceważyć. „I to wszystko powstało tuż pod moim nosem...” Westchnął. Obwinił swoich podwładnych o zaniedbania, które doprowadziły do stanu, w którym jego imperium stanęło nad przepaścią. „Nie pozwolę im się tu panoszyć!” Postanowił, zaciskając swoją dłoń na uchwycie rewolweru.

W tym momencie drzwi do pomieszczenia gwałtownie otworzyły się i do środka wleciały dwa martwe ciała. Należały do najemników Brooke’a i choć Miles nie znał ich imion, był pewien, że nawet dziś mignęły mu już ich twarze. Około godziny temu grali ze swoimi towarzyszami w pokera, a teraz...

– Ognia! – Widząc pojedynczą ciemną sylwetkę w progu, Miles wydał rozkaz, starając się ukryć w swoim głosie strach. Bał się śmierci i był gotowy na wszystko, by jej uniknąć.

Jednak żaden z pocisków nawet nie zbliżył się do napastnika, który w porę odskoczył, osłaniając się za kolumną, zza której lekko wychylił się i wystrzelił pojedynczą kulę. Ta z chirurgiczną precyzją trafiła Żelaznego Blake’a dokładnie między oczy.

Muskularny mężczyzna upadł martwy na podłogę, drastycznie osłabiając ofensywny potencjał grupy. Choć strzelba była bronią o najwyższych szansach skutecznego zatrzymania intruza, nie było czasu, aby ją podnieść.

„Kim on do cholery jest?” Miles nie dowierzał w to, co widział. Ruchy ich przeciwnika były perfekcyjne, jakby cały scenariusz tej strzelaniny miał już od dawna ułożony w głowie. „Czyżby był posiadaczem Talentu tak jak Mrok?” Bardzo prawdopodobne, ale nawet jeśli, o tak silnym Talencie Miles jak do tej pory nie słyszał. Dla tego mężczyzny kule nie stanowiły najmniejszego utrudnienia i jedynie przy minimalnych unikach tańczył wśród nich bez choćby bycia drażnionym przez którąś.

Napastnik wyrzucił jeden ze swoich pistoletów i z niewiarygodną łatwością złapał w powietrzu rzucony z ukrycia przez Irvinga nóż. Następnie płynnym ruchem odrzucił go prosto w gardło właściciela, jednocześnie podrzucając nogą niedużą blachę, która przyjęła na siebie większość z nadciągających pocisków. W międzyczasie przeskoczył przez barykiadę i wykonując przewrót, dwukrotnie pociągnął za spust.

– Giń, śmieciu! – wykrzyknął Miles, przeładowując swój rewolwer. Żałował, że zabrakło czasu na większe przygotowania, przez co zostało mu już tylko pięć ostatnich pocisków, a przeciwnik zbliżał się z niepokojącą prędkością. Pomimo tego, że strona Milesa miała olbrzymią przewagę liczebną, jej straty były druzgocące. „Najważniejsze, żebym ja przeżył”. Nerwowo zaśmiał się. „Przecież nowych pacholków można znaleźć wszędzie...” Pomyślał, nie zauważając, że był już jedyną pozostałą na nogach osobą i w końcu stał się celem intruza.

Miles krzyknął z bólu i głośno przeklął, kiedy kula trafiła go w prawy nadgarstek. Jego broń wyleciała w powietrze, ale zanim miała szansę upaść, drugi wystrzał odrzucił ją w kierunku ściany. Trzecia raniła go tuż pod kolanem, po czym upadł na podłogę, uderzając tyłem głowy o kant szafy.

„Co jest z tym człowiekiem? Czemu nie mogę go zabić?!” Miles z przerażeniem spojrzał na stojącego nad nim mężczyznę. Z powodu otrzymanych obrażeń czuł w ustach metaliczny smak krwi, a jego wzrok stracił ostrość, jednak mimo tego utrudnienia, nadal był w stanie dobrze ujrzeć twarz i sylwetkę mierzącą do niego osoby.

Był on ubrany w długi, czarny płaszcz ze złotymi guzikami, a na jego głowie znajdował się filcowy kapelusz z rondem, do którego po lewej stronie przymocowane było sporej wielkości sokole pióro. Oprócz wzmocnienia na lewym rękawie nie miał na sobie żadnych form ochrony, choćby kamizelki kuloodpornej. W jej miejscu Miles zauważył złoty łańcuch z krzyżem, do którego przymocowane były dwa nieduże okrągłe przedmioty. „Czyżby pierścienie?” Nie był pewien.

Jednak najgorsza była jego twarz. Patrząc na nią, Miles nie był w stanie opanować strachu. Choć właśnie w pojedynkę rozstrzelał ponad 20 osób, na jego ubraniu nie było widać ani jednego śladu krwi, a jego jasnobłękitne oczy były pozbawione emocji. W połączeniu z zaprezentowanymi przez niego umiejętnościami wydawał się wręcz być maszyną stworzoną do zabijania, zwiastunem rozpaczki, która powoli zaczęła paraliżować Milesa.

– Amy Whitfield? Mówi ci coś to imię? – Niespodziewanie napastnik zadał pytanie, a ton jego głosu okazał się być równie bezuczuciowym.

„Whitfield... Whitfield...” Miles desperacko próbował sprawdzić swoją pamięć, jednak przez groźbę śmierci nie był w stanie wystarczająco się skupić. Niezależnie jak mocno się starał, to nazwisko nie przychodziło

do niego w żadnej formie, jakby nigdy wcześniej go nie słyszał. Przez moment rozważał, by skłamać, ale jak długo nie wiedział, dlaczego ta kobieta była poszukiwana, i to wiązało się z dużym ryzykiem. Nie mówiąc już o tym, że pytający nie wydawał się kimś, kogo łatwo byłoby oszukać.

– Niewiedza błogą jest... – Nie odwracając wzroku od Milesa, ubrany na czarno mężczyzna przycisnął palec do spustu, nie zdając sobie sprawy z tego, że za jego plecami powoli powstawała jedna z jego poprzednich ofiar.

Był to Mrok. Pomimo poważnej rany, nadal żył i używając resztek swoich sił, ruszył w stronę strzelby i po jej zdobyciu wymierzył w stronę intruza. „Jednak ci z Talentem są niesamowici!” Miles z trudem powstrzymał się od wybuchnięcia śmiechem. Jak do tej pory nie darzył ich zbytnią sympatią, głównie z zazdrości, gdyż sam nie był posiadaczem żadnego. Starając się zbytnio nie wpatrywać w stronę zasadzki, poczuł przypływ ulgi, jednak wiedział, żeby tego choćby w najmniejszym stopniu nie okazywać. Nie chciał, żeby jego wróg domyślił się, że szala zwycięstwa oddała się. Nie do momentu, w którym będzie już za późno na reakcję, a była to już tylko kwestia sekund...

Mrok wystrzelił w stronę odwróconego do niego plecami mężczyzny, jednak w tym samym czasie ten odwrócił dłoń z pistoletem, wysyłając na ślepo pocisk wprost w lufę Kel-Teca. Był to strzał oddany w idealnym momencie, zanim śrut zdążył ją opuścić, przez co doszło do reakcji, w wyniku której broń eksplodowała, odrywając ramię Irvinga i uśmiercając go tym razem na dobre.

Widząc to, Miles zamarł. W jego dotychczasowej opinii sceny takie jak ta działy się jedynie na filmach, więc doświadczając tego własnymi oczami, zrozumiał, że był to już koniec. Żaden z jego ambitnych planów nie zostanie zrealizowany, a królestwo, na które pracował całym swoim życiem, rozsypie się. „I wszystko za sprawą pojedynczego człowieka...” Nie wiedział, czy stała za nim jakaś większa grupa, ale nie obchodziło już go to więcej. Poddał się, zostawiając ten problem następnym, których ten mężczyzna w czerni wybierze za swój cel.

– Był twardy. Zemsta sprawia, że człowiek pokonuje swoje limity, ale nigdy nie zmienia tego, kim jest się naprawdę. Zwykły Inżynier Wojskowy nigdy w pełni nie zostanie Zabójcą – skomentował krótko napastnik. – A teraz, wróćmy do tego, na czym skończyliśmy... – Poprawiając swój kapelusz, raz jeszcze wymierzył do Milesa. – Do zobaczenia w piekle.

Po czym rozległ się huk połączony z rozbłyskiem światła i ostatnim, co zauważył Richard Miles, był fakt, że użytą bronią była Beretta M9.

*

Pustka. To było idealne słowo, by nazwać stan, w którym się znajdowałem. Sam nie wiem, czego spodziewałem się, przychodząc tutaj, ale wiedziałem, że było to konieczne. Nikt inny oprócz mnie nie był w stanie odwrócić dotychczasowych ról łowcy i zwierzyny i co najważniejsze, pomścić najdroższą mi osobę.

Jednak okazało się, że mój główny cel nadal nie został osiągnięty. Ta kryjówka, którą konsekwentnie tropiłem przez ostatnie cztery miesiące, była tylko jedną z wielu i to w dodatku nie główną. Choć przeszkukając budynek i ciała, nie znalazłem wielu nowych wskazówek, to te, które odkryłem, sugerują istnienie swego rodzaju siły wyższej, wydającej rozkazy i otrzymującej regularne raporty. Czyżby przywódca tej kryjącej się pod symbolem płonącej róży organizacji? Nie mogłem być pewny, ale niezależnie przez jak wiele trupów będę musiał przejść, znajdę go i zabiję.

W każdym razie, wyglądało na to, że zdobyłem tożsamość łącznika pomiędzy Ottawą a wyższym szczeblem. Dismas Hardin. Był w moim wieku i też posiadał Talent, choć nie wiedziałem jaki. Swoją drogą, wydało mi się to dziwne, że tyle informacji na temat jego osoby leżało na widoku. Można byłoby pomyśleć, że ktoś tej rangi powinien poruszać się do znacznego stopnia w cieniach, zdradzając swoje dane jedynie

niezbędnym ludziom. Może miałem wyjątkowe szczęście? Mało prawdopodobne. Choć fortuna zazwyczaj mi sprzyjała, tym razem wyglądało to na świadome wystawienie. Jakby ktoś przewidział, co się stanie i pozostawił „pomocny” trop, bym za nim bez zastanowienia ruszył... A ja, świadomy tego, że pewnie okaże się to pułapką i tak mam zamiar to uczynić.

– Amy... Dorwę ich. Przysięgam – wyszeptałem, wpatrując się w efekty mojej pracy.

Choć ze wszystkich stron otaczała mnie krew, trupy i zapach benzyny, nie czułem kompletnie nic wobec tego widoku. Zasługiwali na śmierć. Znacznie brutalniejszą od tej, którą im dałem. Oni wszyscy byli tacy sami. Byli moimi wrogami, odpowiedzialnymi za śmierć niewinnej osoby... Żałowałem, że nie mogłem sobie pozwolić, aby prawidłowo zająć się tym ludzkim ścierwem. Obdarłbym każdego z nich żywcem ze skóry i zrobiłbym to tak, by zbyt szybko nie umarli. W końcu byłem w tym ekspertem...

Na myśl o cierpieniu, przez jakie przeszliby, na mojej twarzy pojawił się nieznaczny uśmiech. Mogłem być sadystą, ale by pokonać jednego potwora, niezbędna była jeszcze większa bestia. Przecież w naturze silniejszy zjadał słabszego, więc jeśli pragnąłem zwyciężyć w tym pojedynku, musiałem być gotowy na wszystko.

– To jest ich wina. Gdyby nie tamten napad na bank, nic by się nie stało. Wzięlibyśmy spokojnie ślub... Bylibyśmy szczęśliwi... – Ale stała się tragedia. Kiedy po śmierci wuja Benjamina poszliśmy razem do siedziby Królewskiego Banku Kanady, do budynku wtargnęła grupa uzbrojonych mężczyzn w maskach z płonąącą różą na fioletowym tle.

Zabili strażników i terroryzując cywili, zaczęli włamywać się do skarbca. Obiecywali, że jeśli będziemy posłuszni, nic złego nam się nie stanie, ale wtedy jeden z pracowników banku aktywował alarm. Przez to zabili go, a ja zrozumiałem, że tak naprawdę nikt nie był bezpieczny. Nie za bardzo obchodziły mnie losy innych, obcych osób i nawet własnego zdrowia nie ceniłem na wiele, ale nigdy nie pozwoliłbym na to, żeby Amy stała się krzywdą. Była i nadal jest najważniejszą osobą w moim życiu, dlatego choć wiązało się to ze splamieniem mych dłoni krwią, postanowiłem wziąć sprawę w swoje ręce.

Zakradłem się do jednego z przestępców i po cichu skrzyłem mu kark. Okazało się to niespodziewanie proste i w pewien dziwny sposób satysfakcjonujące... Potem następnego. I kolejnego... Aż do momentu, kiedy ich towarzysze zdali sobie z tego sprawę i doszło do strzelaniny.

Pomimo przewagi liczebnej, to właśnie ja okazałem się zwycięzcą. W strzelaniu nigdy nie było mi równych. Czy tego chciałem, czy nie, to był mój Talent. Nie poszedłbym tak daleko, by przyznać, że byłem w stanie przewidywać trajektorie lotu pocisków, ale nadal w każdych warunkach potrafiłem posłać kulę dokładnie tam, gdzie tego pragnąłem i unikać tych nadchodzących w moją stronę.

Kiedy upewniłem się, że zagrożenie zostało całkowicie wyeliminowane, zacząłem szukać Amy. Kazałem jej ukryć się i przeczekać, aż będzie już bezpiecznie, bo wiedziałem, jak łatwo jest być ranionym rykoszetem i stan, w jakim znajdowało się większość pozostałych osób, tylko to potwierdzało. Wielu było poważnie rannych lub nawet martwych, jednak mnie to nie interesowało. Dla mnie liczyła się jedynie Amy.

I w końcu ją znalazłem. Leżała na marmurowej posadce w kałuży własnej krwi. Nie wierzyłem własnym oczom i chciałem, by wszystko okazało się pomyłką, koszmarem, z którego wkrótce miałem się obudzić, ale nie zanosilo się na to. Moje wspomnienia z tamtego momentu są niewyraźne, wypełnione białym szumem, jednak nie ma w tym nic dziwnego. W jednej chwili załamał się mój cały świat i jeśli ufać temu, co wydedukowałem później, Amy została postrzelona dwukrotnie w brzuch. Wydaje mi się, że próbowałem zatamować krwotok, lecz było już na to za późno. Zmarła w moich dłoniach...

A teraz, po dwóch latach nieustającego polowania, nareszcie dokonałem pierwszego kroku na drodze do wymierzenia sprawiedliwości. Stałem w progu i odpaliłem zapalniczkę. Nawet jeśli nie rzuciłbym jej, płomień wkrótce i tak wszedłby w reakcję z unoszącymi się dookoła oparami paliwowymi, więc musiałem działać szybko.

– Chris... – niespodziewanie, łagodny kobiecy głos wyszeptał moje imię. Tylko jedna osoba zwracała się do mnie w ten sposób i była to... – Wiedziałam, że dasz sobie radę. – Miała na sobie śnieżnobiałą suknię ślubną, oplamioną szkarłatem krwi, a jej twarz osłonięta była welonem, zza którego widoczne były trupio-błada skóra i martwe brązowe oczy, przypominające o tym, że pomimo braku widocznych na jej ciele śladów gnicia, ta osoba już od dawna nie żyła. Nawet teraz, pomimo tych wszystkich zmian, bez problemu byłam w stanie ją poznać. Była to Amy Whitfield – odebrana mi siłą jedyna miłość mojego życia.

– Nie poddawaj się. Wiem, że wszystko pójdzie po twojej myśli. Do samego końca będę przy tobie – mówiąc to, podeszła kilka kroków bliżej. Zapach jej ulubionych cytrusowych perfum przebijał przez wszystko, powodując, że lekko zakręciło mi się w głowie. Korzystając z mojej chwili zawahania, Amy podłożyła swój rękaw pod zapalniczkę. Materiał jej sukni szybko zajął się ogniem, a od niego wszystko dookoła.

– Niedługo spotkamy się ponownie – powiedziała, kiedy jej sylwetka zaczęła ginać wśród płomieni i dymu. – Kocham cię, Chris. – Z oddali usłyszałam jej zanikający głos, jednak nie mogłam już dłużej zostać. Gdybym tu zginął, wszystko poszłoby na marne.

– Ja ciebie też, Amy. I nigdy nie przestanę – rzuciłam i ruszyłam w stronę wyjścia, po drodze odkopując na bok płonącą płachtę z symbolem róży. Tym razem zapłonęła ona naprawdę, stając się zapowiedzią wojny, którą właśnie wypowiedziałam. To, co pozostawiłam dziś po sobie, w połączeniu z faktem, że jedna osoba uciekła z mojej zasadzki, powinno być jasnym komunikatem dla moich przeciwników. Nie wiem, jakim cudem do tego doszło, ale w głównej sali obrad zauważyłam dodatkowe krzesło, na którym dosłownie jeszcze chwilę przed moim dotarciem ktoś siedział. Cóż... Chyba mogłam na drodze wyjątku sobie na to pozwolić, zwłaszcza że musiałam skupić się na moim nowym celu. Dismasie Hardin, nie wiem kiedy, ale niedługo spotkamy się i nie będzie to dla ciebie zbyt przyjemna wizyta.



Lęk wysokości

Ledwie napoczęty schyłek
wypożyczonego słońca;
skarłale życie, co się boi prosić o śmierć.
Jestem gotowa, by uderzyć głową
o kant nieba – wszyscy giną kolejno
w sidłach horyzontu.
Składam myśli jak do modlitwy –
czerwone gwiazdy południa ranią
przejrzyste palce.
I tak wszystkie pragnienia znikną
za zakrętem zapomnianej mowy światła.
Jałowy strach, co nawrócił się
i powrócił z piekła,
czai się za szybą łez.
I mogłabym iść dalej, dopóki nie pozbędę się
przywłaszczonego nazwiska.
Pada śnieg, topi się szkarłat
mojego serca; na to liczyłam, sprzedając
niedokończony poemat. Poemat o ślinie
tak gorzkiej i szorstkiej, że nakarmimy ją
czerstwym chlebem.
Potknę się jeszcze raz, nim zza włosów
zrodzi się obietnica, o której trudno rozmawiać.
Tak będzie z każdym krokiem, aż w pył
się przemieni ostrze mojego języka.
Życie ma ironiczne poczucie humoru –
urodziłam się bez pozwolenia
na piśmie.
I jedynie strach, co zapach ma
Twojej płonącej skóry – uda się tam, gdzie ptaki
mają lęk wysokości.

Skalpel pióra

Wyglądam zza
brudnej, zapomnianej szyby snu.
Wciąż brakuje za ciasnej łyzy,
by mogła paść owce mojej pamięci.
Znika za rogiem kolejna historia –
słony uśmiech jest niemodny.
Zagrałabym to inaczej, ale nikt nie wierzy
w moją przypadkową śmierć.
Mięsiste słońce spoziera
zza czerwonej ściany przepaści;
złoty szron rozczarowania
osiada na rzęsach duszy.
W dłoniach rodzi się załazek nocy; nie ma nikogo,
kto zdołałby przekreślić puentę.
Nim przyłożysz czerstwe oko
do dziurki klucza, przekrocz wzdętą chmurę
Twojej apokalipsy; czekają na Ciebie ptaki
niczych wspomnień.
Dziś ktoś inny dzierży skalpel pióra;
rano spotkałam go pośród czerni lustra.
I zanim przekłuje stalówką
wzdęty brzuch poematu, nikt nie wysłucha.
W jego twarzy jest coś znajomego; to kobieta,
choć myśli ma męskie.
Uśmiecha się zalotnie, choć szczeka sina od zarostu.
Zanim na czoło wtoczy się
kolejny nieudany dzień, zima będzie chuchać
nam w stopy, aż nie dostaniemy prawowitej czkawki.
Pot na Twojej skroni jest znamieniem strachu;
sucha skóra marzenia,
nad którym każdy czuwa.
Wspomnij koślawe, drżące słowa matki:
„Mieszkasz tam, gdzie wygodnie jest
Twojemu sercu”. Nie posłuchałam jej,
ssę spopielając kość świtu.
Nawet motyle lepszych dni giną
w głuchej kołysce dłoni.

Scena pierwsza, ujęcie pierwsze, akcja, kurwa!

Za oknem słońce znajdowało się już dość wysoko, kiedy to siedziałem w kuchni i pichciłem na śniadanie spaghetti bolognese z butelką piwa w ręce. Byłem w trakcie smażenia mięsa, kiedy zadzwonił do mnie kumpel. Odstawiłem browara i odebrałem.

- No co tam? – rozpocząłem rozmowę.
- Co robisz?
- Śniadanie.
- O drugiej?
- Późno się kładę i późno wstaję.
- Dobra. Nieważne. Wpadniesz do mnie? Jest sprawa.
- Nie bardzo mogę. Piję właśnie trzecie piwo.
- Na śniadanie?
- Na kaca.
- To przyjadę po ciebie.
- Kiepsko się czuję.
- Nie pierdol. Jesteś mi potrzebny.
- Skoro tak, to chyba nie mam wyboru. Przyjedź za godzinę. Albo za dwie. Muszę się przespać.
- Będę za pół. Nara.
- Odłożyłem telefon.
- Kurwa mać!

Mięso od spodu zdążyło się pięknie przypalić.

Eryk przyjechał pięć minut wcześniej, niż zapowiedział. Ja i on byliśmy kumplami z liceum. Może nie jakimś najlepszymi, ale dobrymi kolegami ze szkoły. Potem nasze drogi w sposób naturalny się rozeszły – pojechał do Łodzi studiować w szkole filmowej, gdzie utrzymał się niecały rok. Niedawno wrócił z Niemiec, gdzie zarobił sporo forsy, ale co dokładnie tam robił, nie wiem. Ciągłe opowiadał co innego.

- Chcesz spaghetti?
- Nie, dzięki. Nie mogę od kilku dni tknąć jedzenia.
- Co się dzieje?
- Chodzi o film. Przez niego nie mogę jeść. No i właśnie w sprawie tego filmu przyjechałem do ciebie.
- Do mnie? A co ja mam wspólnego z filmami?
- Przecież piszesz, nie? Kiedyś pisałeś pięć opowiadań tygodniowo.
- Cztery. I to było dawno. Teraz piszę jedno na miesiąc.
- Tak czy inaczej chciałbym, abyś pomógł mi przy dialogach. Zawsze miałem z tym głównym problem, ale przynajmniej wiem, kiedy są chujowe. A właśnie są. Nie umiem zrobić, żeby były lepsze.

– Co to za film? – spytałem, zakładając spodnie. Do tej pory rozmawiałem w samych gaciach i koszulce. Powoli się ubierałem, łażąc z kąta w kąt, bo szukałem rzeczy w tym moim burdelu.

– Pornol.

– Pornol? I masz problem z dialogami?

– To nie jest zwykły pornol. Nie chodzi o rżnięcie.

– A o co ma chodzić w porno?

– No głównie o rżnięcie. Ale to będzie ambitniejszy projekt. Za pomocą porno chcę dać światu jasny komunikat. Nie godzimy się na kapitalistyczny wyzysk szeroko pojętych pracowników dużych firm i korporacji.

– I chcesz o tym mówić w takim filmie? Nie możesz nakręcić jakiegoś dokumentu? Albo reportażu?

– Nie. Forma akurat jest odpowiednia. To ma być pornos. Tylko dialogi są w nim liche. Trzeba je podszlifować.

– No dobra. Pomogę ci, ale nie obiecuję, że coś z tego będzie. I stawiasz mi browca. Jestem na ostrym kacu. Suszy mnie jak cholera.

– Nie ma problemu.

– W takim razie możemy jechać.

– Jeszcze skarpety.

– Co? – spytałem, zakładając szarą, tweedową marynarkę.

– Skarpety. Masz boscie stopy.

Spojrzałem na swoje stopy.

– Faktycznie. Okej. Zakładam skarpety i możemy jechać. Tylko po drodze nie zapomnij wstąpić do sklepu.

– Nie bój żaby.

Ubrałem się w końcu i pojechaliśmy.

Eryk miał niezłą brykę. Białe cabrio z twardym dachem. Saab 9-3 w wersji aero. Prawdziwa poezja.

– Powiedz mi, co trzeba robić w Niemczech przez pół roku, żeby kupić takie cacko? Chcę takie samo.

– Mówiłem ci już. Pracowałem jako kelner w Lorenz Adlon Esszimmer. Z samych napiwków miałem tyśiąc euro na tydzień.

– Przecież ostatnio mówiłeś, że jeździłeś w tym Berlinie na uberze. To jak?

– Nic podobnego. Kelner w restauracji.

Oczywiście kręcił. Co jakiś czas zmieniał wersję swojej przeszłości. Wydaje mi się, że prawdziwa była ta o prostytutce. Kiedyś wygadał się o tym podczas ostrej alkoholowej libacji. Powiedział, że pracował przez kilka miesięcy w agencji jako żigolo. Pukał stare Niemki. Zarzekał się, że tylko stare Niemki i czasami trochę młodsze. Ale głównie te po sześćdziesiątce. O mężczyznach nie było mowy. Zresztą, nic mi do tego. Mógł bzykać kogo chciał, to jego sprawa.

Zostawiliśmy saabę w garażu – to była ciężka rozłąka – i udaliśmy się windą na czwarte piętro. Eryk miał duże, niezłe urządzone mieszkanie, w porządnej okolicy. Weszliśmy do środka. Kręciło się tutaj kilka osób.

W salonie – który miał chyba ze trzydzieści metrów kwadratowych – znajdował się plan zdjęciowy. Wszystkie meble zostały wyniesione. Z wyposażenia stało tutaj tylko jedno drewniane krzesło, na środku leżał sporych rozmiarów materac, a w kącie była wysoka lampa. Nic więcej. Na materacu siedziała para. Kobieta w białym szlafroku i chłopak w złotych gaciach. Domyśliłem się, że to aktorzy.

Eryk usiadł na krześle z napisem „Director”. Ja usiadłem obok, na podobnym, ale bez żadnego napisu. Nigdy nie byłem na żadnym planie zdjęciowym, ale ten sprawiał wrażenie profesjonalnego.

– Mam pytanie – odezwał się do Eryka, który wertował kartki. Chyba scenariusza.

– Tak. Robię za reżysera i kamerzystę. Ta kamera kosztowała mnie prawie trzy tysiące euro. Nikt nie może jej dotykać oprócz mnie.

– Nie o to.

– To co?

– Masz dla mnie to piwo?

Eryk podniósł głowę i rozejrzał się po pokoju. Jego wzrok spoczął na dziewczynie poprawiającej aktorze makijaż.

– Kamila, przynieś panu tekściarzowi butelkę piwa z lodówki.

– Najlepiej dwa – dodałem. Eryk spojrzał pytająco. – Dla siebie dwa.

Dziewczyna wstała i zaraz wróciła, wręczając mi dwa przyjemnie lodowate piwka. Podziękowałem jej. Otworzyłem butelki o siebie i pociągnąłem z jednej solidnie. Tego mi było trzeba.

– Dobra, słuchaj mnie teraz. Krótki zarys całej fabuły. On jest młodym chłopakiem pracującym w dużej korporacji. Wiadomo, urabia się po pachy, nadgodziny, weekendy i to wszystko za psi chuj. Ona jest jego przełożoną. Bogatą, znudzoną życiem piczą z pieniędzmi. Między nimi wywiązuje się romans, w którym główną oś stanowi ruchanie. Akcja toczy się przez jeden dzień. Siedzą tylko w tym pokoju, gdzie naprzemiennie rozmawiają, śpią i się pieprzą. I jak już pewnie zauważyłeś, mamy tutaj prostą metaforę odnoszącą się do kapitalizmu. Pracownik dyma dla pracodawcy, tak? Jednocześnie pracodawca dyma pracownika, racja? I tutaj zastosowałem pewien fortel. Pracodawcą jest kobieta. Kobieta dyma mężczyznę, a nie na odwrót. To aluzja. Postępująca feminizacja, matriarchalizm, emancypacja. Nadążasz?

– Nieźle to sobie wszystko wymyśliłeś.

– Pewnie, że tak. Przecież jestem po filmówce.

Nie było sensu przypominać mu, że go wywalili po pierwszym semestrze.

– I teraz tak. Zobacz. Strona trzecia. Rozmowa tutaj, bla, bla, bla, dochodzi do zbliżenia. O! Tutaj! Spójrz! Czy to nie brzmi źle?

– A teraz zrobię ci w cipie rewolucję na miarę Trockiego i spółki – przeczytałem na głos. – Nie wiem. W sumie dobre.

– Dobre?

– Czemu nie.

– A to? Tutaj dalej. Czwarta strona, w połowie. Jego kwestia, kiedy lalka mu ssie, a on jest bliski szczytu. Czuję, że zaraz eksploduję jak bomby na Hiroszimę i Nagasaki.

– No tutaj bym zmienił.

– Tak? Na co?

– Nie wiem. Ludobójstwo i seks nie bardzo się zgrywają.

– A to? Kilka stron dalej. On szepce jej na ucho, że wleci w nią jak ten samolot w World Trade Center.

– Na moje oko za dużo tego politykowania. Nie możesz zrobić normalnego pornosu, z normalnymi tekstami?

– To znaczy?

– Jakoś klasycznie, wiesz, hydraulic i przepychanie rur czy listonosz z przesyłką specjalną.

– Mówiłem ci, że to ma być ambitne porno, a nie jakieś sztamkowe gówno. – Wstał i wręczył mi papiery. – Masz ten scenariusz i działaj. Daję ci wolną rękę. Podrasuj to, ale w obrębie tej konwencji. Ja jadę coś załatwić. Będę za godzinę. Jakbyś czegoś potrzebował, to wal do Kamili. Lecę.

Wyszedł z mieszkania i tyle go widziałem.

Napiłem się piwa i zacząłem czytać od pierwszej strony. To było niezłe porąbane. Skończyłem przerabiać ten tekst, kiedy skończyło mi się piwo. Wstałem z miejsca i poszedłem do kuchni. Kamila paliła tam fajkę, patrząc przez okno. Wzdrygnęła się, kiedy wszedłem.

– Spoko. Nic mu nie powiem.

Nie odezwała się, tylko wyciągnęła zza pleców skitranego papierosa.

– Nie ma już piwa?

Podeszła, otworzyła zamrażalkę i podała mi butelkę.
 – Jesteś jego nową dziewczyną?
 Wzruszyła tylko ramionami.
 – No dobra. Miło się gadało.
 Wróciłem do salonu.
 – Kiedy w końcu zaczniemy kręcić? – spytała mnie ta lalka, znaczy się aktorka, grająca niewyżytą pracodawczynię. Muszę przyznać, że miała piękne cycki.
 – Nie wiem. Ja jestem tylko gościem od dialogów.
 Machnęła ręką z dezaprobatą. Rozsiadłem się na swoim miejscu i wziąłem do ręki scenariusz. Przewertowałem go jeszcze raz. Chyba się spisałem.
 – Spisałeś się – powiedział Eryk, kiedy przeczytał cały tekst od deski do deski. – Możemy zacząć kręcić.
 – Teraz?
 – No, a co ty myślałeś? – spytał wyraźnie zdziwiony. Podniósł się z miejsca i krzyknął w eter: – Zaczynamy kręcić! Wszyscy na stanowiska!
 – Wiesz, skoro już zrobiłem wszystko, o co mnie prosisz, to może sobie pójść. Mam jeszcze kilka rzeczy do zrobienia.
 – Jak co? Wstawić pranie? Pozmywać naczynia? Nie pierdol, tylko siadaj. Może się jeszcze przydasz. Chcesz piwo?
 Pokiwałem głową na tak. Eryk przywołał Kamilę i po chwili znów sączyłem zimny napój bogów. Eryk z dumą w głosie krzyknął: „Scena pierwsza, ujęcie pierwsze, akcja!” i film ruszył do przodu. Okazało się, że to najprawdziwszy plan zdjęciowy, najprawdziwszego pornola, z najprawdziwszym seksem. Wcale mnie to nie kręciło.
 – CIĘCIE! – ryknął Eryk. Oderwał się od kamery i usiadł obok mnie. Aktorzy podnieśli się z materaca.
 – Co znowu? – spytała aktorka.
 – Pięć minut przerwy. To nie wygląda tak, jak sobie zaplanowałem.
 – Kurwa, panie reżyserze, znowu pięć minut przerwy? Mój sprzęt nie jest ze stali do chuja. Kręcimy godzinę, a on przez całą tę godzinę co chwila twardnieje i mięknie, twardnieje i mięknie. To nie jest maszyna. W końcu uzna, że pierdoli taką zabawę.
 – Dobra. Róbcie to na sucho. Bez kamery.
 Aktorzy zabrali się do dzieła. Przyglądaliśmy się im w milczeniu.
 – Kurwa, czy tobie też się wydaje, że on to robi tak jakoś nieporadnie?
 – No trochę – przyznałem.
 – No zobacz. Rusza tak jakoś dziwnie tymi biodrami. Nie do rytmu. Nie do taktu. Kurwa mać! Chyba zaraz tam wskoczę zamiast niego.
 – A kto będzie kręcił?
 – Kurwa, masz rację. Chcesz zagrać w filmie?
 – Niezbyt. Poza tym jestem za bardzo porobiony. Nic by z tego nie wyszło.
 – Kurwa mać! – rzucił znowu Eryk, wpatrując się w kopulującą parę i myśląc przy tym intensywnie. – Kończ przerwy!
 Lecieliśmy z kolejnymi scenami. Kamila co jakiś czas przynosiła mi piwo. Wypiłem ich już chyba z osiem.
 – CIĘCIE! – huknął ponownie zza kamery.
 – Lecę się odlać – rzuciłem i spierdoliłem do łazienki. Humor mojego kolegi pogarszał się z przerwy na przerwę. W kiblu miałem spory problem z odnalezieniem włącznika światła. W końcu się odlałem. Chyba trafiłem wszędzie tylko nie do klozetu.
 – Marcel. Jest problem – oznajmił, kiedy wróciłem do salonu.

– Co tam?
 – Nie napisałem jednej sceny.
 – Jak jednej, to na chuj się przejmować.
 – Finałowej, kurwa.
 – Tak? – Nie pamiętałem, jak miał się skończyć ten film.
 – Tak. Trzeba coś wymyślić. Aktorzy się niecierpliwią i są już zmęczeni. Ja też jestem zmęczony. I wkurwiony. Spojrzałem w ich stronę. Facet połknął coś, co przyniosła mu Kamila. Aktorka piła wodę.
 – Przecież nie musimy kończyć tego dzisiaj.
 – Musimy. Zapłaciłem im z góry, poza tym facet ma być jutro w Warszawie. Gra u innego reżysera.
 – A cizia?
 – To kurewka znaleziona na roksie, której musiałem zapłacić za ten występ prawie trzy tysie.
 – No dobra. Zaraz coś wymyślimy.
 Usiadłem na krześle. Siedziałem dobrych kilka minut. W końcu wpadłem na genialny pomysł.
 – Mam!
 – Gadaj.
 – Scena będzie głucha. Absolutna cisza. Tylko obraz.
 Eryk przyglądał się mojej pijanej mordzie kilka sekund.
 – Dobre. Dobre, kurwa. Finał bez jakiegokolwiek dźwięku. To jest to. Taka scena idealnie oddaje ducha walki z konsumpcjonizmem. Tak, tak, tak. To jest to. Okej! WSZYSCY NA STANOWISKA! KRĘCIMY OSTATNIA SCENĘ!
 Poczuję autentyczny przyływ dumy. Zerknąłem w stronę Kamili i puściłem do niej oko. Odwróciła głowę zniesmaczona. Fajna z niej była laska.
 – I mamy to! Mamy! – Eryk uniósł zaciśnięte pięści do góry. Triumfował. Zacząłem bić brawo. Reszta poszła w moje ślady. Owacja na stojąco.
 Eryk obrócił się i zaczął merdać wskazującym palcem w kierunku mojej osoby. Uśmiech nie schodził mu z ust. Potem popatrzył po twarzach ekipy filmowej, kiwając ciągle głową. On również zaczął bić brawo. Następnie uciszył wszystkich krótkim gestem.
 – Dziękuję wszystkim za dzisiejszą pracę. Spisaliście się na medal. Nagraliśmy dzisiaj coś naprawdę wyjątkowego. Dzięki wam mogłem stworzyć to arcydzieło. Jeszcze raz dziękuję. Jesteście wspaniali.
 Wielki był z niego reżyser i człowiek.
 Kamila przyniosła szampana i zebraliśmy się wokół Eryka. Korek wystrzelił, szampan wylądował w kieliszkach, a śmiech wystąpił na naszych twarzach. Czułem, że odwaliliśmy dziś kawał dobrej roboty.
 Poimprezowaliśmy jeszcze trochę. Pierwszy zebrał się aktor. Pogadałem z nim chwilę, okazał się równym gościem. Jutro miał zagrać w produkcji jakiegoś włoskiego reżysera, który ma kręcić swój film w Warszawie. Życzyłem mu powodzenia. Natomiast aktorka zaproponowała, że razem z Erykiem możemy ją przelecieć – miała zapłacone jeszcze za dwie godziny – ale grzecznie odmówiłem. W końcu wyszła, razem z kolesiem od produkcji – tak, kręcił się tutaj ktoś taki. Zostaliśmy we trójkę.
 – Eryk, odwieziesz mnie do mieszkania? Mam niezły zjazd i czuję, że jutro będę zdychał.
 – Kamila cię odwiezie. Tylko bez numerów, to porządna dziewczyna. Rozumiemy się?
 – Okej.
 – No trzymaj się.
 – Do zobaczenia.
 Oddał jej kluczyki do saaba. Wyszliśmy z mieszkania. Zjechaliśmy windą i udaliśmy się do garażu. Kamila nadal nie była zbyt rozmowna.
 – Jesteś niemową? – spytałem w końcu bez ogródek.

- Nie – odezwała się. Miała słodki głos.
- To czemu nic nie mówisz?
- Bo nie mam nic ciekawego do powiedzenia.
- Aha. Trzeba było tak od razu.

Podwiozła mnie pod samo wejście. Podziękowałam jej i wysiadłem. Po kilku krokach usłyszałem dźwięk gaszonego silnika. Trzasnęła drzwiami. Odwróciłem się. Szła w moją stronę.

- Nic z tego, skarbie. Wracaj do niego.
- Nie słuchała mnie. Szła pewnie, jak gdyby nigdy nic.
- Obiecałem Erykowi, że cię nie tknę. Dobranoc.

Wszedłem do bloku i zamknąłem za sobą drzwi. Długo patrzyła na mnie przez szybę. W końcu sobie poszła, a ja nareszcie mogłem wrócić do siebie.



Pędzle nie moje

Odkryłem je wpierw
w oczach Twych
brązem trzepoczących,
w rzęsach Twych
wciąż otwartych,
bo we mnie ciągle wpatrzonych.

Odkryłem je wpierw
w Twoim głosie nieśmiałym,
ledwo co nawet słyszalnym,
bo załęknionym,
że może mi się nie spodobać.

Odkryłem je nagle –
zaraz po tym,
gdy zauważyłaś,
że malarzem
to mogę być tylko słowa,
a ubarwiać to mogę
tylko Twe ciało podarunkami.

Odkryłem je dawno,
gdy prozę pisałem,
a poezja z niej wyszła,
a Ty rzekłaś,
zdziwiona tylko moim zdziwieniem:
*mówiłam, że
prozy to o mnie nie napiszesz.*

I zdawało mi się,
 że głosem doniosłym
 to powiedziałaś,
 że rzęsy Ci trzepotały,
 a brąz się w błękit zamienił.
 I nic o moim malarstwie
 już nie mówiłaś –
 stanęłaś tylko przy swojej sztaludze,
 ukloniłaś się z lekka
 w stronę moich rywali
 i zostawiłaś mnie z tym marzeniem,
 że jeszcze się do mnie
 kiedyś odwrócisz.

I wtedy odkryłem prawdziwie dopiero
 pagórków zdobywanie
 trud niemożliwy.

Bezsenność w B.

Dziś po górach się tak nie chodzi –
 z naręczem spokoju,
 że szlaki bez turystów przeżyją,
 że szczyty będą istnieć całe pokolenia,
 że te przełęcze, klamry i połoniny
 dadzą sobie bez nas radę.

Dziś po górach nikt już tak chodzić nie chce,
 żeby u podnóża spiczastych grani
 zamiast tęsknić za tym wielkim zdobywaniem,
 zatęsknić za głębią drugiego człowieka.

Zamiast nogi męczyć na stromej ścieżce donikąd,
 wybrać się do przyjaciela,
 co go znamy od godziny,
 pot na parkiecie zostawić
 z tancerzem, co od lat nie tańczył,
 a tego, co zapomniał, co to śmiech,
 rozbawić, żeby aż zapłakał.

Dziś po górach nikt już tak nie chodzi,
 by malować piękne opowieści
 o walkach z niedźwiedziami,
 lecz nie dla chwały taternika,
 ale po to,
 by się noc tak szybko nie skończyła.
 Żeby jeszcze chociaż kwadrans
 posiedzieli z nami Ci,
 co po górach
 jeszcze chodzić
 tak jak my umieją...

Natalia z czwartego piętra

Przyjaciele, z którymi zabijamy czas, to właśnie prawdziwi przyjaciele.

Haruki Murakami – *Przygoda z owcą*

Mój blok ma cztery piętra i trzy klatki schodowe. Mieszkam w tej na lewo, tuż przy niewielkim skwerze, który oddziela nas od ulicy.

Mieszkanie mieści się w środku budynku, na pierwszym piętrze, a jego okna wychodzą na parking. Wybrałem je z premiedytacją, snując idylliczne marzenia o nowym, ciepłym i przytulnym lokum. Zszedłem już jednak na ziemię. Głęboko.

Sąsiedzi z góry to młoda para z dwójką dzieci. On lubi wypić, ona chyba też. Ich najczęstszą rozrywką w porze jesienno-zimowej jest urządzenie głośnych imprez, natomiast lato spędzają, siedząc na ławce przy wejściu. Mam więc zapewnione towarzystwo głośnych basów, sprzeczek, kłótni, rękoczynów i alkoholowych libacji. Przez cały rok. Chyba się już do tego przyzwyczaiłem.

Pozostali mieszkańcy nie różnią się od tych, których pozostawiłem w starym miejscu zamieszkania. Młode parki, jedno z dziećmi, drugie bez, starsze małżeństwa, inwalidzi. Nic w tym dziwnego. Ot, zwykłe komunalne osiedle.

W tym całym zbiorze wyróżnia się tylko ona. Natalia z czwartego piętra.

Jest wysoka, szczupła i ma jasną skórę. Kręcone, długie i ciemne włosy, które kontrastują z zawsze pomalowanymi na czerwono ustami. Ubiera się na czarno, porusza szybko, pozostawiając po sobie aurę tajemniczości. Wszelkie zaczepki zbywa milczeniem i grymasem twarzy.

Widuję ją czasami z samego rana bądź późno w nocy. Chodzi ze spuszczonego wzrokiem, taszczy ze sobą dużą, brązową torbę i co jakiś czas czujnie się rozgląda. Czasami nie jest sama i prowadzi pod rękę dziwnie wyglądające kobiety bądź dojrzałych mężczyzn.

Kiedyś spotkałem ją w windzie. Zachowywała się, jakby mnie nie zauważała. Powiedziałem „dzień dobry”, a ona jak zwykle to zignorowała i utknęła wzrok w suficie. Co za wariatka – pomyślałem i postanowiłem nie zwracać już więcej na nią uwagi.

Przez jakiś czas dałem sobie spokój i zupełnie o niej nie myślałem. Aż do pewnego słonecznego, czerwcowego poranka.

Na dworze panował upał. Jak zwykle po śniadaniu miałem zamiar zapalić pierwszego papierosa na balkonie. Wyszedłem na zewnątrz i zobaczyłem, że coś leży na podłodze. W pierwszym momencie nie wiedziałem, co to jest. Jak się okazało, wziąłem do rąk skórzany, czarny pas oznaczony srebrnymi ćwiekami.

Zaśmiałem się w duchu i od razu zacząłem się zastanawiać, do kogo może należeć. Próbowiałem dopasować znalezisko do sąsiadów mieszkających nade mną. Po kilku minutach i wszystkich eliminacjach wynik był jeden. Ten pas musiał należeć do Natalii z czwartego piętra.

P postanowiłem poczekać kilka dni z myślą, że właścicielka będzie poszukiwać swojej zguby. Nic takiego jednak się nie stało. Minął tydzień, a pas nadal wisiał u mnie w przedpokoju. Patrzyłem na niego i walczyłem z myślą, aby pójść i oddać go osobście. Nie byłem jednak do końca o tym przekonany. Czyżbym bał się tej kobiety? Coś musiało w tym być.

Ten lęk postanowiłem pokonać w niedzielę. Tego dnia długo wylegiwałem się w łóżku. W południe spadł deszcz, a niebo zrobiło się pochmurne. To właśnie wtedy pomyślałem o Natalii i jej pasie.

Wziąłem szybki prysznic i założyłem czarny podkoszulek. Włożyłem kapcie i wyszedłem na korytarz. Pas trzymałem w rękach. Na czwarte piętro dostałem się po schodach. Mieszkalem w tym bloku dwa lata, ale nigdy tam nie byłem.

Na ścianach wisiały małe obrazki w drewnianych, brązowych ramkach. Rysunki przedstawiały motyle bądź owady, których nie mogłem zidentyfikować. Pośród nich pozawieszane były zwisające kwiaty.

Odszukałem drzwi jej mieszkania, na których nie było numeru. Za to na samym ich środku naklejony był czarny pentagram. No nieźle – mruknąłem do siebie cicho i zapukałem. Nikt nie odpowiedział. Nie usłyszałem też żadnego odgłosu z wewnątrz. Po chwili postanowiłem zadzwonić dzwonkiem. Przycisnąłem go kilka razy.

Uchyliła drzwi. Na tyle, że ujrzałem jej piwne oczy, które wpatrywały się we mnie ze zdziwieniem. Podniosłem do góry rękę z pasem.

– To chyba twoje? – zapytałem.

Chyba się uśmiechnęła, ale mogłem się mylić. Zamknęła drzwi, a ja usłyszałem, jak zwalnia jakąś dodatkową blokadę. Po dłuższej chwili ukazała mi się w progu, ubrana w czarny szlafrok.

– Wejść do środka – powiedziała, robiąc przy tym zachęcający ruch ręką.

Ta poufałość mnie zaskoczyła. Nie bardzo chciałem tam wchodzić. Chyba bałem się, że ujrę tam coś przerażającego. Stałem zaskoczony zbyt długo.

– Boisz się? – powiedziała, zauważając moje wahanie.

Przekroczyłem próg i wszedłem do przedpokoju. W mieszkaniu było ciemno. Zauważyłem regały ze starymi książkami, których zapach wpadał do moich nozdrzy. Zamknęła za mną drzwi i stanęła obok. Wydała mi się w tej chwili taka drobna i delikatna.

Dotknęła moich pleców, jakby nakazywała, abym wszedł dalej. Nie odezwałem się. Zrobiłem kilka kroków do dużego pokoju. Jego ściany wymalowane były na czarno, tak samo jak sufit. Z zasłoniętych roletami okien nie przedostawało się prawie w ogóle światło dzienne. Oświetlenie sączyło się z jednej ze stojących na podłodze lamp.

Na środku pokoju stał okrągły dębowy stół, na którym leżały rozłożone karty. Podeszedłem do jednego z krzeseł i usiadłem. Pas wciąż trzymałem w rękach.

Podeszła do mnie i wzięła go ode mnie. Nic nie powiedziała, tylko rzuciła w kąt. Usiadła naprzeciwko i spojrzała w oczy.

Były głębokie i tajemnicze. Było w nich coś czarującego i wciągającego. Czuję, jak świdruje mój umysł i ciało. Jakby chciała się dostać do mojego wnętrza.

– Chcesz, żebym ci powróżyła? – zapytała, próbując się do mnie uśmiechnąć.

Odwrociłem wzrok, bo nie mogłem dłużej wytrzymać tego spojrzenia. Spuściłem głowę i wpatrywałem w drewniane panele. Czuję się zagubiony.

Milczeliśmy przez dłuższą chwilę. W końcu Natalia wstała i wyszła z pokoju. Zastanawiałem się, czy w tym momencie nie uciec z mieszkania.

Po chwili pojawiła się z powrotem. Spojrzałem na nią i otworzyłem usta z wrażenia. Miała na sobie czarną, koronkową bieliznę i pończochy. Usiadła i pochyliła się nad stołem, a mój wzrok utknął w jej piersiach. Zgarnęła sprawnie ręką karty i zaczęła je tasować. Mruczała przy tym pod nosem jakieś dziwne słowa, których nie rozumiałem. Siedziałem i patrzyłem na to wszystko jak zahipnotyzowany.

Po chwili rozłożyła całą talię na stole i zamyśliła się. Spoglądała ze zdziwieniem na rysunki.

– Hmm – usłyszałem, choć zupełnie nie wiedziałem, co to ma znaczyć.

Odczrząknęła głośno, jakby była zaskoczona. To wszystko doprowadzało mnie do szaleństwa.

– Co tam widzisz? – zapytałem, widząc jej zatroskaną twarz.
 Nie odpowiadała. Widziałem, że jest w jakimś dziwnym stanie, transie, z którego jeszcze się nie wyrwała.
 W pewnym momencie złapała się za głowę i przewróciła oczami, a ja czułem się coraz bardziej przerażony.
 W końcu wstała i pobiegła do łazienki. Słyszałem lecącą wodę z kranu. Próbowałem się ruszyć, ale jakaś siła trzymała mnie mocno na tym niewygodnym krześle.
 Wróciła. Tym razem miała na sobie czarną sukienkę do kolan.
 – Chyba już sobie pójdę – odezwałem się cicho, próbując wstać.
 Spojrzała na mnie i skarciła wzrokiem.
 – Nie chcesz wiedzieć, co zobaczyłam w kartach? – pytała ze zdziwieniem.
 – Nie – odparłem stanowczo.
 To ją zaskoczyło. Może też zdenerwowało, bo zrobiła się nagle czerwona na twarzy.
 – A co chcesz wiedzieć?
 Poruszyłem się na krześle.
 – Wiem już wystarczająco dużo.
 Wkurzyła się na tyle, że wstała od stołu i stanęła nade mną. Czułem zapach jej ciała i krótki, przerywany oddech.
 – Już wiem. Jesteś walnięty. Naprawdę popieprzony i to bardziej ode mnie! – krzyknęła.
 W tym momencie poderwałem się na nogi i stanąłem z nią twarzą w twarz.
 – Chciałem tylko oddać ci ten zasrany pasek, który znalazłem u siebie na balkonie – powiedziałem stanowczo, cedząc dobitnie słowa.
 Spojrzała na mnie, jakbym powiedział coś naprawdę głupiego.
 – Jaki pasek? – zdziwiła się.
 Spojrzałem w róg pokoju, gdzie leżało moje znalezisko. Widziałem, że podąża za moim wzrokiem. Na jej twarzy odmalowało się zawstydzenie. Widziałem, że coś jest nie tak.
 – On wcale nie należy do mnie – stwierdziła po chwili, wcale nie ułatwiając mi zachowania w tamtej chwili.

Na wzgórzu

Pamięci Basi Konarskiej

Przed drewnianym kościołem
 siadła biała gołębica
 przyszedł wschód słońca
 odleciała
 na niebieskie łąki



* * *

Dłonie leżące na stole
nie mogą pochwycić pióra
kiedy tańczy śmierć nad Kolumbią
w dniu radosnego Alleluja
pozostaje poraniony księżyc mojego niepokoju

* * *

Ponad zielone korony drzew
wzniesć się
spojrzeć w oczy ptakom
nauczyć się ich śpiewu
stać się wolnym

* * *

Mamie poświęcam

Odchodzisz
widzę przy Tobie
dwóch aniołów
prowadzą Ciebie
biegnę biegnę
nie zdążyłam
teraz przemawia kamienna tablica
czuwa opatrność

* * *

W ciszy
czyszczę buty Ojcu
na ostatnią podróż
spada jedna łza

* * *

Ziarnka piasku podglądają
kobietę
która w samotności
dryfuje po falach morza
na biało-czarnej fotografii

Zapiski zimowe

Szron

Jest zima, lecz jej nie ma. Jeszcze nie spadł śnieg, nie weszły mrozy. Brunatnieje ziemia, czasem zaledwie szron oblepia drzewa. Snują się mgły. Dziki zachorowały na afrykański pomór. Padają. Pąki forsycji nabrzmiewają do kwitnienia. Jest ciepła zima, co w ludzi uderza chorobami. Grobów przybywa. Niebo jaśnieje i trudno uwierzyć, gdy wokoło tyle piękna, być może zdradliwego. Bakteriom i różnym zarazom sprzyja butwienie i pleśnienie ziemi. Dzieci chorują i nie idą do przedszkola. Światło się rozlewa i spokój.

Brat, kilka zdań

W styczniu umarł mój brat Kazimierz. Urodzony bardzo dawno, w Kębłowie k. Wolsztyna w 1935 roku. Opowiadał mi kilka dni przed swoją śmiercią o biednym w dzieciństwie życiu w małym domu babci Apolonii. Jesienią, latem z mamą chodził do lasu zbierać szyszki, by było czym palić w piecu kuchennym i aby ugotować obiad. Ojciec szedł na drodze tłuc przydziałową stertę kamieni i dostawał za to jakiś grosz na przeżycie. Potem wybuchła wojna. Rodzice zostali wywiezieni na roboty przymusowe do Niemiec, m.in. do Zatonia. Po wojnie osiedli w Jaromierzu. Smak czekolady, zapach pomarańczy, jakichś cukierków słodczy pierwszy raz poznałem za jego sprawą, kiedy miałem 7 lat. Pracował w Zielonej Górze jako mechanik samochodowy, gdzie te słodczy i owoce mógł kupić, a także harmonijkę dla mnie. Grałem na niej różne melodie na polach, na łąkach, pasąc krowę. To był człowiek odważny, pełen fantazji, ciekawy świata, lubiący mówić prawdę i ceniący pracę, która była dla niego piękną religią. Nie omijały go doświadczenia ciężkie, a nawet klęski, lecz nigdy nie narzekał. Znosił trudy swojego życia wręcz ze stoickim spokojem. Los tak ułożył sprawy, że ciągle ze mną, najmłodszym swoim bratem, był w kontakcie, aż do trudnych, ostatnich dni, kiedy udzielałem mu różnorodnej życiowej pomocy.

Po człowieku

Zostało po człowieku. Jeden ziemniak w foliowej torbie, trzy mandarynki, kilka rzeczy zużytych, znoszonych, które dawno wyszły z mody, buty stare i nowe pod łóżkiem. Łóżko niezastane, nieczynny telefon, co już nic nie powie, tykający budzik, pół masła, smalec podziobany nożem, zaschnięte na dnie filizanki fusy po kawie, niezjedzone kanapki, pół bochenka w folii, nieumyte naczynia, stara maszyna elektryczna, sztućce, wyłączony telewizor, na półce maszyna do golenia, plastikowa łyżka, grzejnik olejowy, w kątach kurz, pogniecione papiery z jakimiś tekstami, pajęczyny i nienadające się do niczego krzesło, taboret, stół, ława, zeszyty zapisane nazwami części do samochodów i inne niepotrzebne już drobiazgi. Tak to wygląda po wszystkim.

Minął wtorek

Minął styczniowy wtorek. Gorzki. Pożegnalny. Garstka ziemi została rzucona, modlitwy odmówione, zamknięte wieko. Teraz pusty, ogłuchły wieczór, czas na rozmyślanie w milczeniu. Ściany milczą o człowie-

ku, który nagle zniknął. Był i nie ma go. Nigdzie nie ma, nie popatrz, nie podniesie głowy, nie pójdziemy przez las w stronę jeziora, nie zagra na akordeonie, nie postawi stopy na schodach. Nie opowie o łowieniu ryb ani o podźwignięciu bardzo ciężkiego, kowalskiego kowadła, czym zadziwił wszystkich w szkole zawodowej. Nie usiądzie przy stole do kolacji. Podłoga, ściana, szklanka nie radzą sobie ze smutkiem, z nieobecnością i ciszą, a przecież to tylko cisza.

Czas

Czas zrobił się ciężki, bez oddechu, zalepia usta, przypominają się różne sytuacje, słowa i refleksje. To, co wydawało się, że jest gdzieś daleko, przyszło bardzo blisko, i trzeba się z tym mierzyć. Nie przez jeden dzień. Ciężko długo nie odstąpi. Będzie unieważniał różne sprawy, klęski i zdobycze, którymi zajmowała się głowa.

Wszędzie światło

Wszędzie światło. Szedłem od ulicy Grottgera, przez plac Pocztowy, koło Wieży Głodowej, sklepu plastycznego, przez plac Matejki do Urzędu Skarbowego. Nie spieszyłem się. Patrzyłem kolejny raz na starą architekturę miasta z wielkim zaciekawieniem. Co krok to odsłaniały się ostre załomy, wnęki, fasady domów, budynków, tynki, farby, okna, stare drzwi, napisy, gzymsy, podnosiłem głowę wysoko, by widzieć czerwienie dachów, ponaprawianych dachów, pięknych, ustawionych do siebie pod różnymi kątami, wyżej i niżej, i gdzieś tam koncertowało światło, na tle jasnego, czystego od rana nieba. A potem wracałem ulicą Zeromskiego, obok kościoła Mariackiego, przez plac Wielkopolski, obok Filharmonii, zakładu fryzjerskiego, obok postoju taksówek, parkingu i Biblioteki Norwida na ulicę Wandy, gdzie stało moje auto.

Nagle Kazik

Rano nagle zadzwonił Kazik, ten sam co zawsze. Nie od razu rozpoznałem w słuchawce jego głos, nie spodziewałem się, a on mówi, że jest w Zielonej Górze, więc spotkaliśmy się w Bibliotece. Poszliśmy na trzecie piętro do Ewy, która o nim słyszała ode mnie niejedną raz, ale do tej pory jeszcze nie widziała. A trzeba kogoś zobaczyć, żeby lepiej poznać. Dobrze nam się przy kawie o różnych rzeczach miejscowych i emigracyjnych, paryskich i światowych rozmawiało. Kazik pokazał książkę Gombrowicza *Nasz dramat erotyczny*, którą akurat czyta po francusku, książkę o kobietach, jeszcze nie przełożoną na język polski. Potem zeszliśmy do baru coś zjeść. Dorsz z ziemniakami i surówką był bardzo apetyczny. Rozmawialiśmy. Potem musiałem jechać do domu, więc Kazik poszedł w kierunku teatru, a następnego dnia, gdy udawał się dalej, jeszcze zadzwonił. I kolejnego dnia, gdy w Zbąszyniu stałem na Rynku, też z rana zadzwonił od Janka Stolarczyka we Wrocławiu, ale zasięg był słaby, więc prawie nie słyszałem go. Jakiś motor w pobliżu głośno warczał.

Czesław P. Dutka (30 stycznia 1936 – 10 stycznia 2020)

Odszedł Profesor Czesław P. Dutka (10 stycznia 2020, w Polanicy Zdroju). Postać legendarna w Zielonej Górze. Bez mała ćwierć wieku tutaj mieszkał i pracował. Nie pamiętam dokładnie, w jakich okolicznościach poznałem Czesława Dutkę. Chyba na którejś Wiośnie Poetyckiej w Kłodzku. W każdym razie od początku jego przybycia do naszego miasta w 1982 roku (z Politechniki Wrocławskiej, gdzie wykładał socjologię) w różnych latach mieliśmy częsty ze sobą kontakt. Odwiedzałem go przeważnie w niedzielę, po południu, mieszkającego w pokoju Domu Akademickiego przy placu Słowiańskim, na parterze, drugie drzwi na prawo, a potem także w mieszkaniu, przy ulicy Sucharskiego. Czasami zabierałem ze sobą jakiś nowo napisany wiersz i czytałem Czesławowi przy herbacie. Rozmawialiśmy o sprawach bardzo rozmaitych. Czesław niekiedy zwierzał mi się ze swoich zupełnie osobistych historii życiowych. Musiało to wynikać z dozy darzonego zaufania. Byłem bez pracy. Jakoś tak w pewnym momencie zaproponował mi etat na uczelni. Zastanawiałem się, ale z różnych powodów nie przyjąłem tej serdecznej jego propozycji. W wydany w 1993

roku zbiorze *Wstęp do milczenia* dedykowałem mu wiersz „Nam śni się Europa nieboskłon nowe miasta i drogi”, który potem znalazł się także w *Jubileuszowej Księdze* jemu poświęconej (2006). Był to czas wielu dyskusji o przynależności Polski do kręgu wartości europejskich. Jego rozważania w tekstach (recenzjach, esejach) krytycznoliterackich, literaturoznawczych bądź dotyczących historii literatury podnosiły właśnie wagę postaw humanistycznych i dramat wyboru wartości, np. w poezji Norwida (znał ją dobrze), któremu wiele miejsca w publikacjach poświęcił. Zasługi dla rozwoju polonistyki w Zielonej Górze są znaczące. Był to człowiek o otwartym spojrzeniu na świat. Intelktualista zabarwiony duchowo tęsknotą do dostojności i zachowywania miary i smaku. Tutaj doszedł do tytułu profesora. Opublikował kilka książek. Nie miejsce, by o tym wszystkim pisać, np. szerzej o zasługach. Wspomnę jednak choćby o powołaniu przez niego Zakładu Teorii Literatury na UZ. Barwna to postać, rozpoznawalna w pejzażu miasta, o życzliwym spojrzeniu, ale i niepozabawionym ironii. Nigdy się nie spieszył. Szedł często przez miasto jakby jednym i tym samym ustalonym krokiem, nieco zamyślony, nieco pochylony, z teczką pełną książek i maszynopisów pod pachą.

Miss Mary Fellowess

Lubię oglądać obrazy, więc oglądam. Zobaczyłem w internecie owalny portret 25-letniej Miss Mary Fellowess, namalowany wg stylu epoki, około roku 1760 przez malarza, którego podpisu już nie da się odczytać. Była córką wielkiego angielskiego admirała Thomasa Fellowesse'a. Bez wątpienia jej życie przebiegało niebanalnie i w dostatku. Historia jej ojca zapewne jest ważna dla panowania i brytyjskiego podboju ziem zamorskich. Nie w tym jednak rzecz. Patrzyłem na portret młodej, ładnej kobiety, której życie minęło. Minęły jej radości, smutki, włosy, oczy, codzienne problemy. W rysunku oczu, ust, policzków, czoła, ułożonej fryzury, tylko w tym znaku malarskim został ślad życia. I byłaby pustka, wielkie nic, żadna wiedza, gdyby nie było tego malarskiego zatrzymania na płótnie. A co z pokoleniami ludzi, z milionami człowieczych istnień, które odeszły i nie ma po nich żadnego utrwalonego w słowie lub w obrazie znaku? Rodzą się różne pytania.

Jest

Ktoś kocha lub nie kocha. Jest miłość.

Przy stole

Był wieczór, siedziałem przy stole. Piłem wodę z sokiem. Szukałem w sobie, w gasnącym dniu, jakiegoś uzasadnienia dla życia. Ani jedna chwila nie została zatrzymana w materialnym kształcie. I jutro będzie to samo. Uzmysłowiłem sobie dramatyczność ludzkiego losu, którego nie można zrozumieć. I przyszło coś takiego, że pojawiły się linijki, choć nie były przewidziane ani postanowione, zestawione obrazy, refleksje. Nie mówcie, że to bez znaczenia.

Poeta

Poeta myśli o wszystkim, nawet o liściach, które upadły na chodnik. I nie jest nigdy przez nikogo ani przez samego siebie z tej wrażliwości zwolniony. Dźwiga wszystkie z tego faktu wynikające powinności. Inne od tego wszystkiego, czym się ludzie na co dzień wytrwale zajmują. Dla niego ważna jest nie tylko codzienność, ale ukazywanie jej. Albowiem w tym ukazywaniu jest coś więcej niż wymierzalny sens. Częstka tajemnicy.

Marianna

Redaktorzy Stefan Bednarek i Jan Tomkowski opracowali, odwołując się do żywej ciągle pamięci, piękny treściowo i pod względem edytorskim tom pt. *Wspomnienia o Mariannie Bocian*. Chwała im za tę wykonaną pracę. Wydawcą jest Oficyna Wydawnicza ATUT (2019). Marianna Bocian była poetką wysokiego natchnienia. Zostawiła poezję nacechowaną wołaniem o wartości duchowe. W imię tych wartości stara-

ła się wyrazić z głębi swojego jestestwa wszystkie ważne obserwacje i przemyślenia o świecie. Odnoszę wrażenie, że są one coraz bardziej aktualne. To nie są letniej temperatury utwory, gdyż odnoszą się do imponderabiliów człowieczeństwa. Mocna jest ich tonacja. Za swoją poezję i postawę filozoficzną (humanistyczną) zapłaciła wielorakimi wyrzeczeniami i przejściami. Zostały książki, legenda, ale i pamięć tych wszystkich, którzy bliżej Mariannę Bocian znali. Przybliżają od wielu stron postać autorki zbioru *Narastanie*. Cenne w tej książce są historyczne już ilustracje.



Zawsze byłeś w innym miejscu

Placyk pełen obcych twarzy.
Ściśnięci, spowolnieni, rozumiejący prawie wszystko
z małymi wyjątkami.

Jedziemy wolniej niż we Wrocławiu. Hamulce zbędne
i czapki zdjęte z głów.
Jeszcze świecimy naszym blaskiem w nocy
i nawet w kłótni bez końca wymieniamy porażenia prądem.

Między biodrami smutny wianek z rąk
wyjęty z zimnych jezior obnosimy wszędzie.

W starych płotach, ze szpar, machają białe wnętrza małych dłoni.
Porzuconych na wczesnym etapie
poznania.

Annie Lennox wróć

Nalegają te płyty na ciągle puszczenie się.
I Bush, i Savage odkrywane na nowo,
około 24:00.

Wino dotrzyma kroku, nie wątpię. Młode i głośnie,
spłaszcza grzbiet w żyłach, szoruje brzuchem.

Twardy ebonit nie do zagięcia, starej daty.
Użycza pięknego tonu i głosu.

Przeszłość Annie wychodzi jak na dłoni.
Nieudacznie podchodzę, chcę pomóc.
Ucieka na wzgórze, niewidoczna w nokturnie Whistlera.

Po co dociekam, jeśli zostawiła
pusty futrzany płaszcz.
Skończyła pić i wyszła. Kochała i nie wróci tak szybko.

Powieki w grubych łzach
zwraca do księżycy-spowiednika.

Pewnego ranka obudziłem się dziewczyną

Pewnego ranka obudziłem się dziewczyną. Obudziłam się i poczułam, że jest mnie trochę więcej. Byłem tego dnia umówiony z kolegami na męski wieczór. Mieliśmy iść na mecz, potem klub, piwo, normalnie, jak to z kumplami. Zastanawiałem się, jak się z tego wykręcić, ale zanim coś wymyśliłem, do mojego pokoju w akademiku wpadł Artur. Jak zawsze, bez pukania i bez ceregieli.

– Cześć, ja do Wojtka, nie ma go? O, sorry, pozwól, że się przedstawię, Artur jestem – powiedział.

Milczałam, bo nie wiedziałam jeszcze, czy nie zmienił mi się tembr głosu i czy nie wypadnę głupio, kiedy odezwę się jak Wojtek. On zawsze mówił niskim głosem, prawie basem, na który zwykle podrywał dziewczyny przez telefon. Kiedyś taka jedna, jak pracowałem na infolinii w banku, powiedziała mi: „ojee, ale ma pan radiowy głos”. Wykorzystywałem to, umawiałem się z panienkami, a one chętnie przychodziły na spotkania do kawiarni. Siedziałem tam, przy stoliku pod oknem, i obserwowałem rozwój wypadków. Jak dziewczyna była ładna, to przysiadła się do niej jakiś gość, a ona brała go za niego. To znaczy za mnie. Bawiło mnie to.

– Wojtka nie ma, musiał nagle wyjechać – powiedziałam szeptem.

Pierwszy raz usłyszałam wtedy swój głos, brzmiał niezwykle erotycznie, podniecająco wręcz. Mówiłam to, patrząc Arturowi prosto w oczy i zauważyłam, że zrobiło to na nim wrażenie. Większe, niż się mogłam spodziewać.

– Jestem Marianna – przedstawiłam się i podałam mu rękę, nie wstając z łóżka. – A ty pewnie jesteś tym Arturem, z którym Wojtek umówił się na mecz.

Oczy mu błyszczały, dłonie miał spoczone. Nieproszony usiadł na skraju tapczanu i zaczął mi się przyglądać. Tak jakoś samczo, lubieżnie.

– To może pójdziesz ze mną wieczorem? – zapytał.

Zgodziłam się, umówiliśmy się, że wpadnie po mnie przed meczem. Miałam cały dzień, by nauczyć się nowej tożsamości. Kupiłam kilka ciuchów, stanik, buty, jakieś kosmetyki. Na ulicach faceci oglądali się za mną, próbowali zaczepiać. Jeden, najbardziej namolny, dostał kopa w krocze, aż się zwinął w kłębek i zaczął mi wymyślać od transwestytów. Postanowiłam trochę złagodzić reakcje.

Nadszedł wieczór. Artur przyszedł przed czasem, odstawiony, pachnący dobrą wodą. Przyniósł kwiaty i wino. Zaproponował, abyśmy nie szli na mecz, tylko spędzili wieczór we dwoje, tu, w pokoju akademika. Oglądanie piłki nożnej, nakładanie durnych czapek z pomponami nigdy mnie specjalnie nie kręciło, więc zgodziłam się chętnie. Tym bardziej że był całkiem przystojnym, wysokim, szczupłym brunetem, z lekkim zarostem. Po kilku kieliszkach, kiedy puściły hamulce, przyznał się do swojej wielkiej tajemnicy. Powiedział, że od dzieciństwa ubiera się po kryjomu w sukienki mamy. I jeszcze coś. Że tak naprawdę to tam, na dole, jest kobietą.

Wtedy i ja musiałam się przyznać do swojej przemiany. Częściowej przemiany. Bo, o ile od pasa w górę jestem teraz piękną, zmysłową blondynką, to tam, na dole, pozostałam mężczyzną. Stwierdziłszy zgodnie, że nam to nie przeszkadza.

Od jutra wprowadzam się do Artura.

Echo

Dużo podróżuję służbowo po kraju. Jechałem właśnie do klienta i zatrzymałem się przy stacji paliw. Zatkanowałem i chciałem coś zjeść, ale okazało się, że mają jakąś przerwę czy awarię, ruszyłem więc dalej głodny. Zacząłem się rozglądać za jakąś knajpką i wtedy dostrzegłem drogowską: Światowidów. Czyżby to była ta sama wioska, w której się urodziłem i spędziłem dzieciństwo? Tak jakoś jestem zaprogramowany, że lubię pielegnować wspomnienia, często wracam myślami do przeszłości. Zjechałem więc ochoczo z autostrady i skręciłem w tym kierunku, nie mogłem sobie odmówić, by nie odwiedzić starych kątów. Był ciepły, letni, prawie bezwietrzny dzień. Zwolniłem, bo droga nie była tu najlepsza, otworzyłem okna w samochodzie i z rozkoszą przypatrywałem się okolicy. Tak jak dawniej, przy szosie rosły mirabelki, po jej obu stronach złościło się zboże.

Po kilkudziesięciu metrach ukazała się tablica z nazwą wsi, a zaraz potem duża reklama, wyglądająca, jakby ktoś szerokim pędzlem, umaczanym w kubie z farbą, nabazgrał: „Witajcie w naszej tradycyjnej wiosce”. Zatrzymałem się przy niej mimo znaku zakazu i włączyłem światła awaryjne. Podeszedłem bliżej. Zaintrygowało mnie, że taka prymitywna plansza umieszczona jest na solidnym, metalowym stelażu, w dodatku z podświetleniem lampami halogenowymi. Na jej dolnej krawędzi zauważyłem tabliczkę firmową: „Spółdzielnia Usługowo-Produkcyjna »Światowid« Sp. z o.o.”. Ponieważ zawodowo zajmuję się reklamą, chciałem ją sfotografować, bo lubię takie perełki, ale nie wiadomo skąd, zjawiał się samochód policyjny. Dwóch groźnie wyglądających panów podeszło do mnie i rozkazało, abym natychmiast odjechał, w przeciwnym razie czeka mnie pięćsetzłotowy mandat. Nie dyskutowałem, powiedziałem coś o słabym pęcherzu i ruszyłem dalej.

Wjechałem na rynek, na którym spomiędzy kocich łbów wyrastała trawa. Od czterdziestu lat niewiele się tu zmieniło. Regularny czworobok, na środku ten sam wyciosany z drewna patron, święty Światowid, obserwował bacznie cztery strony świata. Znalazłem miejsce oznaczone nieudolnie napisanym szyldem: „Tu stawiać swoje wozy”. Na jego odwrotnej stronie umieszczona była tabliczka spółdzielni Światowid. I rzeczywiście, stały tam wozy, jeden drabiniasty, wyładowany po brzegi sianem, na drugim pełno było jakichś worków. Koni przy nich nie było. Zaparkowałem w bezpiecznej odległości i postanowiłem coś zjeść, zanim pójść oglądać miejsca zapamiętane z dzieciństwa. Skrótłem przez trawnik skierowałem się w stronę Baru u Światowida. Nagle zorientowałem się, że mam mokre buty. Co u licha, przecież w całym kraju od tygodni nie padało. Ale może mają tu jakąś awarię wodociągów? Po drugiej stronie rynku, obok budynku z szyldem Rzeźnik, bawiła się gromadka umorusanych błotem dzieci. No tak, mają awarię, to było pewne.

Wszedłem do baru. Lamperia malowana zieloną farbą olejną, kwadratowe stoliki przykryte ceratą, na nich wazoniki ze sztucznymi kwiatkami. W ladzie chłodniczej zimne nóżki i sałatka warzywna. Pod sufitem kręciły się wiatraki, rozganiając ospałe muchy, w kącie siedziało nieruchomo dwóch mężczyzn w kufajkach, pijących piwo z kufli o grubym szkle. No tak, tradycja, pomyślałem. Zamówiłem pierogi z kapustą, które podała mi barmanka z plastikową opaską na włosach, w białym fartuszk. Zjadłem je ze smakiem i wyszedłem.

Skierowałem się nad rzekę. Jako dzieci kąpaliśmy się w niej, a jako dorastający chłopcy przyprowadzaliśmy tam podrywane na zabawie dziewczyny. Brzegi rzeczki porośnięte były zawsze gęstymi krzakami, co

bardzo ułatwiało zadanie, sprzyjało naszym amorom. Wszystko wyglądało dokładnie jak przed laty, co mnie trochę zdziwiło, przecież krzewy powinny być już o wiele wyższe. Ale może to nowe, młode, pomyślałem. Tylko dziewcząt tamtych nie było...

Przysiadłem na brzegu i patrząc na wodę, zamyśliłem się. Kiedy z dziewczyną nie było o czym rozmawiać, zabawialiśmy się w wywoływanie echa. Po drugiej stronie rzeczki, w odległości dwustu, może trzystu metrów, był las. Gęsty, ciemny, nieprzenikniony. Wołaliśmy wtedy ile sił w płucach: echo!, i las nam odpowiadał. Rozjeżdżałem się dyskretnie na boki, nie było nikogo. Echo! – krzyknąłem. Nic. Powtórzyłem głośniejsze, znowu cisza. Coś tu się nie zgadza. Odchrząknąłem, zebrałem w sobie i z całych sił, jakby od tego miała zależeć moja przyszłość, wrzasnąłem: ECHO! Zaległa kompletna cisza. Po minucie od strony ściany lasu zaczęły do moich uszu docierać jakieś dźwięki. Najpierw brzmiało to jak trzaski starego radia albo szczekanie psa. OK, dobra, jest tam jakiś pies, pomyślałem. Ale później usłyszałem odgłos startującego samolotu, a zaraz po nim warkot helikoptera! Po kolejnej minucie usłyszałem: „echo, echo, echo”. Powtórzone trzy razy, z taką intensywnością, z jaką je chwilę temu wypowiadałem, czy raczej wykrzykiwałem. Z dużym opóźnieniem, ale jednak dotarło.

Wyjąłem z torby lornetkę, którą zawsze wożę, aby podglądać ptaki. Takie mam hobby. Ustawiłem ostrość i wpatrywałem się dłuższą chwilę. Las jak las. Zaintrygowało mnie tylko niewielkie, migające światełko. Nie było tam żadnych budynków czy innych konstrukcji, ale mały, czerwony punkcik wyraźnie, regularnie pulsował. Nie ze mną takie numery, muszę to wyjaśnić, postanowiłem. Może to dziwne, ale nigdy nie byłem po drugiej stronie, w czasach mojego dzieciństwa nie było przez rzeczkę żadnej kładki, ale może to się zmieniło. Poszedłem na poszukiwanie przeprawy. Skierowałem się w prawo i faktycznie, po jakimś czasie trafiłem na solidnie wykonany, drewniany mostek. W poprzek wisiał łańcuch, a na nim emaliowana tabliczka: „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Schyliłem się, przeszedłem pod spodem i za chwilę stałem na drugim brzegu. Był utwardzony, wyłożony płytkami. Stanowił właściwie dość szeroki chodnik, po drugiej stronie którego widniał wysoki, metalowy płot, zwieńczony drutem kolczastym. Ruszyłem w lewo, ogrodzenie wkrótce schowało się pomiędzy drzewa, skończył się też utwardzony trakt, przechodząc w zwirową ścieżkę. Po kilku minutach stałem po przeciwnej stronie miejsca, z którego wywoływałem echo.

Nic szczególnego. Brzeg porośnięty trawą, trochę krzewów, w oddali las. Teraz już bez lornetki widziałem pulsujące światło. Poszedłem w tym kierunku i kiedy byłem w połowie drogi, nagle pojawił się na niej człowiek, ubrany w taką samą kufajkę jak ci dwaj w barze. Już miałem go minąć, gdy zastąpił mi drogę. Wyglądał jak ostatni lump, był zarośnięty, spod wełnianej czapki sterczały długie, proste, siwe włosy, ale nie czuć było od niego tego charakterystycznego zapachu śmieciaków i niedomytego ciała. Ba, on pachniał dobrą wodą. Zaczął mnie przekonywać, że do lasu nie można, bo tam zaraza, wyłożona trutką, że dziki, lisy, *Trichinella spiralis*, *Francisella tularensis* i ogólnie las jest niebezpieczny o tej porze roku. Mówił dość chaotycznie, wyraźnie improwizował, niewiele z tego rozumiałem. Tym bardziej że posługiwał się dziwną mieszanką gwary śląskiej i góralskiej, wtrącając łacińskie nazwy chorób, na które będę narażony, gdy tam wejść. Powiedziałem, że się nie boję, że idę oglądać ptaki i pokazałem lornetkę. Wtedy on złapał mnie za bluzę i zaczął szarpać. Nagle, w zamieszaniu, spadła mu z głowy czapka wraz z peruką i odkleiła się broda. Wtedy go poznałem. – Stefan! – zawołałem. – Ty jesteś Stefan Maciaszczyk, chodziliśmy razem do podstawówki!

I wtedy Stefan się rozplakał. Musiałem przyrzec, że to, co mi powie i pokaże, zachowam w ścisłej tajemnicy. Kiedy podeszliśmy kilkadziesiąt kroków w stronę lasu, wyjął pilota i nacisnął przycisk. Ściana lasu zaczęła się powoli, bezszelestnie rozsuwać, odsłaniając przejście do innej rzeczywistości. Ukazała się farma paneli słonecznych i kilkanaście wiatraków obracających majestatycznie swe wielkie łopaty. Dalej domy, a właściwie wille. Przed każdą z nich dwa lub trzy samochody, których marek z daleka nie rozpoznałem, ale nie były to z pewnością syrenki ani warszawy, tym bardziej wozy drabiniaste.

Lasu, który widziałem przez lornetkę, nie było. Las był atrapą, namalowaną, a właściwie nadrukowaną na ogromnych planszach, płótnach, pochłaniających dźwięk, stąd brak echa. Został on wycięty, drew-

no sprzedano, a za uzyskane pieniądze wybudowano nowoczesne osiedle, w którym mieszka, wraz z innymi członkami Spółdzielni „Światowid”. Pulsujące światło to kontrolka sprowadzonego z Japonii Systemu Rejestracji i Odtwarzania Dźwięków. Elektronika systemu padła, a ponieważ właśnie skończyła się gwarancja, on go naprawia. Stąd zamiast echa, wysłał mi inne, przypadkowe odgłosy. – Władek, nie wydaj mnie – błagał. – Bo widzisz, tradycja się teraz lepiej sprzedaje niż nowoczesność. – W naszym barze byłeś? – Byłem. – A tych dwóch przy stoliku widziałeś? – Widziałem. – To roboty. Też w Japonii je zamawialiśmy. Trzy lata tam siedzą, nie strajkują, jeść nie wołają. Kosztowały majątek, ale wydatek już się zwrócił. I są jeszcze na gwarancji. Tylko piwo przed nimi świeże musimy ciągle stawiać, żeby pachniało.

Wyjaśniła się też sprawa błota na rynku. Czujniki, umieszczone na tablicy powitalnej, wykrywają zbliżające się samochody i uruchamiają pompy, pojawia się błoto, które bardzo się podoba zagranicznym turystom. Dziś miało go nie być, bo kontrolują to sensory pogodowe, ale przez awarię nie działa to właściwie. Powspominaliśmy jeszcze stare czasy, szkołę, dziewczyny i prawdziwe echo. Stefan przeproszał mnie za mokre buty i że nie może zaprosić do siebie. – Wiesz – mówił – monitoring, wydałoby się, że na terenie jest obcy.

Odwiozł mnie w końcu swoją elektryczną furmanką do wsi. Odprowadził na parking, po drodze sprawdził te dwa stojące wozy. Coś tam przy nich pogrzebał, włączył, podregulował. Niepytany wyjaśnił, że koni przy nich nie ma, bo poszły do przeglądu gwarancyjnego. Pożegnaliśmy się, życząc sobie powodzenia, uściskaliśmy się. Wsiadłem do samochodu, uruchomiłem silnik, ruszyłem. Z tego wszystkiego zapomniałem, że od ostatniego ładowania minęło zbyt dużo czasu. Szybko podpiąłem się pod gniazdo zapalniczki.



Władysław Edelman

Duch teatru

Wojewódzki Ośrodek Kultury w Zielonej Górze mieścił się w starym, zabytkowym, bodaj osiemnastowiecznym budynku. Nikt tego do końca nie potwierdził, nie zachowały się bowiem żadne jego plany, a badacze nie byli zgodni w ocenie. Przy różnych drobnych, okazjonalnych naprawach odkrywano czasem jakieś jego tajemnice. A to ślepe drzwi w ścianie, a to schody do piwnicy, w której znajdowano szpargały sprzed wielu lat, z których nic pewnego nie wynikało. Ośrodek tętnił życiem. Do niedawna organizowano tu akademie „ku czci”, teraz, w nowej rzeczywistości, działały koła zainteresowań, występowali zaproszeni artyści czy szkolne zespoły muzyczne. Tylko teatru nigdy nie było, bo nie było ku temu odpowiednich warunków technicznych. Ale miało się to zmienić po kapitalnym remoncie, któremu, po wielu latach użytkowania, poddano ten wiekowy gmach. Znalazły się środki nie tylko na sam remont, ale i na zakup odpowiedniego sprzętu. W magazynach czekały już skrzynie z urządzeniami do nagłośnienia, oświetlenia, ba, była nawet podnoszona mechanicznie kurtyna z ciężkiego, czarnego pluszu.

Poprzedni dyrektor odszedł właśnie na emeryturę, dość długo szukano kogoś na jego miejsce, aż w końcu pojawiła się w mieście odpowiednia osoba. Była to Ludwina Starostecka, na oko czterdziestokilkuletnia, doświadczona aktorka, która – jak szeptano – z powodów osobistych musiała opuścić sceny warszawskie. Tu, na „Ziemiach Odzyskanych”, jak jeszcze czasem, choć raczej żartobliwie, nazywano tę część kraju, nikt jej nie znał.

Pani Ludwina energicznie wkroczyła w progi Ośrodka Kultury. Do jej zadań, oprócz kierowania całą placówką, należało dopilnowanie, aby montaż urządzeń w sali teatralnej przebiegał zgodnie z potrzebami sztuki. Równie ważnym przedsięwzięciem było powołanie do życia teatru amatorskiego, którym miała kierować. Dyrektor Starostecka osobiście wykonała ogłoszenie o naborze, które powiesiła na drzwiach ośrodka. Dość szybko zgłosiła się spora grupa zainteresowanych. Przesłuchania były raczej formalnością, trudno bowiem od amatorów wymagać nie wiadomo jakich umiejętności, ale w końcu pani dyrektor wybrała przyszłych aktorów. Były to osoby w różnym wieku, różnych zawodów i o bardzo różnym stopniu predyspozycji i umiejętności.

Gmach, malowniczo usytuowany w starym parku, był na czas prac remontowych zastąpiony solidnym, metalowym płotem. Młodzi adepci sztuki aktorskiej dostali jednak specjalne zezwolenia i rozpoczęto próby. Po kilku spotkaniach postanowiono wybrać nazwę. Ktoś zaproponował „Teatr w samo południe” i z początku wszystkim bardzo się ona podobała, ale pani reżyser przekonała, że ciekawiej brzmi „Teatr o północy”. Bo też i próby często o tej godzinie się kończyły.

Na początku aktorzy opowiedzieli o sobie, czym się zajmują zawodowo i do jakich szkół chodzą. Poprosili też Ludwinę o opowiadki, anegdotki z jej pracy w stołecznych teatrach. Nie była zbyt wylewna, owszem, opowiadała, jak Gustaw Holoubek zapomniał tekstu, jak inny znany aktor przyszedł na spektakl pijany i trzeba było błyskawicznie organizować zastępstwo itp. O sobie mówiła niewiele. Tłumaczyła, że zmieniała sceny, bo proponowano jej lepsze warunki, że z kolejnego teatru odeszła, bo reżyser był słaby lub repertuar za mało ambitny, że koledzy ciągle robili jej kawały itp.

Coś tu jednak było nie tak, coś się nie zgadzało. Do rodziny Grzeška przyjechała na kilka dni siostra jego mamy, pracująca w warszawskim Teatrze Narodowym. Kiedy Grześ, opowiadając o swojej teatralnej pasji, wymienił nazwisko Ludwiny Starosteckiej, okazało się, że ciocia o nikim takim nie słyszała. Owszem, była taka przed wojną, ale teraz to chyba nie – mówiła. Ale, kto wie, przecież nie mogą wszystkich znać. Grzegorz podzielił się z kolegami swoimi wątpliwościami, ale nikt się tym specjalnie nie przejął. Może po prostu zmieniła nazwisko? Zresztą, jakie to ma znaczenie – mówiono. Ważne, że mamy wreszcie teatr.

„Teatr o północy” rozpoczął więc regularne próby. Właśnie Teatr. Ludwina pilnowała, aby nie używać określenia „teatrzyk”, „grupa teatralna”, „kabaret”, a „Teatr”. Teatr przez wielkie „T”. Bo choć to pasja, hobby, zajęcie wykonywane w czasie wolnym, to wszyscy, a głównie Ludwina, podchodzili do niego śmiertelnie poważnie. Musicie poczuć ducha teatru – mawiała. Na próbach uczono się śpiewu, tańca, improwizacji, ćwiczone dykcję. Wkrótce wszyscy bezbłędnie mówili „strzelba”, „trzeba” i „postrzyżyny”. Przystano też popełniać błędy językowe i aktorzy mówili poprawnie „włączyć”.

Ludwina miała niezwykłą siłę przebicia. Sprowadziła instruktora walki wręcz, kaskadera i nauczyciela szermierki, bo wszystko miało się wkrótce przydać. Spieszyli się, bo mimo utrudnień – często próbom towarzyszył hałas młotów, wiertarek lub krótkie wyłączenia prądu – ambitny plan zakładał, że wraz z zakończeniem remontu Teatr będzie gotowy z premierą. Za każdym razem, kiedy późnym wieczorem aktorzy przychodzili do WOK-u, Ludwina już tam była. Sama otwierała wszystkie pomieszczenia i sama je zamykała, zawsze pełna werwy, energiczna i zaangażowana.

Na warsztat wzięto nie byle co, bo *Romeo i Julia* Wiliama Szekspira. Po miesiącu prób czytanych przyszedł czas na ustawianie scen akcji. Pierwsze dwa akty przećwiczone bez problemu. W akcie trzecim, w którym jest bójka pomiędzy Tybaltem a Merkucjem, zaczęło się coś psuć. Pani reżyser wciąż miała pretensje, że aktorzy są za mało prawdziwi, że nie wczuwają się w role. Dołóż mu! – krzyczała. Wymagała, aby scena bójkę wyglądała realistycznie. Opuściła dopiero, kiedy grający Merkucja Grzesiek, uczeń Gimnazjum nr 1, wrócił do domu z porządnie podbitym okiem. I nic w tym dziwnego, bo Tybaltem był Roman, bezrobotny osiłek, wdający się często w prawdziwe, niereżyserowane bijatyki.

Na próbach posługiwano się rekwizytami przyniesionymi przez Ludwinę, które – jak mówiła – przewiozła z Warszawy. Był wśród nich m.in. sztylet z ostrzem chowającym się do rękojeści, więc scena zabójstwa wyglądała bardzo prawdziwie. Właśnie do tego dążyła pani reżyser, do autentyczności. Teatr to magia, gramy tak, aby widz wierzył, że to się dzieje naprawdę. Na scenie ma być jak w życiu.

Zbliżał się upragniony koniec remontu, a tym samym premiera, którą wyznaczono na 27 marca – Międzynarodowy Dzień Teatru. I znowu wszystkim zajęła się osobiście pani reżyser. Odpowiednio wcześniej wysłała zaproszenia do władz miasta, informacje do gazet i telewizji. Wszystko szło świetnie, próby kostiumowe wypadły imponująco, pozostało jeszcze dopracować najtrudniejsze elementy – bójki, morderstwa, samobójstwa. Julia, czyli pani Tereska, młoda nauczycielka z gimnazjum Grzeška, pięknie upadała po wypiciu trucizny, Romeo, idealny do tej roli, wysoki i przystojny jak amant filmowy pan Stanisław, prezes Ochotniczej Straży Pożarnej w jednej z okolicznych gmin, także był świetny w scenie zabójstwa Tybalt. I jeszcze lepszy, gdy sam umiera. Ludwina była wniebowzięta: rzucimy ich wszystkich na kolana – powiedziała na zakończenie ostatniego przed premierą spotkania i wyszła do garderoby się przebrać.

Było tuż przed północą i wszyscy, porządnie zmęczeni, rozmawiali jeszcze o zakończonej właśnie próbie, żartowali, omawiali szczegóły. Ubrani już do wyjścia, czekali tylko na Ludwinę, która zwykle szła z nimi do pobliskiego postoju taksówek, aby dopilnować, by wszyscy bezpiecznie wrócili do domów. Ale nigdzie jej nie było. Może wyszła tylnym wyjściem? – zastanawiali się. Ale nie, drzwi były zamknięte. Pewnie nie zauważyliśmy, że wychodzi, powiedział Stanisław. Wyszli więc razem, zatrzasnąwszy za sobą drzwi budynku i bramę ogrodzenia, które ekipa budowlana miała następnego dnia rozebrać. No to cześć, spotykamy się w sobotę o osiemnastej!

Nadszedł wreszcie dzień premiery. Kilkadziesiąt minut przed zaplanowanym otwarciem ośrodka zebrała się spora grupa ludzi. Oficjele, dziennikarze, znajomi i rodzina, widzowie z miasta. Tłumek, a właściwie już tłum, był coraz bardziej niespokojny i podenerwowany. Dlaczego nie zdjęto tego ohydnych płotu? A ta betoniarka to musi tak stać na środku drogi? Dlaczego nas nie wpuszczają? Na metalowej bramie wciąż wisiała tabliczka z napisem: „Teren budowy – nieupoważnionym wstęp wzbroniony” i wyraźnie naigrywała się z zebranych. Co bardziej niecierpliwi zaczęli stukać, walić pięściami w blachę ogrodzenia. Halo, jest tam kto?! Otwierać! Po kilku minutach z gmachu wyszła dziwna postać w gumowcach i kufajce – stróż czy portier. Przez szczeliny w płocie widać było, jak chwiejnym krokiem zbliża się do furtki. Zazgrzytał w zamku klucz, brama się uchyliła.

– Czego? – zapytała w końcu postać, kiedy już przełknęła kęs trzymanej w dłoni bułki. W drugim ręku tkwił nóż, może sztylet, z nabitym na ostrze kawałkiem kiełbasy. – Tu jest budowa, kierownika już nie ma, będzie w poniedziałek, jak przywieżą beton. A wy do kogo?

Zrobiło się poruszenie, w ruch poszły kamery, podbiegli dziennikarze z mikrofonami, zaczęli wypytwać o teatr, otwarcie gmachu.

– Ja tam nic nie wiem, ja tu tylko pilnuję, żeby nic nie rozkradli, bo tu się jakieś gówniarze ciągle kręcą. Niech przyjdą, jak będzie kierownik, mówiłam wam już.

Ktoś jeszcze rzucił pytanie o panią Starostecką, że premiera, że zaproszenia...

– No ale, że co? To ja jestem Starostecka i co z tego? – rzuciła Starostecka.

Przez chwilę stała, patrząc martwym wzrokiem w twarze zgromadzonych. Po czym odwróciła się na pięcie, zatrzasnęła za sobą ciężką, metalową bramę i powłócząc nogami, wróciła, skąd przyszła.



Po co

Zastanawiam się
co by się stało
gdybym przestała się starać
gonić za niedoścignionym
stawać na rzęsach

Czy czułabym
że jestem niepotrzebna
A może przeciwnie
że wreszcie jestem wolna

Przezroczysta

Zapomniałam już
Że kiedyś
Nie używałam korektora
Chodziłam w szpilkach
I nosiłam pończochy

Że mogłam
Całą noc pisać
A o świcie
Ugotować dzieciom owsiankę

Że moje nogi
Nie służyły tylko do chodzenia
Włosy do farbowania
A usta do jedzenia

Zapomniałam
Że kiedyś
Nie byłam przezroczysta

Książka

Ucieczka
Przygoda
Uśmiech
Łzy
Zaduma
Iluzja
Marzenie
...
Książka

Tata

Dłonie pachnące tytoniem
Szorstkie
Pożółkłe od papierosów
Spracowane
Z bliznami po odciskach

Jego ramiona
Szerokie pewne bezpieczne
Kiedy stałam na nich
Jako mała dziewczynka
Niczym akrobatka

O jego łydkach
Zawsze sądziłam
Że nie pasują do reszty ciała
Chude i gładkie
Dziś widzę to samo w moich

Zapach świeżo parzonej kawy rano
Zawsze w filiżance
Z cienkiego szkła
Ciemna i mocna
Tak bardzo że cukier nie tonie

Niedzielne śniadanie dla całej rodziny
I babka z kakao na podwieczorek
Makaron z kiełbasą
Zupa „przez ogródek”
I słodki budyń w kryształowej salaterce
Rozmowy w kuchni i przez telefon
Słuchał co do niego mówię
Wiele lat oczekiwane „Cześć Kochanie”
I „Dzwoń o każdej porze”
Podczas ostatniej rozmowy

Już nigdy tego nie usłyszę...

Płytki oddech łapany z trudem
Kurczowy uścisk
Napięcie wewnętrzne
W ostatnich chwilach taki inny
Kruchy i bezradny

Choć jeszcze miał ochotę na barszcz
Nie zdążył go skosztować
Na zawsze zapamiętana stop-klatka
Czerwień zupy i biel talerza
– Symbol życia czy przypadek?

Tak bardzo chciałabym
Móc powiedzieć mu „Do zobaczenia”
Mamy sobie tyle
Do opowiedzenia...

Tato
Dziękuję
Za to
Że byłeś
Że ja jestem

Błogosławieństwo niespełnionych marzeń

Pochodzę z dumnego narodu, a naszą potrawą narodową jest naleśnik. Na próżno podczas niewoli, w jaką popadliśmy na długie lata, zaborcy usiłowali rozsmakować nas w blinach, plackach czy racuchach. Nie zważając na represje, w każdym szanującym się domu konspiracyjnie przechowywano tradycyjne przepisy na naleśniki i przekazywano je sobie z pokolenia na pokolenie. Ja miałem szczęście przyjść na świat, gdy nasz kraj odzyskał już niepodległość i dlatego w pierwszą rocznicę moich urodzin przy rodzinnym stole otoczonym wianuszkami cioci, wujków, stryjów i kuzynów królowały naleśniki o przeróżnych smakach – na słodko, na ostro, pikantne lub delikatne.

Tu muszę napomknąć, że naród nasz, odzyskawszy niepodległość, jedynie na bardzo krótko zjednoczył się pod szyldem wspólnej patelni do smażenia naleśników. Wkrótce nastąpił rozłam i podzielono się na tych, którzy za jedyne słuszne i właściwe uważali naleśniki sporządzone z mąki razowej, oraz tych, którzy za jedyne słuszne i właściwe uważali naleśniki upichcone z mąki pyłkowej. Ja miałem to szczęście, że moja rodzina podczas uczty z okazji moich pierwszych urodzin raczyła się naleśnikami w obu wersjach, zając się nimi w pełnej zgodzie.

I właśnie wtedy podczas tych moich pierwszych urodzin zadziwiłem wszystkich biesiadników, gdy zdecydowanym gestem odstawiłem od moich usteczek pełnomleczną pierś mojej rodzicielki i swoimi pulchnymi łapkami ucałowałem pierwszego z brzegu naleśnika, po czym pożarłem go łapczywie, chociaż wyposażony byłem wówczas jedynie w dwa dolne siekacze.

No i od tej pory zaczęło się – nic, tylko naleśniki i naleśniki, więc moja mama nigdy nie skąpiła mi tego smakołyku. No i wreszcie stało się. Gdy miałem siedem lat, wykorzystując nieobecność mamy w kuchni, postanowiłem samodzielnie usmażyć naleśnika. Gdy mama wróciła do domu z sąsiedzkich ploteczek, czekała na nią mój pierwszy samodzielnie upichcony naleśnik.

Podziwiam jej poświęcenie. Zjedliśmy go, dzieląc się nim na pół, choć z jednej strony spalony był na węgiel, a z drugiej zaś błąd niczym kozi ser, ponadto konsystencją i smakiem przypominał starą dętkę rowerową. Moja mama wszelako doceniła moje zaangażowanie, pochwaliła za inicjatywę i uroczystie przekazała mi naszą rodzinną księgę z przepisami na naleśniki.

O, jakże byłem szczęśliwy! Moje następne naleśniki były już pulchne i rumiane, a nadzienia sporządzone przeze mnie budziły podziw i uznanie podczas wszelkich uroczystości organizowanych przez moich krewnych. Wkrótce zamówienia na moje naleśniki zaczęły składać także osoby spoza kręgu moich bliskich, co napawało mnie dumą, gdyż w międzyczasie zdobyłem wykształcenie w kierunku zupełnie niezwiązanym z naleśnikarstwem.

Tak, byłem amatorem, ale jakże zdolnym. Gdy dowiedziałem się, że w naszym mieście działa Amatorski Klub Wielbicieli Naleśników, to upichciłem cały półmisek mojego przysmaku i w dyrdy do nich. Posmakowawszy moich dzieł, przyjęli mnie do swojej kompanii z otwartymi ramionami! Spotykaliśmy się raz w ty-

godniu w przytulnej knajpcie, gdzie oddawaliśmy się wręcz wyuzdanej konsumpcji naszych naleśników, na co właściciel knajpki patrzył przez palce, gdyż wypijaliśmy przy tym hektolitry sprzedawanych przez niego napojów. Moje naleśniki cieszyły się wielkim uznaniem tak członków tego amatorskiego Klubu, jak i jego Prezesa, więc często nagradzano je podczas potyczek kulinarnych, inicjowanych przez nasz Klub.

Niektórzy spośród nas posiadali papiery zawodowców. Sam Prezes Klubu też je miał i zachęcił mnie, abym i ja uruchomił procedurę ubiegania się o zawodowstwo w Zawodowym Związku Wielbicieli Naleśników (stojącym w opozycji do Zawodowego Związku Miłośników Naleśników). Ech, że też lampka ostrzegawcza nie zapaliła się w mojej głowie, gdy pobrałem formularz, wypełniłem go i z półmiskiem naleśników dostarczyłem w wyznaczonym terminie do siedziby zawodowców... O, jakże zabolało mnie, gdy zwrócono mi je nawet nietknięte, z adnotacją: „Pańską prośbę o przynależność do ZZWN załatwiamy odmownie, gdyż pańskie naleśniki [uwaga, uwaga!] nie wyczerpują znamion sztuki naleśnikarskiej!”.

Z rozpaczury urzynałem się w trupa, a po trzech dniach ochłaju uległa się we mnie taka oto fraszka, którą cytuję: „Jak chłop, co mu kuśka nie staje / jak dziwka, co źle d...y daje / jak student, co złapał i syfa i dwóję / tak, k...a, ja dziś się czuję!”.

I to mnie uleczyło. Podałem kartkę z fraszką i raz jeszcze przestudiowałem treść odmowy. Ryknąłem śmiechem – toż to bełkot! – oprawiłem ją w ramkę i zawiesiłem w pewnym ustronnym miejscu, a sam wziąłem się ostro do roboty. Rozsyłałem moje naleśniki na wszelkie konkursy tak krajowe, jak i zagraniczne, zgarniając wyróżnienia i nagrody, a oceniały je uznane naleśnikarskie autorytety!

I wtedy dopadło mnie uczucie, którego istoty najpierw nie byłem w stanie pojąć, ale po głębszej analizie zrozumiałem – jestem wdzięczny temu bufonowi, który odrzucił moją kandydaturę na zawodowego naleśnikarza. Czyż tego, co osiągnąłem, po części nie zawdzięczam właśnie jemu?... Wszak wiadomo, że spełnienie marzenia bywa początkiem stagnacji. I tu zacytuję myśl wielkiego Szekspira, która stanowi drogowskaz we wszelkich moich poczynaniach: „Mądry człowiek nie opłakuje przegranej, lecz szuka sposobu, by wyleczyć odniesione rany”.

2. nagroda w XIV Ogólnopolskim Konkursie Literackim na prozę poetycką im. W. Sułkowskiego w Łodzi, Festiwal Literacki „Puls Literatury” 2019.

Modlitwa o uśmiech

Dzień dobry już pora
Pora styczniowa
Słońce jeszcze śpi
Nie śpi? To się chowa
w chmurach
Na uśmiech czeka
Czyj uśmiech?
Na uśmiech człowieka
Polki i Polaka
co zawzięte miny mają
we dnie, w nocy
i wieczorem
gdy spać idą
rankiem, kiedy wstają zorze
Uśmiechem ich obdaruj
dobry Panie Boże



Topielica

Włos splątany, blade lica
Z wody wyszła topielica
Dokąd pójdzie, skąd przybyła
Młoda – długo nie pożyła

Teraz płacze się w szuwarach
zjawia senna, nocna mara
Wypatruje kogoś w lesie
Węszy, wiatr z oddali niesie
jakąś woń i cichy szelest
Nasłuchuje trup niewieści
Czy to w krzakach wiatr szeleści?

Przystanęła wodna mara
Patrzy i oczom nie wierzy
Postać jakaś sinoszara
z naprzeciwną ścieżką bieży

Któż to taki – jęzor siny
stęka jęczy, charczy, rzęzi
sznur u szyi – to wisielec
urwał się z gałęzi

Tutejszość, która bywa nietutejsza

Nie wiem, w jaki sposób utknąłem tutaj na całą noc. W sianie. Na strychu. Jest świt. Brzask. Albo poranek. Od dachu bije parna ciepłota.

Z zewnątrz dochodzą zwierzęce oznaki niepokoju. Krowa muczy. Baran beczy. Jedyna kura w obejściu udaje, że zniosła jajo. Do tego gęganie gąsiora. Pies ujada, pobrzękując łańcuchem o budę.

W chałupie nikogo nie ma. Ślepa babka Maria potyka się o sprzęty. Złazę po drabinie. Kuzyn Kazeł ani myśli bez nagabywania zleźć ze strychu. Proszę, żeby chociaż posłuchał, co się dzieje w obejściu. – Myślę, że one wszystkie czują za blisko obcego, jakbym tutaj wziął się skądś – mówię. Przecież jestem tutaj obcy. Wakacyjny. Kazimierz tylko słowem się odzywa: – Chodź – mówi. A ja idę, jakby po naukę, bo wszystko dla mnie pierwszyna. Jak święta, z powodu tajemnicy, nowina. – Będziemy jeść – powiada Kazimierz. Gdzieś mnie ciągnie. Wycofujemy się za stodołę. Schodzimy w okolice wypalonych ruin fundamentów pierwszej chałupy w obejściu. Na popiołach najbardziej udają się gołąbki. Samosiewne grzyby. Surojadki. Zbieramy tylko średnie. Są najlepsze. Wracając, wygrzebujemy jaja z dzikiej grzędy.

O nic nie pytam. Ufam Kazimierzowi. Jest bardziej stąd niż sosna zasadzona na pamiątkę pierwszego rozwiązania ciotki. Jest apostołem mojego przejścia z tamtego świata. Przed wejściem do chałupy zatrzymujemy się w sieni. Kazeł otwiera pakę, nabiera w koszulę trochę mąki. – Mamy wszystko – mówi, jakby wypowiadał zakłęcie.

Jesteśmy sami. Babka Maria się nie liczy. – Potrafi już tylko żreć – uspokaja mnie Kazimierz. Nie jestem przekonany. Czuję jej ślepą obecność, intensywne milczenie. Kazeł myśli, że to strach. Ja wiem, że to respekt, który się Marii należy, nawet gdy kuca koła wyra, wypróżnia się i podsuwa kupę pod łóżko. Jestem wzruszony. Jakbym tego nie widział.

Kazeł wysypuje mąkę na stół. Robi ciasto. Rozpala w piecu. Grzybów nie myje. Kładzie na płycie ciasto i grzyby. Paski pęcznią, na powierzchni robią się złociste, pękające koła. – Podpłomyki – tłumaczy. W miseczkach grzybów pojawia się brunatny sok. Spod ściany, od łóżka, słychać babcine pociąganie nosem. Maria unosi głowę – próbuje zlokalizować źródło zapachów. Wstaje. Przesuwa się w kierunku pieca. Kazimierz stawia taboret na linii babcinej marszruty. Stara człapie powoli, z namaszczeniem. Kazimierz celebruje tę wędrówkę. Babka otwiera oczy, pokazuje mleczne gałki, pozbawione rogówek. Boję i cieszę się, że widzi. Babka dochodzi do taboretu, potyka się, pada na klepisko. Instynktownie wyciąga ręce i nie robi sobie krzywdy. Nie klnie, nie próbuje wstać. Na coś czeka. Kazeł ściąga z płyty kawałek placka, rzuca go na klepisko. Gdy babka, wachając, dociera do niego, prawie bierze go z ziemi ustami, Kazimierz stopą odsuwa go w bok. Tak kilka razy. Aż Maria, ciągle leżąc, łapie Kazka rękami za nogę. Chce ugryźć. Wtedy Kazeł podnosi z klepiska ciasto. – Na – mówi, wpychając babce brudny kawałek w gębę. Maria połyka kęs. Wycofuje się na wyro, jak najedzony pies. Nie podnosi głowy. Nie widać, co ukrywa pod ściśniętymi powiekami. – Może ją coś boli? – pytam. – Zła jest – odpowiada Kazimierz. – Głodu boi się bardziej niż śmierci

i że jak nieśmiertelna. – Jej głód cię niepokoi? – pytam. – Raczej jej apetyt – krzywi się Kazimierz. – Zjadła, a i bez tego nieżywa. Pewnie jej jeszcze jakąś nadprzyrodzoną odrobinę brakuje – kończy Maria z omszałym, po męsku zarośniętej brody, wyciera ślinę.

– Chodź. – Kazimierz coś nowego wymyśla. Idziemy do piwnicy. Z glinianego garnka z mlekiem odlewa z pół litra do blaszanego kubka, z którego stryj pija wódkę. Włazimy na strych. Gdy jesteśmy na górze, w odeskowanej części nad sienią, ale bezpiecznie daleko od włazu, odrzucamy siano do gołego stropu. Przez szpary między deskami widać, co dzieje się na dole. Wie, czy nie wie o tym Maria?

Stara czuje, że nikogo nie ma. Zsuwa się z wyra, pełźnie do pieca z uniesioną głową, obwąchuje powietrze, przemieszcza się do wyjścia. Wykorzystuje framugę jako oparcie, wstaje na nogi. Przesłupuje próg. Jest w sieni. Z góry widzimy siwą, pochyloną głowę. Bez wyciągania rąk, z zapamiętania, robi kilka pewnych kroków w kierunku paki z ziarnem na jesienny zasiew.

Żeby udały się jare i oziminy, ziarno musi być suche. Ciotka nie przywiązuje do tego wagi, wujek ma to gdzieś, ale babka w bezwarunkowym odruchu, codziennie – czy ktoś to widzi, czy nie – wsuwa ręce do paki i wyciąga garściami spod spodu, a nawet z samego dna, wilgotniejsze ziarno na wierzch, żeby przeschło. Robi to od zawsze, sama nie pamięta od kiedy i po co.

Wie, albo czuje, że to ziarno jest co roku początkiem wszystkiego, istotą wszelkiego życia na świecie. Ma od tego macania więcej ciepła niż od najczulszego przytulania, niż od najtkliwszych słów. Więc teraz się modli. Gdyby w półmroku sieni przyjrzał się starej z bliska, toby wypatrzył leciutki grymas uśmiechu, mikroskopijny strzępek zadośćuczynienia na marmurowej twarzy. Ale nikt z obejścia tak nie patrzy, ani sili na szukanie miękkich słów. Ze strychu tym bardziej nie widać twarzy. Niewiele słychać poza domową ciszą, szelestem wiatru smagającego strzechę, szmerem przelewającego się poniżej strumienia.

– Widzisz? – pyta Kazimierz. Widzę Marię. Myślę, że czegoś szuka, grzebie w pace bez zrozumiałego powodu. – Siał jej się patrzy – tłumaczy szeptem Kazimierz. – A gównol! – odgryza się głośnie. Przez szparę w podłodze strychu, z ojcowego kubka, wylewa mleko. Cienką strużkę celuje w głowę Marii. Trafia za pierwszym razem. Babka z początku nic nie czuje. Dopiero, gdy mleko spływa po twarzy, wyciągniętym językiem smakuje ciecz. Upewnia się, czy to tylko deszcz spod strzechy, czy być może szczyny Józefa, który jak dobrze pijany, nie złązi do wychodka. Klęka przed paką, ręce składa do modlitwy. Głowę do piersi przyciska, jak przy mea culpa, potem podnosi do góry, ku niebu, na zmianę kołysze się w podzięce. Szepce pod nosem. Ze strychu nie słychać, komu i za co dziękuje. Kazimierz przykłada ucho do desek. – Cicho! – Pomaga ciszy, chociaż ciszej już być nie może. – Po jakimu gada? – zastanawia się półgłosem.

Nikt na świecie nie zrozumie, w jakim języku, z jakim Bogiem Maria się układa, kiedy na dole, pod ręką – ziarno, a z góry – mleko. Większego cudu Maria nie potrzebuje.

Kazimierz wstaje, jakby go kto wrzątkiem pokropił. – Pacierze klepie franca nadaremno! – wścieka się. Dudnienie na górze wyrzywa babkę z zaświatów. Prostuje się, oczy szeroko otwiera, podnosi głowę bez ślepej pokory. – Żebyś ty zdybie z głodu spuchł! – krzyczy z dołu. – To i gada po ludzku, jak się czego z nieba zachciewa! – odszczekuje Kazimierz. Maria trzęsie się z przerażenia. Rusza na przeciwległą ścianę. Po drodze wyciąga z koryta tłuczek do ugniatania świńskich ziemniaków. Wsuwa bosc stopy w szpary między belami ściany, pomaga sobie rękami, tłuczek z jednej do drugiej przekłada. Powoli, wdrapuje się na górę. Kazek odwraca się do mnie, popycha do okna z drabiną. Babka jest już za nim. Ledwie na pierwszym szczeblu stawiam nogę, Kazimierz już jęczy od babcinego uderzenia. Po drugim razie, spycha mnie z drabiny. Spadam, niby nie z wysokości, ale wystarczy, żeby zwichnąć nogę. Za mną Kazimierz, podwójnie sfatygowany, ląduje na psiej budzie.

Maria schodzi ze strychu inaczej, zwinnie przekłada nogi po szczeblach drabiny. Coś ją nagle wyprostowało. Jakaś paskudna siła. Albo znowu niczego nie widzi, albo nie wie, co się dzieje. Wreszcie znowu jest cicho. Tylko pies wraca do porannego szczekania, jakby przy budzie nie swoi, a obcy lizali rany.

Podpierając się nawzajem, dochodzimy do izby. Maria siedzi na wyrze, jak wczoraj, przedwczoraj i zawsze – zgięta w pół. Spod przymkniętych powiek nie patrzy na świat. Przeczuwa jak zwierzę, że idą swoi. Gdy ustaje psie tarabanie, w progu jak zjawą wyrasta Józef. Ciotka wyklada na stół to, co za spieniężenie na kleparzu papierówek, renklod i innego dobra, pokupowała w mieście. Są tulejki miętowe, salceson z taniej jatki, ocet, sól, stoiczki z fioletowymi pieczętkami zamiast etykiety, flaszka wódki z czerwoną kartką.

Na końcu ciotka wyjmuje bułkę. Jedną. Co jest podejrzan. Będzie dzielony okrągły, chrupiący, wyglądający jak kawałek bajgiel. Poza mną nikt nie interesuje się bułą. Ciotka idzie z nią do wyra. – Jedzcie, matka. A pamiętajcie podziękować przed Bogiem. – Podaje Marii najlepszy ze wszystkich przetransportowanych ze świata wiktuałów. Idę po swoją część, ale Kazimierz łapie mnie za rękę. – To jest dopust – tłumaczy. Wkłada mi w rękę aluminiową łyżkę. Podsuwa do połowy opróżniony stoik. Wygrzebuje z różowej, gulaszowej mazi trochę czegoś, co jest być może nieco twardszym kawałkiem mięsa. Czuję nasycenie. Kazimierz mnie adoruje. To pewnie wielkie wyróżnienie jeść w dzień powszedni, o byle jakiej porze, bez żadnej zwyczajowej okazji – tyle mięsa na jeden raz. Gdy w gębie robi się pełno, bo nie chcę rygać na stół, wybiegam do sieni. Nie daję rady dobrnąć na pole, zwracam na pakę z ziarnem. Dobrze, że Maria nie widzi, myślę. Ale z głębi chałupy patrzy na mnie Józef. Wstaje, wybiega z izby. – Rany boskie! – wrzeszczy i wali mnie pięścią w plecy. Teraz wypróżniam nie tylko głowiznę, ale i grzyby – wszystko, co zjadłem po drugiej stronie świata. Stryj trzyma mnie za podkoszulek. – Skądśś pomiot za fajdał chleb! – komunikuje. Z izby wychodzi sfatygowany Kazimierz. – Dajcie, ojciec, spokój, nażarł się normalnie nieswojego i tyle. – Stryj wlece mnie do progu, wypycha za drzwi, poprawia kopniakiem.

Łąduję na błotnistym podwórku. Obserwuje mnie cała rodzina. Nie czuję tylko ciężkiego spojrzenia Marii. Wiem, że wylazła ze mnie jakaś tutejsza niegodność. Wstyd mi. Mdli mnie własny smród. Wstaję. Zbiegam po Miterówce do pary. Nad potok. Nic mnie już nie boli.

Kładę się wzdłuż nurtu strumienia. Jest płytko. Woda ledwie do połowy przykrywa bezwładne ciało. Nabieram powietrza. Zanurzam twarz. Woda wlewa się do uszu. Słyszę głęboki szum. Daleką przestrzeń, która zagłusza wszystkie odgłosy z mierzewiczowego sadu, z Podbiałowego Wzgórza, z Góry Świętego Marcina, z rozcapierzonego w dole miasta, zewsząd z bliska. Nie słyszę nawet wionoczelowej ciszy Cmentarza Komunalnego. Otwieram pod wodą oczy. Widzę z najbliższego bliska dno strumienia. I nic nie widzę. Wyciągam głowę. Przemywam twarz. Uważnie nasłuchuję najbliższych odgłosów. Czysty. Wypływany z uświęconego, jak się przekonałem, trawienia. Co teraz będzie? Myślę. Nade mną ćwierkają ptaki. Pode mną piszczą hamulce samochodów. Z boku bije dzwon drewnianego kościółka. Moje stopy w strumieniu. Krystaliczna woda przepływa między palcami. Gdy za długo się przyglądam, wydaje się, że woda stoi, a stopy płyną. Aż strach, że cały odpłynę gdzieś na koniec świata.

Wysoko, za plecami, słyszę szczekanie psa. Ktoś się zbliża. Zza rogu chałupy wychodzi ciotka. Coś nie sie w rękę. Nie wiem, czy się chować, czy zostać tutaj. Daleko gdzie nie mam co uciekać, wszędzie mnie tu znajdują. Wyrokuję.

Ciotka uśmiecha się. W rękę trzyma kubek. Pełny świeżego mleka. Poznają po pianie na wierzchu. Krzywię się. Ciotka nie pozbywa się dobrego uśmiechu. Wyciąga zza pleców drugą rękę. Podaje solniczkę.

Opowiadanie zdobyło 1. nagrodę w 20. Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukszty „Małe ojczyzny – pogranicze kultur i regionów” w Kargowej.

Pod ziemią

Pod ziemią, pod tamtą
Stacją metra. Pod płotem
Wykopałam swą jamę
Zostawcie mnie w spokoju

Na czubku drzewa
Wśród ptaków pancernych
Uwiłam swoje gniazdo złote
Zostawcie mnie w spokoju

Wśród śmieci, w rynsztoku
Gdziekolwiek. No, wiecie

Na tamtym oddziale
Tamtego szpitala
Pod łóżkiem wariatki
Założyłam swe królestwo

Przybyły do niego łanie i jelenie rącze
Zaproszono klaunów, akrobatów, mima
I ujrysz w nim suto zastawione stoły

I jeszcze ta muzyka, której nie słyszycie

I jeszcze bez kwitnący
I matki z dziećmi, i taniec
I ciepły deszcz letni, bo w końcu żyjemy
W najwspanialszym z możliwych światów

Dziwka

Czy musieliście kiedyś sprzedać swą wątrobę
Lub inny narząd wewnętrzny, no, nerki, powiedzmy
Sprzedać coś takiego to nie drobiazg, błahostka
Trzeba się napocić, a potem też nie jest lekko

Czy musieliście kiedyś sprzedać własne serce
Własne serce, powiadasz? Tak: własne, i tak: serce
To możliwe, tak bywa. Choć serce każdemu...
No, zresztą sami wiecie. Co wam będę gadał

Czy musieliście sprzedać swą duszę, jej część może
To właśnie jest najgorsze. Jest ciężiej niż z sercem
Bo serce – tylko ciało, a dusza – wiadomo
To coś więcej, i coś mniej. I więcej to, i mniej

Jeśli nie, to nie mówcie: „Ach, bycie artystą...”
Jeśli nie – morda w kubel! Co wiecie o życiu
W którym list każdy z odmową jest jak strata dziecka
A mam dzieci, więc wiem przecież. Nie ma w tym przesady

Jeśli tak jednak, to wiecie, sami dobrze wiecie:
Dziwka stoi na rogu i musi się sprzedać
Dziś pewnie się powie, że trudne dzieciństwo
Zła relacja z ojcem. Być może. No, nie wiem

Poszukiwania

Ciotka Maryla wyglądała jak utuczona, rozwyrzona gęś, która nieustannie szuka okazji do bitki i pragnie każdemu udowodnić własną siłę. Rozsiadła się na ławce i pochyliła zupełnie jak mężczyzna, łokcie opierając o kolana. Skórę miała na rękach strasznie białą, a na twarzy wręcz przeciwnie – czerwoną. Nosiła kremowy, poplamiony fartuch. Istna gęś.

Cały czas mówiła, chociaż tak nieskładnie, że nie mogłam się połapać, co dokładnie ma na myśli. Była bardzo zła na „pobłażanie, jakie w tym domu okazywane jest mężczyznom”. Wyglądało na to, że znowu ma jakieś pretensje do mojego tatusia. Maryla go nie cierpiała, zresztą z wzajemnością. Obiekcje miała do wszystkiego – do ubioru, wyrazu twarzy, każdego, nawet nieznacznego gestu. Uważała go za „obiboka” i „gamonia”, który nie potrafi przejąć się własną rodziną i nad ciepło domowego ogniska przedkłada pijaństwo, przesiadywanie pod sklepem i kumpli. A przecież to nie była prawda! Ale Maryla nie dawała sobie tego wytłumaczyć, wciąż złorzeczyła. Miałam wrażenie, że chce obwinić tatusia za wszystko, co na świecie złe, co w jej życiu się nie udało. Jak tak mogła? Szczególnie, że nie mógł się bronić, bo od pewnego czasu nie było go w domu. Gdzie on znowu zniknął? Zaczynałam się już nieco martwić.

Babcia siedziała z tyłu, w cieniu pod wiśnią. Na pozór zastygła w bezruchu. Wyglądała jak rzucona w kąt, zakurzona lalka. Jednak żyła. Niełatwo było to zauważyć, lecz jej ręce nieustannie wykonywały drobne, precyzyjne ruchy. Prostowały się i opuszczały, a palce zaciskały wokół psiego pyska, by zaraz powędrować do ust. Wyglądało to tak, jakby babka dotykała psa i wąchała jego sierść. Ale po co wąchać psią sierść? Przecież psem czuć na kilometr. Chodziło o wiśnię, w tym kryła się cała tajemnica. Babka wytresowała zwierzę w ten sposób, by przynosiło jej do rąk owoce. Ukradkiem wypluwała pestki za siebie, pod płot. Tam rosła cała ich góra i roily się chmary pszczół. Wszystko miało swoje miejsce i nikomu nie przychodziło do głowy, by niepokoić babkę, chociaż niektórzy mogliby pomyśleć zapewne o tym, jakie to niehigieniczne, by jeść wiśnię, które miał w pysku pies.

– Matko! Mogłabyś coś powiedzieć, prawda? Chociaż raz! – zawołała ciotka Maryla.

Na twarzy babki wykwitł tajemniczy, zrezygnowany uśmiech, którego źródła nie sposób było zgadnąć. Staruszka wciąż pogrążona była w odrętwieniu. Miała ciężkie życie i teraz, w podeszłym wieku, bardzo cierpiała. Ukrywane przez lata schorzenia wychodziły na wierzch, brały, co należało do nich. Staruszka pochyliła się na swoim krześle. Poducha, na której została posadzona, zjechała leciutko w dół. I babka zapadła się jak domek z kart albo góra układanego pieczółowicie prania.

– Matko... – nie ustępowała Maryla.

Znów jedynie uśmiech odpowiedział Maryli. Suche, przypominające pergamin wargi ukazały resztki tekturowych zębów, pokrytych czerwoną, wiśniową naleciałością. Jakie wspomnienia czały się w głowie staruszki? Jakże myśli kłębiły się w jej pogrążonym w przeszłości łebku?

– Och, proszę, Marylo... – pisnęła moja mamusia, Agnieszka.

– Przestań! Matka mogłaby zainteresować się problemami własnych dzieci! Ale nie, ona woli milczeć!

– Nie widzisz, że w ogóle nie słuchała? Jej nie dotyczą już nasze sprawy... Myśli o czymś innym...

– Tak! Nigdy się nie przejmowała.

– Proszę, nie mów tak...

– Ale ty bałaś się odezwać choćby słowem! I masz teraz, zobacz, jak skończyłaś. I znikąd pomocy. Tak to już jest, jeśli kobieta godzi się na wszystko, nie potrafi zaprotestować.

Mamusia obruszyła się jak mały, skroplony deszczem ptaszek. Różniła się bardzo od Maryli i babki; one były utuczone, potężne i ciężkie niczym worki ziarna składowanego w spiżarni, mamusia zaś leciutka – chuda i przejrzysta, jak skorupka po jajku. I jeśli ciotka Maryla była rozwyrzona gęsią, a babka starszawą, gnuśną kwoką, to mamusia moja była maleńkim ptaszkiem. Przytłoczona przez duże kobiety, odzywała się rzadko i – tak jak zarzucała jej Maryla – zgadzała się na wszystko. Głosik miała strachliwy i piskliwy. Jak tylko powiedziała cokolwiek, to dźwięk tego słabego głosu tak ją deprymował, że od razu wycofywała się ze swoich żądań albo próśb. Dlatego nikt nie liczył się z nią tak naprawdę i była zawsze traktowana jak dziecko, którym się trzeba opiekować – mimo że, w odróżnieniu chociażby od Maryli, miała już własne dzieci.

Czy mamie to przeszkadzało? Nie, ona lubiła, gdy ktoś sprawował nad nią opiekę. Najlepiej czuła się w czyimś cieniu, mogąc wypełniać polecenia i nie brać za nic odpowiedzialności. Również tatusiowi pozwalała sobą rządzić i nie widziała nic złego w tym, że go nie było. Czasami nawet słuchała mnie... Ale nie lubiłam tego i źle się czułam, gdy mamusia robiła bez mrugnięcia okiem to, co chciałam.

– No i powiedz, gdzie jest twój mąż? – zapytała Maryla.

– Nie wiem... Niedługo powinien przyjechać.

– Ha, nawet teraz bronisz tego obiboka?

– Nie przy dziecku!

Mamusia sama wydawała się zaskoczona tym lichym protestem. Obie spojrzały na mnie; siedziałam cicho, wcale się nie odzywając. Bawiłam się z kotem w jedną z naszych kocich zabaw, lecz na dźwięk ostrego głosu matki podniosłam głowę. Patrzyłam na siostry niewinnym wzrokiem. Chciałam, by pomyślały, że niczego nie rozumiałam z ich urywanej, niejasnej rozmowy – i że mogą spokojnie mówić dalej. Ale one widocznie ujrzały w mojej twarzy coś podejrzanego, bo umilkły. Maryla podciągnęła zaplamiony fartuch i rzuciwszy pogardliwe spojrzenie matce, wzruszyła ramionami. Następnie wychyliła swoją gęsią szyję ponad nas wszystkie, a nawet ponad nasz domek i rosnące na podwórzu sosny, i zajrzała na ulicę, wyłupiając ciekawskie oczy.

– Wcale go nie ma! I nie wygląda na to, by zbierał się do powrotu! Przykładny mąż i ojciec. Ciekawe, gdzie on może być?

– Skąd mam wiedzieć? I mówiłam ci, nie przy dziecku!

– Idź sobie! – rzuciła Maryla w moją stronę. – I weź ze sobą babcię.

Musiałam posłuchać, chociaż wcale nie chciałam iść. Chciałam zostać, bronić tatusia i mamusi przed tą gęsią. Ale to ona rządziła w domu. Istna gęś! Wciąż trzeba spełniać jej życzenia! Wzięłam babkę pod rękę i ruszyliśmy przed siebie, do ogródka warzywnego, który rozciągał się za budynkami gospodarczymi, stołotą, oborą i chlewem.

– Poszukajcie dziadka! – Usłyszałam jeszcze za sobą głos ciotki.

Dziadek umarł jakiś rok wcześniej, lecz nie przeszkadzało nam to wcale i często go szukałyśmy. Pojawiał się rzadko i tylko wtedy, kiedy sam tego chciał. Wciąż był nieco obrażony za tę swoją śmierć, twierdził, że tatuś powinien go przeprosić i pytał, czy ma pokazać ślady na rękach i klatce piersiowej. Powiedział mi, że zmarł na zawał.

Prowadziłam schorowaną babkę za rękę, opowiadając o wszystkim, co widzę naokoło. A więc o olbrzymiej mirabelce, szklarni, za którą kryła się duchota i skarby w postaci pomidorów, orzechu i dojrzewających, zielonych kuleczek, które chowały w środku twarde, brązowe mózgi... O ciągniku i przyczepie, a także widocznej w oddali krowie. Mówiłam, ponieważ miałam wrażenie, że babcia straciła ochotę do obserwowania świata i woli mieć oczy zamknięte niż otwarte. A chciałam, by wiedziała, co jest grane.

Chociaż ona znała podwórze na pamięć, a jej stopy odnajdywały własne ślady, tak samo jak ślady swoich ojców i dziadków, których nie mogłam znać. Dlatego nie bałam się, że babcia upadnie. Ona miała upaść dopiero w swoim czasie.

– Widzisz gdzieś dziadka? – spytała.

Rozejrzałam się. Miałymy szczęście! Dziadek uklęknął w pobliżu mirabelki i z nosem przy ziemi szukał czegoś w trawie.

– Dziadku! – zawołałam.

Podniósł głowę i machnął ręką.

– Zaraz! Widziałyście, jakie słodkie są te śliweczki? Czemu żeście ich nie pozbiali? Gniją tutaj na pastwę pszczół! Jak można tak marnować owoce? Zobacz, jakie słodkie, no chodź!

Podbiegłam więc i wzięłam z jego straszliwie białej dłoni jedną mirabelkę; rzeczywiście, była bardzo, niemożliwie wręcz, słodka.

– No? – spytał dziadek.

– Słodziutka jak landrynka! – zawołałam.

Babcia oparła się o pień drzewa i nie otwierając oczu, zapytała dziadka, gdzie się podziewał.

– Tu i tam – odrzekł. – Załatwiam swoje sprawy.

– Swoje sprawy! – prychnęła.

Ale dziadek i babcia nigdy się nie kłócili, poza tym dziadek był już martwy i nie pasowało robić mu wyrzutów. Dlatego usiedliśmy wszyscy na ławce i jedli mirabelki. Cicho było, siostry musiały przestać na siebie warczeć, tylko bzyczenie pszczół przypominało, że wciąż istnieją na tym świecie dźwięki. Świetliste wstęgi odkładały się na trawie i babka wzdychała, że nie może złapać tchu. Jej ciało falowało jak parowa kluska.

– Co u was? – zapytał dziadek.

– Jakoś leci – odrzekłam. – Mój tata gdzieś zniknął i Maryla krzyczy na mamę.

– Maryla! Mogłaby zrobić sobie dziecko, zamiast pouczać porządne kobiety.

– Już za późno. Uspokój się, masz chore serce – strofowała go babka.

– Już za późno.

W tym momencie ujrzałam na horyzoncie ciemną sylwetkę. Rosła w oczach i zrozumiałam po chwili, że zbliża się tatuś. Wyglądał nie najlepiej; koszulę miał całą w trawie, a twarz czerwoną. Nieogolone igiełki zarostu przypominały ostre kłosa. Szedł, przechylając się z boku na bok, i chociaż chciałam na niego zawołać, to coś kazało mi zostać na miejscu. Tata wydawał się kimś obcym, z tym swoim twardym, kamiennym spojrzeniem utkwionym w jakimś punkcie przed sobą.

– Gdzie byłeś, tato? – spytałam.

Potrząsnął głową, jakby był bykiem, który pragnie zrzucić z siebie stado much. Podrapał się za policzkiem i zastanowił.

– Znowu spałeś w polu? Szukałeś dziadka? My też. Cały czas był tutaj i jadł mirabelki.

Ojciec rzucił dziadkowi wściekłe spojrzenie.

– Po co do mnie przychodzisz? – spytał.

– Ja? – bronił się dziadek.

– Tak, budzisz mnie w nocy i każesz ganiać się po polach! Siadasz na wątrobie i wysysasz ze mnie życie!

Dziadek obruszył się. Napychał sobie usta śliwkami, jakby w obawie, że zaraz zabronimy mu jeść. Bałam się, że znowu zacznie obwiniać tatusia i pokazywać te swoje ślady.

– Chciałem, byś pozbiarał śliwki... Są takie słodkie, spróbuj sam. Na wino albo do ciasta, spróbuj...

Lecz ojciec odtrącił jego wyciągnięte ramiona i poszedł w stronę domu, wciąż lekko się kołysząc.

* * *

To był film a może sen
Morze w dal uciekało
Gdzie widnokrąg
Wyznaczył świat
Szalonych zatracen
Zranionych uczuć
Nieosiągalnych wyobrażeń
Chciałem zapomnieć
Wymazać co było snem
Nie umiem
Wokół ciągle blask
Płomieni i żaru
Nieskończonego szczęścia
Dotykam
Nic nie parzy
Zimno dookoła
Jednak
Na jawie nie ma
Niczego

Opowiadanie zdobyło 2. miejsce w 20. Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukszty „Małe ojczyzny – pogranicze kultur i regionów” w Kargowej.

* * *

Usiadłem sam ze sobą
 Czas pomyśleć
 Zgłębić otchłanie
 Mego smutku
 Rozczarowań
 Przegranych szans
 Nietrafionych miłości
 Przecież jest słońce
 Nadzieja przyszłości
 Chciałbym uwierzyć
 W moc jego promieni
 Rozświetlających
 drogę do wyjścia
 Z krainy cieni
 Tam smutek i żal
 Były mym istnieniem
 Ja żywy już wracam
 Słońce mym natchnieniem

Gienek

Wracając, spotkałem Gienka. W siatce niósł dwa piwa w małych, pękatych butelkach, zwanych granatami.

– Chodź, Stefek, siądziemy se gdzieś w cieniu – pokazał na rzekę. – Gorąc taki, że aż w oczy szczypie! – zaśmiał się. – Masz – wyjął butelkę z siatki. – Albo czekaj, zaraz ci roztworzę – i otworzył. Pierwszą butelkę, tę dla mnie, kapslem o kapsel, a drugą, dla siebie, zębami.

Usiedliśmy pod wierzbą. Gienek wyciągnął nogi przed siebie, upił łyk, potem drugi, dłuższy i nagle ni stąd, ni zowąd rozmarzył się tymi słowami:

– Przed zimą to by człowiek dał jesionkę do pralni. Normalnie, jak człowiek. Bo jesionka już diabła warta. Brudna wszystkimi opłotkami, jak jasna pogoda. Tyle razy w pokrzywach nocowała, to tera brudna, co nie? Przed zimą gotowanego by człowiek zjadł. Schabowego, dajmy na to, z kartoflami i kapustą. Normalnie, takiego o, jak dłoń schabowego, albo i większego! Zjadłby jak ludzie. Najsamprzede papierkowym pieniądzem uiściłby człowiek przy kontuarze. Żeby nie było, że zjadł i wyszedł, prawda? Po uiszczeniu zjadłby człowiek jak ludzie, na siedząco, talerz stawiając na czystej ceramice, a nóż, widelec jak należy: jedno po prawej, a drugie po lewej, statecznie. A potem, po konsumpcji, głowę by człowiek otarł serwetką i wychodząc, ślicznie podziękował, rączki całując Pani Kierownicze za ładą. I wyszedłby człowiek przed drzwi frontowe, cały najedzony, syty i niewinny. Potem zapaliłby kupnego. Nie takiego sobie robionego z ruskiej tabaki, tylko prawdziwego, z kiosku. Zaciągnąłby się człowiek głęboko, szczęśliwie, a potem na pekaes by poszedł. Na stanowisko dworcowe. Do Warszawy by się udał, a może nawet i dalej. Ale nie za sprawunkami, tylko tak se, wycieczkowo, żeby tylko jechać w dal, żeby raz w życiu było inaczej. Taaak, pożyłby se człowiek mało wiele, parę godzin, jak normalne ludzkie... – urwał nagle Gienek i się zamyślił. Myślał tak i myślał z pięć minut, a potem odwrócił twarz w moją stronę i spytał: – Powiedz, Stefek, może ja za dużo chcę od życia?

Wszystko, co miał Gienek, było po kimś. Znoszone, pocerowane, ledwie się go trzymało. Nowego, kupnego to nie miał nic. Czasem, jak go który chciał zdenerwować, mówił: oddaj, Gieniuś, te dwa złote, co ci nie pożyczyłem. Wtedy Gienek się boczył, bo nigdy nic nie ukradł. Co najwyżej znalazł. Leżało, to podniósł. I se wziął do kieszeni. Takie dwa złote to nie pies. Nie może być bezpańskie. Pośmiali się z Gienka chwilę, ale tylko chwilę, bo przecież każdy jeden pod słońcem coś kiedyś podniósł i wziął. I nawet mu powieka nie pykła, choć dobrze wiedział, komu wypadło. Mógł zawołać, ej, wyleciało ci, masz, i oddać. Ale nie zawołał.

Gienka zatrudniał Jasiek Kopidół. Ale ile mogło być tego zatrudniania? Tyle, co kot napłakał. Bo w takiej małej parafii jak nasza, to ile da radę dołków wykopać? Jeden, góra dwa miesięcznie. Więcej nie ma kto umierać. Chyba, że marzec bardziej umarły nastanie albo śmierć jakaś co bardziej śmiertelna, wypadkowa. A, to wtedy nie byle dwa piwa Gienek niósł, ale cztery albo i ze sześć! I pasztetową. Pół kilo. Pasztetową lubił Gienek najbardziej ze wszelkiej garmazetki. Pasztetowa taka dobra, że żal jeść! Patrz, pokazywał z uśmiechem na siatkę, pasztetowa świętej pamięci. Żyć, nie umierać!

U siostry w obejściu mieszkał. Na łaskawym chlebie. W letniej kuchni. W chałupie za dużo dzieciaków, nie ma jak. I szwagier nosem kręci. A w letniej w sam raz. Kozetkę sobie postawił po prawo od kuchni westfalki, przy ścianie, a pod oknem stół. Żeby widniej było krzyżówki rozwiązywać. Bo elektryki w tej letniej nie było. Świeczką musiał wieczorami, jak naszło dłużej posiedzieć.

I tak sobie Gienek żył. Cienkim ciurkiem życia.

* * *

Czy pił? Tak jak wszyscy. Czyli pił. Ale o tym za chwilę, bo właśnie o coś pyta.

– A ty byś choregwi za mnie nie poniósł? W co drugą niedzielę albo raz w miesiącu, najmarniej? Bo mnie nie zawsze pasuje. A procesja bez Izydora to jednakowoż, no... Niby procesja, ale kapkę kulawa. To co, ponosisz?

W niedzielę z samego rana Gienek golił się, cesał, zamieniał swój błyszczący od brudu drelich na wyżej wzmiankowaną jesionkę, gumiaki na kościolowe i już był gotów. Musiał jeszcze swoje odsiedzieć, bo do sumy zostało ze trzy godziny bez mała. Siedział więc Gieniu na kozetce wymyty, ogolony, niedzielny. Siedział sztywno, świątecznie, a wtedy do jego głowy lubiło przyjść najrozmaitsze myślenie. Najczęściej takie bliskie sobie, jak o Panu Bogu i o ciele kobiecym. Że Pan Bóg dobry, a jednak żal, że wtedy, w stodole, nie złapał Janki na tyłek. Pana Boga kochał tą choregwią izydorową, procesyjną, a Jankę pamięcią. Pan Bóg od lat ten sam co niedziela i pod ręką, a Janka? Ożeniła się już dawno za lasem i zapomniała. A jemu żal. Bo można było Jankę słodką, różową i chętną wtedy, dwadzieścia lat temu, za tyłek złapać i może wszystko poszłoby inaczej. A tak, to tylko poleżeli na sianie, przez szpary w stodole pokazał jej gwiazdy i tyle. I tyle było w jego życiu miłości.

Dzyń, dzyń, dzyń! – wyrwał Gienka z zamyślenia budzik ustawiony na jedenastą. No nic, Gienek uderzał dłońmi o uda, trza iść. I wstawał Gienek, i szedł trzy i pół kilometry na sumę. A potem niósł w procesji wielką choregiew Izydora Oracza. Wiatr nimi szarpał obydwojema. Wiatr zwykły jak stodoła i święty jak miłość wyrwał ich sobie wzajemnie, ale szli dalej. Czasem się Gienkowi zdawało, że nie Izydora dźwiga, ale Jankę pod ten wiatr. Że ją szybko trzeba do szpitala, bo zaraz ma rodzić! Wtedy nieświadomie przyśpieszał, niemal biegł, aż za nim wołali: Gieniek, sfolguj, gdzie tak lecisz?! On zwalniał i tłumaczył, że to przez ten wiatr. I już szedł spokojnie. A wiatr sobie dalej hulał gdzie popadnie, bez ładu i składu, jak to całe ludzkie życie.

Po kościele pod parkanem paliło się papierosy. Te kupne, ale głównie te robione. Paliło się i zastanawiało, czy teraz do gospody, czy tylko do Lusi po dwa piwa na twarz, a potem gdzieś w krzaki. Wszystko zależało od zasobów. Jak który na tacę nie wrzucił, to miał. Każdy coś miał, jakiegoś zaskórniaka, starannie schowanego przed proboszczem, przed żoną, przed światem.

Po krótkiej naradzie któryś zdejmował czapkę i obchodził wszystkich po kolei. Dawaj, co masz, kazał wrzucać. Tylko Gieńkowi nikt czapki nie podtykał, bo było jasne, że nic nie ma. Ale zawsze go zapraszała na jednego. Trochę z litości, ale najbardziej, żeby się mieli z kogo pośmiać. Z takich jak on tak łatwo się pośmiać. Że niby, jak to wtedy było, opowiedz Gieniuś, ileście tych win wypili? Sto, tysiąc, pińcet?! Ha, ha, ha! A chodziło o pewną Wielkanoc, która ciągnęła się za Gieńkiem w nieskończoność. Kilka lat wstecz zaproszony został przez dwóch znajomych na święcone jajeczko i kielicha. Znajomi owi byli braćmi i starymi kawalerami. Mieszkali w chatce na uboczu, po drugiej stronie wsi. A że akurat sprzedali kawałek ojcowizny, no i święta, to wypić się należało. Gieniu im pasował, bo tak jak oni, był z niego dziwak i za kołnier nie wylewał. Do stołu usiedli w sobotę po południu, żeby jak sobie powiedzieli, do świąt się konkretnie przysposobić. I zaczęli pić.

We wtorek po śmigusie-dyngusie ktoś rozpowiedział, że u starych kawalerów pali się chlewek, a oni nic se z tego nie robią, tylko z Gieńkiem piją, a puste flaszki wyrzucają przez okna. Ale ani dymu z tamtej strony nie było, ani straż nie jechała, ani nic. Na wszelki wypadek któryś sąsiad poszedł zobaczyć, co jest. I to, co zobaczył, przeszło do legendy. Szybko zawrócił, żeby zawołać kogoś na świadka. Żeby mu uwierzyli. Żeby nie mówili, że chyba ci się po świątach w oczach potroiło albo że liczyć nie potrafi. Polecili więc w kilku sąsiadów. Po cichu zaszli pod chatkę i zobaczyli, jak wszyscy trzej siedzą sobie w najlepsze za stołem, gadają i podnoszą szklanki do ust. Po świątach już prawie śladu, a ci w najlepsze opijają zmartwychwstanie. Rozejrzeli się sąsiedzi wokół i złapali za głowy. Pod oknem, w trawie, w malinach, w krzakach, pod jabłonkami, wszędzie butelki! Świeże, błyszczące na zielono, brązowo i przezroczysto. Po „Mamrocie”, po

„Mocnym byku”, po „Arizonie”, po wszystkim, na co stać tych, którym w życiu nie wyszło. I zaczęli liczyć. Kilku liczyło, a i tak im zeszło z dziesięć minut. Sto piętnaście! Jezu Chryste, sto piętnaście win zero siedem litra obalili starzy kawalerowie i Gieniuś! Przez trzy dni. I jeszcze siedzą, i jeszcze im mało.

Uczynni sąsiedzi ułożyli butelki w składną kupkę, żeby kawalerzy mieli potem jak załadować na dwukółkę i do skupu, i sobie poszli. A potem zaczęli rozpowiadać, co widzieli, a głównie czego nie widzieli. Tak powstaje plotka, zwana potem legendą. Czego zatem nie było w tych opowieściach! Jakie soczyste i wstydlive detale tam się nie płątały! Ile tam panienek nie siedziało za stołem! Ile razy się wszyscy wokół chatki nie ganił na golasa i z nożami! I kto tam kogo nie dźgnął! A na koniec każdej opowieści dodawali o Gieńku, że tyle miał promili, że jak wracał i sikał, to się asfalt topił. I tak już od lat. To Gienia najbardziej upokarzało. Już niepamiętne razy zaprzeczał, że to wszystko bujda. Ale im bardziej zaprzeczał, tym chętniej przybyle okazji do tego wracali, dodając coraz to nowe, wysane z palca detale. Tak się Gieniu tym wszystkim martwił, że zaczął powtarzać, że jak nie przestaną, to sobie coś zrobi. Nawet lubił gorzko zażartować: patrz, jakie piękne drzewo, tylko się powiesić. Ale nikt tego poważnie nie brał. Tak jak całego Gieńka.

* * *

Siedzieliśmy tak sobie już kawałek czasu. Ziemia zdążyła zrobić ćwierć fikołka i cień pod wierzbą już nie był cieniem. I piwo powoli się kończyło. Gieniu dopił swoje i przechylił butelkę. Była pusta.

– Alkoholu zawsze jest za mało – westchnął – i miłości.

Wstaliśmy, otrzepaliśmy siedzenia i każdy ruszył w swoją stronę.

– Tylko w niedzielę nie zapomnij o Izydorze! – zawołał za mną Gieniu. – Bądź, jakby mnie zabrakło.

Opowiadanie zdobyło 3. miejsce w 20. Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukszty „Małe ojczyzny – pogranicze kultur i regionów” w Kargowej.



Martwia. Czterdzieści trzy lata po porodzie

Krzesło jest krzesłem. Może być drewnianym. Najważniejsze, że puste nie wypełnia formy. W pudełku są ofiary, ale tylko w słowach, które do nas mówią ciągle żywym głosem. Nie mają wieku, więc to bez znaczenia. Czas zaciera we wszystkim najdrobniejsze zmiany. Co spalone jest tutaj w każdym drobnym szepcie, a kadisz odmawiany nie ma strofy końca. Litery nie mogą pozbierać się w całość, usypać wydmę lub choćby kurhanek. Ziarna się nie lepią. Nie klei się ciało zastrzelone nie kulą, ale zaskoczeniem.

Social Credit System

Masz mnie czasem w chmurach, a czasem w pościeli. Doustną, dosłowną, Bez żadnych metafor. W zależności od potrzeb widzimy się w dole lub na Wielkiej Górze. Im wyżej, tym bardziej boli.

Przegryź sobie – karmisz mnie, zapelniasz, a kiedy nie łkam, masz małego Focha. *Już jej nie smakuję? Co to ma być? Jak tak dalej pójdzie, musimy się Rozstać.* Albo częściej stać.

Owuluję zbyt szybko. W rytmie całodobowym wypycham z siebie myśli. Można je zapładniać pełnymi zdaniami. Patrzeć jak na gniazda jaskółcze w Ciemnym świetle nocy. Czuć ich lepką ślinę, która jest spoiwem.

Tu jestem wyliczona. Tam pokryta. Gdzie indziej zmasowana. W krzakach Mam stratus liścia. W rzece jestem dzbanem. Kiedy krzyczysz chodnikiem, Zalegam w podłogę. Nie wiele mi brakuje, by zostać robakiem.

Artur Łukasiewicz

Zmarł prof. Czesław P. Dutka, barwna legenda zielonogórskiej polonistyki

Profesor Czesław P. Dutka wykształcił pokolenia zielonogórskich humanistów. Znamca Norwida i literackich trendów, erudyta, gawędziarz, świetny szachista. Miał 84 lata.

Z zielonogórską uczelnią – najpierw WSP, później uniwersytetem – był związany przez ponad ćwierć wieku. Prof. Czesław P. Dutka pracował na niej w latach 1982-2006. Stworzył Zakład Teorii Literatury. Kilka lat był prodziekanem ds. nauki Wydziału Humanistycznego. Był prezesem oddziału Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza, członkiem Komitetu Nauk o Literaturze Polskiej Akademii Nauk.

Profesor, zanim przeniósł się na długie lata do Zielonej Góry, pracował jako wykładowca i adiunkt na Politechnice Wrocławskiej. Dla pokoleń zielonogórskich polonistów był legendą. Wymagający, ironiczny, postrach leniwych studentów, ale życzliwy. Nie przepuścił nieznajomości teorii Michaiła Bachtina czy Paula Ricoeura. Podręczniki Stefani Skwarczyńskiej trzeba było znać niemal na pamięć. „Bo polonista musi świadomie czytać dzieła, wiedzieć nie tylko, o czym są, ale jak powstały i po co, w jakim duchu” – tłumaczył.

Ducha literatury genialnie wyjaśniał na podstawie wątku prof. Geista z *Lalki* Prusa. Wykład ten zapadał w pamięć na zawsze. Spod jego ręki wyszło kilkudziesięciu magistrów.

Prof. Dutka organizował w Zielonej Górze Olimpiady Literatury i Języka Polskiego. A znawcą literatury był wybitnym, zwłaszcza twórczości Norwida i polskich powojennych poetów. Był autorem wielu książek krytycznoliterackich. Najważniejsze to: *Mit i gest*, *Literatura – badacz i krytyk*, *Tancerz idei*, *Mistrzowie i szkoły*. Redagował książki zbiorowe, m.in. *Maska i cień*. *Sympozja Mickiewiczowskie*, *Norwid – nasz współczesny*. *Profecja i recepcja* oraz *Genologia i konteksty*.

Prof. Czesław P. Dutka pochodził spod Tarnopola na Kresach. Po wojnie jego rodzina osiedliła się w Kotlinie Kłodzkiej. Sam chodził do liceum w Kłodzku. Po wyjeździe z Zielonej Góry był pierwszym rektorem Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej im. Angelusa Silesiusa w Wałbrzychu.

Jego wielką pasją były szachy. W latach 70. był szachowym mistrzem Polski nauczycieli. Mawiał, że szachy są jak muzyka, jak miłość potrafią uczynić człowieka szczęśliwym.

Za zgodą autora wykorzystano materiał wydrukowany w „Gazecie Wyborczej” Zielona Góra, 13 stycznia 2020.



Maria Radziszewska

Od słowa do słowa – wystawa poświęcona Januszowi Koniuszowi

Tegoroczne wręczenie Wawrzynów Lubuskich zbiegło się z otwarciem wystawy poświęconej Januszowi Koniuszowi pt. *Od słowa do słowa*. Gdyby żył, 1 lutego skończyłby 86 lat.

I zapewne byłby jednym z honorowych gości tej uroczystości. Jego duch pewnie krążył gdzieś nad nami. 29 marca minie trzecia rocznica śmierci pisarza. Nie jest to odległa ani okrągła rocznica, które zwykle są okazją do organizacji wystaw i podsumowań.

Powód zorganizowania poświęconej mu ekspozycji był odmienny. W 2019 roku córka Janusza

Koniusza, Donata Wolska uporządkowała archiwum prywatne ojca. Efekty tej pracy stały się kuszącą okazją do zaprezentowania nigdy niepokazywanych pamiątek rodzinnych, literackich i zawodowych.

Porządkowanie rzeczy po ojcu nie było dla niej łatwe, musiała do tego dojrzeć. Stan ten nie jest obcy żadnej osobie, która straciła kogoś bliskiego. Czas potrzebny na uporanie się z utratą i bólem na widok przedmiotów należących do bliskich jest bardzo różny. Czekamy na właściwy moment, mierzymy się z uczuciami, jakie te przedmioty budzą, wkładamy i uczucia, i przedmioty do odpowiednich „przegródek”. Czasem stajemy przed problemem uporządkowania wielkiego archiwum, innym razem dosłownie paru osobistych przedmiotów. Za każdym razem to duże przeżycie. Pięknie o tym pisze córka w katalogu do wystawy: „Prawie każdy z nas stanie kiedyś przed dylematem, jak uporządkować rzeczy, należące do osoby, która odeszła. Wówczas pochylimy się nie tylko nad nimi, ale i nad trudną do pojęcia tajemnicą życia i śmierci. Przeczytałam książkę Marcina Wichy, laureata nagrody Nike 2018, *Rzeczy, których nie wyrzuciłem*. Autor borykał się z podobną sytuacją. Stworzył listę książek, pozostawionych przez rodziców. Wśród nich znalazł tomik poezji Konstantinosa Kawafisa, w którym był przejmujący wiersz *Dusze starych ludzi*. Jednym tchem przeczytałam także książkę Marii Konwickiej *Byli sobie raz*. Córka wielkiego pisarza napisała, że wraz z odejściem jej ojca – Tadeusza Konwickiego – odszedł też cały jego świat. I ja odnoszę podobne wrażenie”.

Na mapie kulturalnej Zielonej Góry osoba Janusza Koniusza należała do tych znanych, aktyw-

nych, stale obecnych. Można rzec, że wszyscy go znali. Ale jakie naprawdę jest jego miejsce w życiu naszego miasta i regionu? Wydaje się, że porządkując pracownię, sama Donata Wolska jest zdziwiona obrazem ojca, jaki się z tego nieładu wyłaniał: „Porządkując stryszek, który całymi latami był jego azylem, odnalazłam wiele dowodów na taty twórczość i zaangażowanie w życie kulturalne oraz społeczne. Pozostawione – w pozornym nieładzie rzeczy – stanowiły przejmujący obraz świata, który tak szybko i niepostrzeżenie przeminał”.

Na wystawie znalazł się jego dorobek poetycki, proza, reportaże i słuchowiska. Można obejrzeć bogaty efekt prac redakcyjnych i wydawnictw Lubuskiego Towarzystwa Kultury, w którym prężnie działał. Na uwagę zasługują jego działania jako animatora życia kulturalnego w regionie, współtwórcy czasopisma „Nadodrze”, gospodarza spotkań z pisarzami z kraju i za granicą. Efektem tego zaangażowania była bogata korespondencja, zaprezentowana w wyborze oraz fotografie dokumentujące wszechstronną aktywność Janusza Ko-

nusza. Ekspozycja zawiera także wiele prywatnych pamiątek pisarza. Znalazły się na niej fotografie rodzinne, zdjęcia z przyjaciółmi z młodości, świadectwo maturalne, legitymacje członkowskie, medale i odznaczenia. Ukochany Sosnowiec i Zagłębie Dąbrowskie, czyli poetycko nazwany przez niego Trójkąt Trzech Cesarzy zawsze był obecny w życiu Janusza Koniusza. Świadczą o tym kontakty z tamtejszym środowiskiem literackim i czule przechowywane śląskie pamiątki. Osobną pasją poety i pisarza było kolekcjonowanie dedykacji znanych osobistości polskiego życia literackiego. O tej kolekcji, która powstawała trochę przy okazji i której część znalazła się na wystawie, pisał tak: „Nie jestem przysłowiowym łowcą autografów, gdyż każda pasja zabiera przede wszystkim czas. Może poza Günterem Grassem, którego autograf, nie wiem dłaczego, po prostu chciałem mieć, do żadnego z pisarzy nie robiłem specjalnych podchodów. Ponadto zawsze wydawało mi się, że przecież będzie jeszcze okazja, więc po co się spieszyć. W mojej domowej bibliotece uzbierało się około pięciu-



set książek z dedykacjami i autografów ich autorów. [...] Są to książki pisarzy z różnych pól. Pisarzy wybitnych i zupełnie nieznanych. Autografów tych drugich mam rzecz jasna więcej. Pisarzy różnych pokoleń. Polskich i obcych. Dobry los sprawił, że z jednym na moment znalazłem się w zasięgu ręki. I do tego jeszcze z ich książką. Z innymi zaś moja znajomość, może nawet przyjaźń, trwała latami, więc mam ich książek z dedykacjami kilka. [...] Każda dedykacja wbrew pozorom mówi i o jej autorze, i o jej adresacie. Często o miejscu i czasie, w którym została napisana. Wspomina jakąś wspólnie przeżytą chwilę”.

Pamiętki, które możemy obejrzeć na wystawie *Od słowa do słowa*, dopełniają wielobarwny obraz Janusza Koniusza, jako człowieka, twórcy, animatora, działacza. Dla córki praca nad uporządkowaniem strysku ojca okazała się swoistą terapią, bowiem jak

pisze: „porządkowanie posiada moc terapeutyczną. Pozwala na zebranie przemyśleń i refleksji na temat życia, przemijania i odchodzenia”.

Te refleksje najlepiej oddaje wspomnienie opowiedziane przez ojca bajki: „Tato opowiadał mi bajkę o Koliberku, który w dzióbku przenosił kropelki wody i próbował ugasić wielki pożar. Jakże aktualne są słowa Koliberka, który mówił, że robi tylko to, co uważa za słuszne. Przesłanie tej bajki zrozumiałam dopiero niedawno”.

Janusz Koniusz należał do osób, które w życiu „robią swoje”. Jego osoba zapisała się trwale w kulturze naszego miasta i regionu. To być może dlatego wciąż w naszym środowisku nie brak tych, którzy nadal – cytując poetę – „przez zaspy papieru wloką chude woły wierszy”, bo jak pisał Koniusz, warto napisać wiersz, jeśli tylko pewnego dnia znajdzie on choć jednego czytelnika.

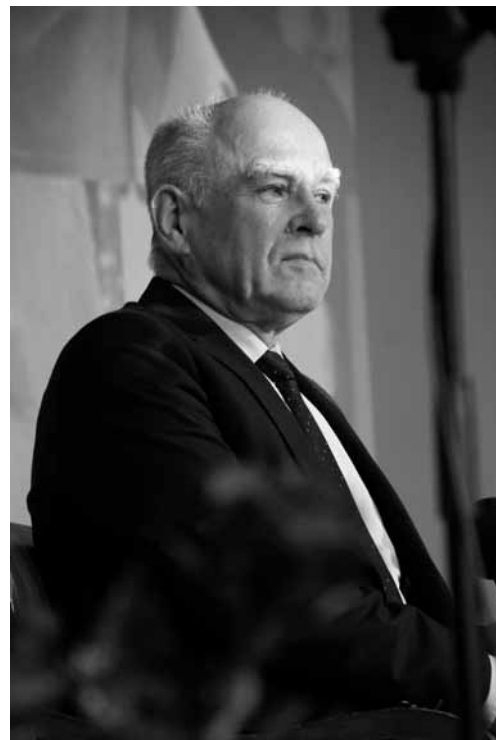


Anna Polus, Agnieszka Sobiak

Benefis Alfreda Siateckiego – relacja z jubileuszu 50-lecia aktywności twórczej i debiutu literackiego

Minęło już 50 lat od ukazania się pierwszego tekstu Alfreda Siateckiego, ówczesnego studenta Wyższej Szkoły Rolniczej (WSR) w Szczecinie, którym była publikacja materiału dziennikarskiego w „Gło-

sie Szczecińskim” w 1968 roku. W kolejnym, 1969 roku, na łamach szczecińskiego tygodnika „Wiadomości Zachodnie”, ukazało się jego opowiadanie *Poranek*, które autor uznaje za swój debiut literacki. Początki działalności literackiej związane były z Korespondencyjnym Klubem Młodych Pisarzy przy Zarządzie Wojewódzkim Związku Młodzieży Wiejskiej w Szczecinie, a opowiadanie Alfred Siatecki napisał, będąc nadal studentem szczecińskiej WSR. Rok później znalazło się ono w almanachu *Wyjść z cienia drzewa*. W roku 1972, po publikacji opowiadania pt. *Głupi Stach* w lubuskim piśmie społeczno-kulturalnym „Nadodrże”, Hilary Kurpanik – ówczesny aktor Lubuskiego Teatru w Zielonej Górze – zaprezentował je na antenie Radia Zielona Góra. To dopiero piąty tekst literacki wydrukowany w prasie, więc dla młodego autora było to niezwykle wyróżnienie. Rok 1980 zaowocował wydaniem pierwszej książki Alfreda Siateckiego pt. *Podzwonni rękodzielnicy*. Późniejsze życie twórcy to istny róg obfitości, zarówno w pracy dziennikarskiej, jak i na niwie literatury. W swoim dorobku beneficjent ma liczne powieści, opowiadania, słuchowiska, reportaże i dużo więcej. Do chwili obecnej ukazały się 32 książki, ok. 20 tysięcy tekstów dziennikarskich (w tym reportaże, wywiady, artykuły publicystyczne i interwencyjne, informacje, notki). W 22 pracach zbiorowych ukazały się pojedyncze opowia-



dania A. Siateckiego. Poza tym że jubilat jest autorem słuchowisk, zajmuje się również krytyką literacką i historią literatury, jest ponadto aktywnym, wieloletnim członkiem Związku Literatów Polskich Oddział w Zielonej Górze. Nieustająca i zróżnicowana działalność autora daje nadzieję wielbicielom jego twórczości na wiele lat „smakowania” nowych, pozytywnych dzieł.

Benefis, jako swoista retrospektywa honorowanego bohatera, to prezentacja dorobku jego wieloletniej działalności, przegląd dokumentów pracy beneficjanta, wspomnienia, ale przede wszystkim spotkanie z przyjaciółmi, odkurzone historie i anegdoty. 5 grudnia 2019 roku, do Sali im. Janusza Koniusza Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, na zaproszenie Alfreda Siateckiego, przybyło wiele bliskich mu osób: dawnych współpracowników, literatów, dziennikarzy, bibliotekarzy, przedstawicieli urzędów oraz najbliższa rodzina: żona Maria, syn Szczepan z małżonką oraz wnuki. Różnorodna twórczość A. Siateckiego, wielość obszarów, w których realizował się przez pół wieku, sprawiły, iż licznie przybyła publiczność to także czytelnicy i wielbielele jego twórczości.

Dyrektor Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida dr Andrzej Buck, jako gospodarz miejsca, zainaugurował spotkanie i powitał wszystkich zebranych, następnie przedstawił przybyłym sylwetkę i dorobek beneficjanta. Wykorzystał do tego m.in. prezentację multimedialną przygotowaną przez starszego wnuka Alfreda Siateckiego 13-letniego Stanisława. Prezentując sylwetkę twórcy, dr A. Buck podkreślał długoletnią, owocną współpracę z Biblioteką i wspominał o wielu wspólnych, udanych przedsięwzięciach, zaznaczając wkład beneficjanta w ideę Lubuskiego Wawrzynu Literackiego.

Po części inauguracyjnej, która przybliżyła zebranym postać autora, Andrzej Winiszewski – dziennikarz Redakcji Muzycznej Radia Zachód w Zielonej Górze – przejął moderowanie imprezy. Wzruszający moment, który na długo pozostanie w pamięci zebranych, a z pewnością będzie niezapomniany przez samego beneficjanta, to wystąpienie jego młodszego, 10-letniego wnuka Leona, który zaprezentował wiersz pochodzący z jego najnowszego almanachu dziecięcego.

Kolejna niezapomniana chwila to gratulacje od Prezydenta Miasta Zielona Góra Janusza Kubickiego oraz uhonorowanie prozaika, dziennikarza, redaktora, publicysty, reportażysty, autora słuchowisk Alfreda Siateckiego Złotym Medalem za zasługi i osiągnięcia mające znaczenie dla Zielonej Góry. Przybyli oklaskami pogratulowali beneficjentowi wyróżnienia, zwłaszcza że było ono całkowicie niezapowiedziane i stanowiło dla wszystkich ogromne, aczkolwiek miłe zaskoczenie.

Jubileuszowe spotkanie dedykowane Alfredowi Siateckiemu i jego ponad 50-letniemu dorobkowi stało się również okazją do zapowiedzi najnowszej powieści, która ukaże się drukiem lada moment, zatytułowanej *Zaproszenie na śmierć*. To kolejna książka, którą sam autor nazywa powieścią z wątkiem kryminalnym, odcinając się tym samym od określenia kryminał, choć autorem kryminałów nazywają go zarówno czytelnicy, jak i krytycy.

Rozmowy o twórczości, w ramach benefisu Alfreda Siateckiego, zostały podzielone na cztery tematyczne bloki, dotyczące różnych sfer działalności autora: jego pracy dziennikarskiej, twórczości literackiej

w szeroko rozumianej tematyce kryminalnej oraz działalności literackiej w innych obszarach i w Związku Literatów Polskich Oddział w Zielonej Górze. Każdemu z tych bloków beneficjent przyporządkował rozmówcę, który, po pierwsze, znał temat i z którym, po wtóre, łączy go więzi przyjaźni lub znajomości i dobre wspomnienia. Podsumowujący, czwarty blok dotyczył wieloletniej współpracy z Biblioteką Norwida, zawierał też szereg przeróżnych wspomnień, które, zważywszy na osobę moderującą tę część rozmowy – była dyrektorką WIMBP i przyjaciółką rodziny, Marię Wasik – obfitował również w anegdoty z życia prywatnego.

Pierwszym rozmówcą był redaktor Andrzej Flügel – były dziennikarz Gazety Zielonogórskiej / Lubuskiej – współpracownik A. Siateckiego sprzed lat. Rozmowa dotyczyła pasji i pracy dziennikarskiej, panowie wspominali także najlepszy zdaniem beneficjanta jego tekst publicystyczny, a nawet rozmawiali o... winnicy i winiarstwie. Temat ten przewija się w twórczości pisarza, ale co ważniejsze, związany jest z jego hobby, mianowicie zamiłowaniem do domowej produkcji wina owocowego. Jubilat miał



też tematyczną niespodziankę dla przybyłych gości, którzy mieli okazję delektować się tym trunkiem w części nieoficjalnej. Oceny były co najmniej dobre.

Kolejną rozmówczynią była Agnieszka Sobiak – dziennikarka Radia Zielona Góra oraz pracownik zielonogórskiej biblioteki wojewódzkiej. Rozmowa dotyczyła wątków kryminalnych w twórczości jubilata, anegdot związanych z kontaktami z ówczesną władzą, wyjaśnieniem, dlaczego redaktor Jung żyje w mieście Zielonagóra, a nie Zielona Góra. Padły też pytania o obecne w książkach wątki dotyczące dzieł sztuki: w *Szajbusie* są to zaginione dzieła z Żagania, w *Postrzelonym* sprawa dotyczy nieznanego obrazu Tadeusza Konicza. W *Pomście* krąży autor wokół pałaców w Brodach i zielonogórskim Zatoniu. Ale jest w jego twórczości także wyjątek: sport i wątek żużlowy w *Porqbanym* – i pytanie: Czy to miłość do tej dyscypliny, czy lokalny patriotyzm? (Zielona Góra „żyje” żuźlem i koszykówką).

Eugeniusz Kurzawa – poeta, redaktor książek i wydawca, prasoznawca i animator kultury, wieloletni przyjaciel benefisanta – zwrócił uwagę na kluczowe elementy pojawiające się w jego twórczości: książki z kluczem w tytułach (*Postrzelony*, *Szajbus*, *Porqbanym*) oraz obecne w książkach wątki związane z patriotyzmem lokalnym. Rozmówca pytał jubilata także o fantastykę, tzn. jego opowiadania fantastyczne, które ukazały się w zbiorze z 2017 roku *Pozaduszki*.

Część oficjalną, podsumowującą działalność benefisanta zamykała rozmowa z Marią Wasik – byłą dyrektorką WiMBP w Zielonej Górze i przyjaciółką rodziny, która pytała o proces powstawania książek. Ten temat zawsze interesuje czytelników, każdy autor ma swoje metody pracy, bardzo zindywidualizowane, ale zawsze ciekawe dla odbiorcy. Rozmówczyni pytała także o autorytety literackie i inspiracje. Wspominała też o informatorze o regionalnym / lokalnym środowi-

sku literackim, ale tu benefisant podkreślił ważną rolę źródeł elektronicznych i zapowiedział, że nie będzie kontynuował tradycyjnej wersji publikacji. Rozmowa toczyła się także wokół idei konkursu Lubuski Wawrzyn Literacki. Współpraca na tym polu z zielonogórską Biblioteką Norwida zaowocowała nie tylko kontynuacją konkursu Wawrzyn Literacki, ale jego ekspansją na inne dziedziny twórczości i wysokim, ponadregionalnym prestiżem. W 2020 roku odbędzie się już 26. edycja konkursu Lubuski Wawrzyn Literacki, 15. edycja Lubuskiego Wawrzynu Naukowego oraz 7. edycja Lubuskiego Wawrzynu Dziennikarskiego. Maria Wasik przedstawiła także genezę powstania wydawnictwa Pro Libris w WiMBP oraz zasługi Alfreda Siateckiego na tym polu. Pojawili się też prywatne wspomnienia i anegdoty z życia rodzinnego, podziękowania dla żony, wnuków, lubuskich literatów.

Po zakończeniu rozmów, do gratulacji ruszył tłum przybyłych gości. Kwiaty, czekoladki, prezenty odbierała od benefisanta żona Maria, uściski i życzenia skierowane były bezpośrednio do bohatera wieczoru. Biblioteka Norwida ufundowała okolicznościowy tort, który idealnie wpasował się do zawartości kieliszków oferowanych przez jubilata. Jako że uroczystość odbywała się w przeddzień św. Mikołaja, Biblioteka obdarowała wszystkich gości upominkami w postaci wcześniejszych wydań książek Alfreda Siateckiego i czekoladowych figurek.



Nagroda Literacka im. Andrzeja K. Waśkiewicza Laury dla prof. Małgorzaty Mikołajczak

Rośnie powoli nowa tradycja pisarska. Oby – mimo braku znaczących funduszy – wytrwała i przetrwała. W piątek, 29 listopada 2019 roku, w Muzeum Ziemi Lubuskiej odbyło się po raz 10. wręczenie Nagrody Literackiej im. Andrzeja K. Waśkiewicza organizowane przez ZLP.

Już wcześniej zebrany był wiadomo, że atrakcją wieczoru będzie film o patronie imprezy. 40-minutowy obraz pokazano na zakończenie spotkania, a projekcja została skwitowana brawami. Jednak impreza rozpoczęła się od dwóch promocji. Kilkadzieści gości zgromadzonych w sali witrażowej muzeum wysłuchało osób promujących najnowsze wydawnictwa oddziału Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze, głównego organizatora wydarzenia. Wiceprezes Marcin Radwański przedstawił najnowsze dziecko oddziału, skromne jeszcze pismo pt. „Pasje Literackie”, którego jest inicjatorem i redaktorem. Zaprezentował autorów i zapowiedział, iż periodyk będzie się utrzymywał dzięki czytelnikom. Następnie Eugeniusz Kurzawa, jako kierownik projektu serii *Zeszytów bibliograficznych ZLP*, opowiedział o dwóch najnowszych pracach z tego cyklu (były dostępne bezpłatnie dla obecnych), mianowicie *Mieczysław J. Warszawski* w opracowaniu dr Mirosławy Szott oraz własnej, autorskiej pozycji bibliograficznej. Zapowiedział, że jeszcze w 2019 roku ukaże się trzecie, aż 500-stronicowe dzieło *Andrzej K. Waśkiewicz* w opracowaniu Anny Sobeckiej. Pozycje te dofinansował Urząd Miejski.

Tym sposobem oddział ZLP chce naśladować Gorzów Wlkp., gdzie nie tylko ukazują się poważne opracowania bibliograficzne dotyczące tamtejszych pisarzy. Do tej pory wyszły prace poświęcone Zdzisławowi Morawskiemu, Papuszy, Kazimierzowi Furmanowi i Włodzimierzowi Korsakowi. Dodać by należało jeszcze poważne opracowanie pt. *Bronisława Wajs – Papusza (1908-1987) – biografia i dziedzictwo* wydane przez Archiwum Państwowe. Niestety, zielonogórskie instytucje takich ambicji nie mają. Choć oczywiście należy wspomnieć o skromnej serii muzealno-bibliotecznej poświęconej twórcom kultury, gdzie wydrukowano, jednakże zdecydowanie niepełne, bibliografie literatów: Janusza Koniusza, Alfreda Siateckiego, Wiesława Sautera oraz kilku innych.

Wracając do uroczystości w MZL. Napięcie na sali wzrosło, gdy sekretarz Kapituły Nagrody, Alfred Siatecki, odczytał protokół. „W środę, 6 listopada, obradowała Kapituła Nagrody ZLP im. Andrzeja K. Waśkiewicza. Skład: przewodniczący – Jerzy Beniamin Zimny (Poznań), Alfred Siatecki (sekretarz), Robert Rudiak, Katarzyna Jarosz-Rabiej, Władysław Kłępka, Jolanta Pytel”. Spośród kilkunastu zgłoszonych do tego wyróżnienia nominowano trzy osoby: Agnieszkę Ginko-Humphries, Janusza Łastowieckiego i Małgorzatę Mikołajczak. Decyzją jurorów w tajnym głosowaniu najwięcej pozytywnych głosów zebrała prof. Małgorzata Mikołajczak z Uniwersytetu Zielonogórskiego. Za całokształt – tak można z całą pewnością stwierdzić.

Wręczenia nagród, dyplomów i rzeźb aniołów z piórami (a główną nagrodą jest szklana statuetka z wtopionym autografem A. K. Waśkiewicza) dokonali: Anna Sobecka – żona patrona Nagrody oraz prezes oddziału dr Robert Rudiak. Następnie M. Mikołajczak podziękowała za wyróżnienie, podkreślając, że świadczy ono o zbieżności jej działań, jako literaturoznawczynie, z ocenami „przedmiotów badań”, czyli pisarzy zasiadających w Kapitułe. Laudację na cześć laureatki wygłosił E. Kurzawa, przypominając wspólne ongiś zabiegi o uruchomienie stosownych mechanizmów i podjęcie przez UZ badań nad literaturą lubuską. Skutki tychże działań w ostatnich latach można ocenić jako pozytywne. Prof. Mikołajczak wypromowała wielu magistrów i doktorów, którzy podjęli w swych pracach wątki lubuskie, regionalne, autorskie. „Jeden z przykładów” tej działalności Pani Profesor, dr Janusz Łastowiecki (autor książki o słuchowiskach radiowych), został wraz z nią nominowany do Nagrody im. AKW. Z kolei dr Kamila Gieba napisała kapitalną książkę o literaturze osadniczej Ziemi Lubuskiej jako micie założycielskim dla późniejszych i obecnych pokoleń twórców. I też była zgłoszona do Nagrody. Dwa lata

temu „Waśkiewiczem” obdarowano dr Mirosławę Szott, również wychowankę Pani Profesor. Przykłady można by mnożyć.

W dalszej części wieczoru okazało się, iż Zarząd Oddziału ZLP przygotował zebranym (a przede wszystkim „wywołanemu do odpowiedzi”) dwie niespodzianki. Włodzimierz Kwaśniewicz, inicjator uchwały o honorowej prezesurze ZLP, podjętej już z górą pół roku wcześniej (w marcu 2019 roku), wręczył E. Kurzawie dyplom honorowego prezesa oddziału. Następnie dr R. Rudiak poinformował o decyzji utworzenia kolejnej nagrody literackiej, której patronem został Janusz Koniusz. Pierwszym laureatem został zaskoczony... E. Kurzawa. Po kwiatkach, podziękowaniach, odbyła się prapremiera filmu o A. K. Waśkiewiczu pt. *To, co zostało* według pomysłu R. Rudiaka przy udziale Justyny Poniatowskiej. O Waśkiewiczu opowiadali jego przyjaciele, koledzy, inni poeci i krytycy z całego kraju. Wcześniej niektóre postaci z filmu (np. red. Henryka Doboszowa z „Nadodrza”) wskazała Anna Sobecka, mówiąc o ich znaczeniu dla środowiska kulturalnego Zielonej Góry. Skromny poczęstunek zakończył ten bogaty we wrażenia wieczór.



Proza Poetów 2019

Od 12 listopada do 12 grudnia 2019 roku w Bibliotece Norwida odbywała się 9. edycja Festiwalu Literackiego im. Anny Tokarskiej Proza Poetów. To jedna z największych inicjatyw promujących literaturę, również regionalną, w województwie lubuskim. Tegoroczna edycja festiwalu obfitowała w 10 wydarzeń, wpisanych w dwa główne nurty, których motywem przewodnim była literatura faktu i książka kryminalna.

Reportażystów reprezentowali Wojciech Tochman, Jacek Hugo-Bader oraz Małgorzata Rejmer. Pierwszy z wymienionych to reporter, autor non-fiction, który szlifował swój warsztat pod okiem Hanny Krall, następnie pod kierunkiem Małgorzaty Szejnert, wraz z Lidią Ostałowską, Beatą Pawlak, Mariuszem Szczygłem, Jackiem Hugo-Baderem i innymi tworzył jedną z najbardziej wyrazistych grup reporterskich w historii polskiej prasy. Dwukrotny laureat Nagrody

Literackiej „Nike” oraz Środkowoeuropejskiej Nagrody Literackiej Angelus oraz Premio Kapuściński przyznawanej w Rzymie, jak i „Pióra Nadziei” – wyróżnienia Amnesty International.

Jacek Hugo-Bader to wieloletni reportażysta w „Gazecie Wyborczej”, autor popularnych *Dzienników kołymskich*, zawierających teksty z odbytych w 2011 roku podróży autostopem z Magadanu do Jakucka. Przedmiotem jego badań były głównie kraje byłego ZSRR, w których spędził cztery lata. Jego ekstremalne podróże, jak chociażby przejechanie na rowerze całej Azji Środkowej, Pustyni Gobi, Chin i Tybetu czy przepłynięcie kajakiem Jeziora Bajkał, stały się kanwą książki *W rajskej dolinie wśród zielska*, za którą został nominowany do Nagrody Literackiej „Nike”.

Małgorzata Rejmer – pisarka, reportażystka, z wyboru zamieszkała w Albanii, która, obok Ru-

munii jest „bohaterką” jej książek. W 2019 roku jej reportaż *Błoto słodsze niż miód*, który odsłania fragment najczarniejszego okresu w historii Albanii, został wyróżniony Paszportem Polityki w kategorii Literatura. W tym samym roku autorka otrzymała nominację do Nagrody Literackiej „Nike”.

Przedstawicielami „kryminalistów” zostali natomiast autorzy bestsellerowych powieści – Katarzyna Bonda, Marek Krajewski, Marcin Wroński.



Festiwal był również okazją do zaprezentowania współczesnej polskiej twórczości poetyckiej, którą przedstawiła Magdalena Koperska, redaktorka i właścicielka warszawskiego wydawnictwa Anagram. Publiczność miała okazję zapoznać się ze świeżo wydanym tomikiem poetyckim Jerzego Czechowicza *Prowincja noc* i ukraińską powieścią *Niewolnice i przyjaciele pani Tekli* Oleha Poliakova. W drugiej części wieczoru odbyła się promocja debiutanckiego tomiku wierszy Małgorzaty Chomont *Dopóki ptaki śpiewają*. Tomik jest kompilacją poezji i fotografii. Promocji towarzyszyła wystawa fotografii Małgorzaty Chomont, zamieszczonych w tomiku. Wieczór swoją wspaniałą grą na fortepianie wzbogacił Paweł Kuśmider.

Zielonogórskie środowisko literackie reprezentowała młoda poetka Elżbieta Wancław-Chłopik, która zaprezentowała swój najnowszy tomik *Gdzie są cienie*.

Tegoroczna edycja Festiwalu miała także akcent międzynarodowy. Podczas wieczoru flamandzkiego gościliśmy Michaëla Vandebril, Els Moors i Richarda Foqué, belgijskich poetów z pisma literacko-kulturalnego z Antwerpii. Podczas spotkania wysłuchaliśmy eseju o poezji flamandzkiej oraz recytacji wierszy zaproszonych poetów belgijskich w ich ojczystym ję-





zyku. Moderatorami spotkania byli: Agnieszka Ginko-Humphries, Ewa Mielczarek oraz Czesław Sobkowiak.

Festiwal był również okazją do celebrowania jubileuszy. Wśród licznych gości 80. urodziny obchodził prof. dr hab. Franciszek Pilarczyk. Uroczystość zgromadziła wiele osób pragnących spotkać swego mistrza, opiekuna, mentora, współpracownika czy przyjaciela. Jubileuszowi towarzyszyła okolicznościowa publikacja *W kręgu bibliologii, literatury, prasy i teatru. Księga jubileuszowa dedykowana Profesorowi Franciszkowi Pilarczykowi w 80. rocznicę urodzin* pod redakcją Jolanty Chwastyk-Kowalczyk, Andrzeja Bucka i Przemysława Bartkowiaka. Uroczystość była okazją do wzruszających wspomnień, a obszerną relację Anny Polus z tego wydarzenia można przeczytać w „Bibliotekarzu Lubuskim” (2019, nr 2).

50-lecie pracy twórczej obchodził Alfred Siatecki, prozaik, dziennikarz, redaktor, autor wielu powieści, w tym również sensacyjnych. Andrzej Flügel, Eugeniusz Kurzawa, Maria Wasik, Agnieszka Sobiak oraz moderator spotkania Andrzej Winiszewski wspominali twórczość beneficjanta, stawiając go w ogniu



pytań i przypominając zabawne anegdoty. Na uroczystości nie zabrakło prezydenta Janusza Kubickiego, który wręczył laureatowi Złoty Medal za zasługi i osiągnięcia mające znaczenie dla Zielonej Góry. A Biblioteka Norwida, korzystając z okazji, że wydarzenie zbiegło się z mikołajkami obdarowała gości prezentami – książkami A. Siateckiego oraz czekoladowymi Mikołajami.

Postać i twórczość Anny Tokarskiej, patronki Festiwalu, w sposób szczególny została upamiętniona czytaniem jej poezji w ramach Krakowskiego Salonu Poezji w Zielonej Górze. Wiersze zielonogórskiej po-

etki w opracowaniu Andrzeja Bucka zaprezentowała aktorka Romana Filipowska. Salonowi towarzyszył również turniej wiersza, dedykowany patronce Festiwalu. Usłyszeliśmy kilkanaście wzruszających wierszy. Prezentację poprowadziła Agnieszka Ginko-Humphries. Główną nagrodę otrzymała Roksana Polon. Wyróżnieni zostali: Zofia Nowicka, Elżbieta Dybalska oraz Zbigniew Łepkowski.

Uczestnicy spotkania otrzymali wznowiony z okazji Festiwalu tom wierszy Tokarskiej. Niemal wszystkie spotkania odbywały się przy komplecie widzów.



Agnieszka Ginko-Humphries

Cukierki, anioły i kot, czyli Turniej Jednego Wiersza Dedykowany Annie Tokarskiej

1 grudnia 2019 w Sali im. Janusza Koniusza odbył się niecodzienny wieczór poezji Anny Tokarskiej, zmarłej w 2013 zielonogórskiej poetki, „Anki” z placu Słowiańskiego wspominanej przez zebranych. W ramach Krakowskiego Salonu Poezji w Zielonej Górze wiersze poetki w opracowaniu dra Andrzeja Bucka zaprezentowała aktorka Romana Filipowska. A później rozpoczął się długo oczekiwany Turniej, który miałam przyjemność poprowadzić, gdzie swoje wiersze poświęcone Annie Tokarskiej zaprezentowało aż dziewiętnastu twórców. Usłyszeliśmy wiele wzruszających, ciepłych i niezwykłych wierszy, w których, na poddażu, Anna „okna zamyka na zakrzywione gwoździe”, tworzy zapiski ulubionym ołówkiem, sklejając życie ze „skorup, papierków i sznurka” i „rozmawia z kotem”, a nam zostaje w ustach smak jej cukierków, które wszystkim rozdawała.

Jury miało nie lada zagwozdkę, bo bardzo trudno było wybrać zwycięzców. Po długich dyskusjach Jolanta Pytel – przewodnicząca Jury oraz dr Janusz Łastowiecki i niżej podpisana Agnieszka Ginko-Humphries przyznali następujące nagrody i wyróżnienia: nagroda główna – Roksana Polon; wyróżnienia: Zofia Nowicka, Elżbieta Dybalska, Zbigniew J. Łepkowski. Przyznano również dodatkowe wyróżnienia – drukiem w czasopiśmie „Pro Libris” nagrodzono wiersze Małgorzaty Gołębiowicz, Krzysztofa Bąkowskiego i Bogumiły Różewicz.

Każdy uczestnik konkursu dostał drobny upominek – magiczny długopis do pisania kolejnych wierszy, a wszyscy zebrani otrzymali wznowiony przez wydawnictwo Pro Libris tom wierszy Anny Tokarskiej pod redakcją dra Andrzeja Bucka. Książka rozpoczyna się znanymi słowami poetki: „nie wiem o sobie dokładnie”...

Zapraszamy do lektury nagrodzonych wierszy.



* * *

tylko kurz mieni się blado jakby nic nie znaczył
szlachetnie osiada na starych meblach i myślach
szturcha niepewne łzy co nie wiedzą kiedy i czy spłynąć

ma w sobie szczyptę magii resztki skóry dotyk
zamyślenia migoczą jak tandetne lampki grudniowe
jak kurz który mieni się blado jakby nic nie znaczył

lekko odsunięta firanka zdradza twoją pozycję
i ten schodek biały wpół schowany pod stołkiem
i herbata rozsypana w szklankach zaraz się utopi

trzy piętra w górę idę z trzech pięter widzisz jak idę
jak oddycham widokiem rdzawych trzepaków i malw
i tylko kurz mieni się blado, jakby nic nie znaczył

telewizor gra tak głośno a ty czytasz Słowackiego
masz w sobie tyle wierszy ile herbaty na półkach
bombonierek w barku których się wstydzisz otworzyć

samotnie okna zamykasz na zakrzywione gwoździe
już się spakowałaś i nad krzyżówką czekasz
tylko kurz mieni się blado jakby nic nie znaczył
nawet jeśli odjedziesz zanim ja przyjadę
w tym właśnie oknie kiedyś cię zobaczę

* * *

pamięci Anny Tokarskiej

Z góry spoglądasz na swój plac Słowiański
Zaglądasz w okna swojego mieszkania
Już nie twojego
Tam obce firanki
I filiżanki w groszki
Też nie twoje
Tropisz dyskretnie swoje stare ślady
Drepczesz chodnikiem
Kłaniasz się sąsiadom
I wypatrujesz znajomych ci twarzy

Z ciepłym uśmiechem patrzysz na nas z góry
My jeszcze tutaj
Słowa nawijamy jak spiralki
Na palcach okręczone
Oddają nam swoje sensy i bezsensy
Nanizane na nitkę wiersza
Nazywają rzeczywistość
Tę
I tamtą
Której jeszcze nie znamy



W sandałkach...

Skarpetki
co
pokazywały śmiało kostkę twoich stóp
ulicą
Niepodległości wymoszczonej brukiem
szłaś
jak po wodzie
unoszona
słowami miłości i bólu
niosłaś
w sobie wiersz
kocie
łby czekały na Ciebie
na
dotyk twoich myśli, słów i łez

Z
czasem
przysiadłaś
delikatnie na ławeczce obok Norwida
z
nie kupioną różą dla Andrzeja B
aby
porozmawiać:
o
niepewności bólu pozornie za dużym
o
posiwiiałych włosach poetów i ich srebrnych już wierszach
To
ty napisałaś że w Białym Mieszka Anioł
i
słowami zakrapianymi łzami
szczerniałą wystrugałaś piętę!

PS
Tylko nie pamiętam jakiego koloru był Twój beret!?

Okruchy

Czy można życie posklejać,
Ze skorup, papierków, sznurka?
Na dnie śmietnika leżących,
Na placu Słowiańskim, w podwórku.

Szczególnie, gdy ziemska sukienka,
Daleko, gdzieś w Łodzi schowana,
Nie siądzie na krześle błękitnym,
Lecz w piasek, jak drzewo wkopana.

Więc wzywać potrzeba tu ducha,
Co ptakiem z papieru, nad miastem.
Wciąż w wiersze Jej uwikłany,
Szybuję w powietrzu latawcem.

Balbina, już w lustro nie spojrzysz,
Nie otrze się, nie zamruczy.
Nie pocałuje już śniącej,
Na stół błękitny nie wskoczy.

I jeszcze ten grzebień zielony,
Co grzywkę nad okiem zaczesał.
Notatka z kazania w kościele
Jadwigi – słowem księdza Roberta.

Na książce, samotne, jak w życiu,
Nie żadne tam: hurra, hosanna.
Litery w rzędzie stojące.
Jej podpis ostatni – Anna.

Lustro

przy narodzinach obiecała
 że zapuści mi włosy do samych korzeni
 a ja jak naiwne dziecko się ucieszyłam
 potem oziębłe dodała nastąpi czas
 kiedy z kości zerwę zwiotczałą skórę
 usta ci zaknebluję milczeniem
 twarz moja nagle zmarszczkami poszarzała
 ale tak naprawdę
 to dzięki niej ujrzałam siebie
 i to że mam nogi
 ręce
 coś robię
 czuję ból kiedy idę...
 zrozumiałam co znaczy przez wieki
 zapuszczać paznokcie w ziemię
 i płatać pomiędzy bruzdy
 długie przyręczone warkocze
 z tą myślą dość długo stałam
 wobec jej wzroku osłupiała
 niczym obrażony kamienny obelisk
 do momentu aż spokorniało
 we krwi dojrzałe ziarno
 gotowe na niehumanitarną obietnicę
 śmierci odpowiedzieć
 moja błąda i zimna
 jak poręcz szpitalnego łóżka
 to ja dziś uśmiecham się do ciebie
 gdybym się z tobą nie narodziła
 nadal byłabym głupia i nie wiedziałabym
 czy już umarłam...
 czy jeszcze żyję...
 czy wobec twojej obecności
 w ogóle jestem

„Oczy pod słowami” zamknięte

Annie Tokarskiej

szukać samotności nabywcę
 rozłożyć ją na straganie „jak nieżywą rybę”
 i schładzać teatralną miną
 czy próbowałaś?
 roztrwonić darmo otrzymany ból
 może zmieścić go w braciach mniejszych
 zdeponować w pojemnym kościele

miejsce spotkań
 Mgła
 przysłoniła lekka
 przypięła się drzewami
 by nie sięgnąć chmur
 z niej cichy szelest
 jakby papierka po cukierku



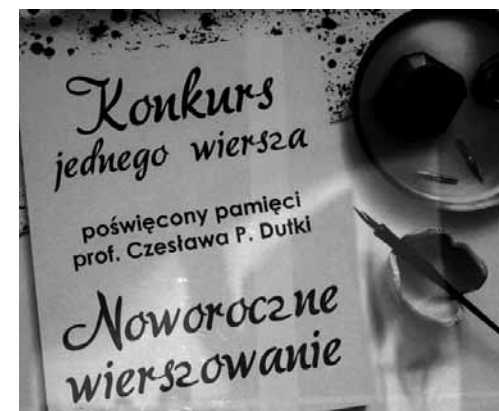
Pamięci Anny Tokarskiej

W małych okienkach
na poddaszu tworzy Anna
robi zapiski ołówkiem
między placem Słowiańskim a teatrem
wieczorem
pali zieloną świecę
rozmawia z Kotem



Noworoczne Wierszowanie...

Noworoczne Wierszowanie (30 stycznia 2020) pokazało, jak wiele osób odczuwa potrzebę tworzenia wierszy, pisania krótkich form poetyckich! Niekoniecznie tylko dla siebie czy do przysłowiowej szuflady! Z drugiej strony, jest wielu, którzy chętnie słuchają publicznych poetyckich prezentacji i z emocjami uczestniczą w formule „małej rywalizacji”. W Turnieju Jednego Wiersza wzięło udział 26 osób, zarówno bardzo młodych (licealiści, studenci), jak i dojrzałych. Uczestniczyli członkowie Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów, Zielonogórskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku, a także osoby niezrzeszone w związkach czy stowarzysze-



niach pisarskich, często dopiero uczący się warsztatu poetyckiego.

Tegoroczne Noworoczne Wierszowanie dedykowane było pamięci zmarłego w styczniu br. prof. Czesławowi P. Dutce, który przez wiele lat związany był z zielonogórską uczelnią, twórcy Zakładu Teorii Literatury, prodziekanowi ds. nauki Wydziału Humanistycznego. Profesora Dutkę wspominali: prof. Małgorzata Mikołajczak, Beata Mirkiewicz, Jolanta Pytel oraz redaktor Artur Łukasiewicz.

Po tej wspomnieniowej części wieczoru odbył się Turniej Jednego Wiersza. Prezentacje oceniała trzyosobowa komisja w składzie: przewodniczą-

ca – Agnieszka Ginko-Humphries, Janusz Łastowiecki oraz Klaudiusz Mirek (Koło Naukowe Gradiam). Nagrodę główną zdobył Robert Kuraś! Wyróżnienia otrzymali: Krzysztof Kulina, Adrian Lokś, Justyna Stachura. Wyróżnienia drukiem w piśmie „Pro Libris” przyznano: Elżbiecie Dybalskiej, Filipowi Kubiszewskiemu i Wiktorii Walczak. Gratulujemy laureatowi oraz wszystkim wyróżnionym!

Dziękujemy miłośnikom poezji, literatury, żywego słowa za tak liczny udział i zapraszamy do przyszłorocznej poetyckiej rywalizacji! Dziękujemy także sponsorowi – Firmie Zyguła za smaczne przekąski.



Robert Kuraś

Stoję na scenie w Moim Teatrze
stoję w milczeniu na ludzi patrzę
lecz nagle czuję piekielne drżenie
więc rozpoczynam me przedstawienie

Mocą dotknięty i z każdej strony
Wzywam do siebie widma upiory
Wizje straszliwą ukrytą w mych snach
na ludzi zrzucam cierpienie strach

Niech szczepną aktorki i wszyscy aktorzy
niech zjedzą artystów zgłodniałe szczury
teraz Mój Wielki Talent zasiada w Łoży
stawiam Teatru Nowego Mury

z czeluści wychodzi Pradawny Mim
odgrywa scenę ja razem z nim
zatacza koła mistrzowskim ruchem
ja budzę do życia Teatr Swym Duchem

gestem wyczarowuje Dzikusa w Klatce
Krzyczy
oddajcie pokłon Mistycznej Matce
Biała jak śmierć Matka Archetyp
zaczyna rodzić nowy mój Mit

rodzi prawdziwe słowa mądrości
wyłania się Ryba zjada je w całości
słowa co każde serce przenika
połknęła Ryba i w otchłani znika

Tłum dionizyjskie doznaje rozkosze
Ja się unoszę o cisze proszę
przemawiam do ich ukrytej Jaźni

Wszystko to było siłą wyobraźni

Stworzyliśmy Teatr na nowo razem
Ja do Was mówię Prawdziwy Błazen

Krzysztof Kulina

Patrzę przez okno,
za nim świat widzę tak, ale
gdzie okno? Przesłania je świat.

.....

Adrian Lokś

Człowiek i Stwórca

Jeżeli istniejesz, Ty, Jedyny, Wielki,
Demiurg, który gwałtem wypchnął nas na świat.
Gdzie dzień mój to okrucieństwo Twojego życia.
Dzień Twój to cztery miliardy ziemskich lat.
To czy wypada mi prosić o przebaczenie
za to, że jestem jedynie człowiekiem?
Błagać o wyrozumiałość dla mojej bezsilności
wobec następnych ust i kieliszków?
Tłumaczyć płomiennie, że potrzebuję
jeszcze odrobiny dymu z papierosów?
Czy wypada mi z moją przyziemnością
zajmować umysł tak doskonale piękny?
Wierzyć bajaniom ziemskich głów,
o Twojej naturze, nad wyraz niedorzecznym?

.....

Justyna Stachura

Delikatne muśnięcie roziskrzonych atomów
o zapachu mężczyzny zachwiało jej ułożonym wnętrzem
chwilowe ciepło wypaliło znamię pragnienia
którego nie zmyje wieczorny prysznic
jeden
nieprzemyślany gest sięgający spustoszenia
w zbudowanym spokoju
zaprosił do niej uśmiech
ten dawno zapomniany uśmiech

Elżbieta Dybalska

Wypaliło się miejsce
twoją nieobecnością
pozamykało okno
brak perspektywy
stoisz pomiędzy
wejść czy wyjść
wejść? Tylko po co
a wyjść – dokąd
stan pomiędzy
myśl dojdzie
przedostanie się

ogarnie pochwyci
i uleci z tobą
bez klucza
zostaw tylko buty
dotyk mgły
delikatność rajska
nie boli



Filip Kubiszewski

Pamiętam 5-10-15
Jakiś tam zamach w Belfaście
Jak przez mgłę wojnę na Bałkanach
I MacGyvera co go kręcili w stanach

Pringelsy co raz tata kupił w hurtowni
Ruskie fajki i kolejki w przychodni
Colombo co był w opór zarąbisty
I Randkę w Ciemno gdzie ludzie słali listy

Śmiechu Warte z Drozdą tak mocno dzisiaj kwaśne
Te dziwne spoty o proszkach tak bardzo teraz praśne
Watę cukrową na rynku i dziwny spokój w duszy
Starzy złączeni ołtarzem – zanim się wizja wykruszy

Wiktoria Walczak

Nie wyjdiesz dzisiaj ani jutro
nie pożegnasz czule patrząc
ginąc wzrokiem o poranku
nie zostawisz samą
pozostawisz
słodki zapach na pościeli
szeptu słów na ciele
i wspomnienia w każdym kącie
a najczulej w moim sercu się rozgościsz
w każdym geście i spojrzeniu
w każdym dźwięku i westchnieniu
myśli tylko pełne twoich słów
moje usta puste głodne tęskne
pragnę wiecznych naszych snów
gdy bez ciebie więdnę
choć moje oczy cię widzą
jak są zamknięte
uszy wszędzie cię słyszą
wypełniasz mój świat potajemnie
moje usta cicho szepczą wróć
wróć i w głowie moi zawróć



Mistrz Różewicz w obiektywie Zbigniewa Kulika

Wśród wielu przedsięwzięć kulturalnych organizowanych przez zielonogórską Bibliotekę Norwida zdarzają się imprezy szczególne, zdarzenia, o których uczestnicy długo pamiętają i szeroko je komentują. Takie wrażenia wzbudziła zorganizowana w ubiegłym roku wystawa zatytułowana *Tadeusz Różewicz w Karkonoszach*, której otwarcie nastąpiło 10 października 2019 roku w Galerii WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze.

Uroczystość otwarcia odbyła się w wigilię 98. rocznicy urodzin Tadeusza Różewicza, co zaplanowano jako hołd dla wielkiego poety, dramaturga, prozaika i scenarzysty. Na wernisaż przybył Zbigniew Kulik, autor zdjęć, a prywatnie serdeczny znajomy Mistrza Tadeusza. Ten utalentowany fotografik zdołał nie tylko zdobyć sympatię i zaufanie sławnego

poety. Udało mu się również przekonać Różewicza do utrwalania jego wizerunku aparatem fotograficznym. Poeta słynął z niechęci do pozowania fotografom, czynił to raczej niechętnie i znany był z dość obcesowego traktowania dziennikarzy, którzy próbowali pozyskać jego zgodę na robienie mu zdjęć.

Zaufanie, którym obdarzył Zbigniewa Kulika, zrodziło się jeszcze w latach 90. ubiegłego wieku. Duża w tym zasługa ówczesnych władz samorządowych Karpacza (w tym Z. Kulika, który pełnił wówczas funkcję przewodniczącego Rady Miasta). Wraz z Józefem Piotrowskim, ówczesnym burmistrzem, niezwykle uwrażliwionym na sprawy kultury i czytelnictwa, stworzyli cieplarniane warunki dla pobytów Różewicza w Karkonoszach. Z czasem poeta, wielokrotnie goszczony w Karpaczu, stał się ich mi-

łośnikiem i piewcą. Powstały wówczas jego świetne wiersze o Górach Olbrzymich (m.in. *Gawęda o spóźnionej miłości*, *Złote góry*, *Wodospad*).

Na wystawie zaprezentowano kilkadziesiąt fotogramów, które dokumentują pobyty Różewicza w Karpaczu i okolicach. Zbigniew Kulik wielokrotnie towarzyszył Mistrzowi w jego peregrinacjach karkonoskich, korzystając z każdej sprzyjającej okazji, aby wykonać wartościowe zdjęcie. Trzeba przyznać, że udało mu się to znakomicie. Profesjonalnie wykonane fotogramy w dużych formatach prezentujących piękno karkonoskich krajobrazów i obiektów z mistrzem poezji polskiej na pierwszym planie robią znakomite wrażenie. Różewicz ukazany jest na nich jako zażywny, ale już mocno zaawansowany wiekiem człowiek. Niemal na każdym ujęciu widać zaciekanie światem go otaczającym, jego zadumę, niekiedy pogodny uśmiech na obliczu. Na niektórych zdjęciach towarzyszy mu małżonka, Wiesława Różewicz.

Podczas wernisażu autor wystawy barwnie wspominał Tadeusza Różewicza. Opowiadał o jego twórczości, wybitnych dokonaniach, ale także o tym, jakim człowiekiem był prywatnie. Szeroko i anegdo-

tycznie charakteryzował jego zainteresowania, cytował ważne wypowiedzi, wymieniał przyjaźnie artystyczne. Szerzej omówił wątek znajomości poety z Henrykiem Tomaszewskim, twórcą Wrocławskiej Pantomimy, który w zaawansowanym wieku zamieszkał w Karpaczu i stworzył tam Muzeum Zabawek ze swojej zbieranej przez całe życie kolekcji. Nota bene, ich losy zostały splecione na wieki, jako że obaj spoczęli na cmentarzyku przy świątyni Wang w Karpaczu, co również udokumentowano na jednym z fotogramów.

Zbigniew Kulik zaprezentował ponadto luksusowe wydawnictwa swego autorstwa, tematycznie związane z wystawą – albumy *Tadeusz Różewicz w fotografii* oraz *Tadeusz Różewicz w Karkonoszach*. Licznie zgromadzona publiczność szeroko komentowała rozległy charakter ekspozycji, w wysmakowany sposób łączący walor literacki i faktograficzny z urodą krajobrazów, panoram i przepięknej scenerii, w której pojawiał się Mistrz Polskiej Poezji. Wystawę z uznaniem oglądało także licznie reprezentowane w Zielonej Górze środowisko fotografów, które wysoko oceniło artystyczne i techniczne umiejętności Zbigniewa Kulika.



Dawne zielonogórskie atelier fotograficzne 1858-1945

– wystawa w Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze

W 1839 roku Francuz Louis Jacques M. J. Nicéphore Niépce zdemontował Akademii Francuskiej zdjęcie fotograficzne otrzymane na warstewce jodku srebra. Od nazwiska wynalazcy tego typu obrazy zyskały nazwę dagerotypów. Technika fotografii rozwijała się od tego momentu bardzo szybko. Już wkrótce płytki srebrne zastąpiono szklanymi powleczonymi warstwą światłoczułą. Zakłady fotograficzne zaczęły wyrastać w całej Europie jak przysłówiowe grzyby po deszczu. Wykonanie sobie i swojej rodzinie portretu świadczyło o prestiżu i pozycji. Modne stały się też karty wizytowe z wizerunkiem właściciela.

Prezentacja zaczarowanego świata starej fotografii była możliwa dzięki drowi Bartłomiejowi Gruszcze, zbieraczowi wszelkich pamiątek związanych z przedwojenną Zieloną Górą, który pokazał niemal połowę swojej kolekcji zdjęć w muzealnej galerii. Przepadał on także i opracował historię dawnych zakładów fotograficznych, które funkcjonowały w Zielonej Górze w latach 1858-1945.

Początki profesjonalnej fotografii w mieście są związane z osobą Ottona Linckelmanna, który w 1858 roku przy dzisiejszej ulicy Moniuszki założył swoje pierwsze atelier. Oprócz zdjęć na papierze albuminowym, Linckelmann zajmował się także panotypią stosowaną niemal wyłącznie do wykonywania portretów. W listopadzie 1858 roku panotyp w atelier Linckelmanna kosztował 1 talara, a odbitka na papierze była o 20 groszy droższa. Zdjęcia były go-

towe w ciągu jednego dnia, a zakład był wówczas czynny od 9 do 15. Czas otwarcia studia fotograficznego, ze względu na brak jeszcze wówczas dobrego sztucznego oświetlenia, był uzależniony od warunków naturalnych. Atelier w tym samym miejscu funkcjonowało przez następnych kilkadziesiąt lat, do czasu drugiej wojny światowej. Przez ten okres wielokrotnie zmieniali się jego najemcy. Swoje usłu-



gi oferowali tu Theodor Siedler, Hans Bergmann, Peter Linckelmann (syn Ottona Linckelmanna), Max Jaszniewski, Cuno Güttler, Otto Bombach, August Vitzthum i jedyna w tym gronie kobieta – Lina Vitzthum z domu Goetz.

Hermann Oberlaender był jedynym fotografem w Grünbergu, który zmieniał siedzibę swojego studia aż trzykrotnie. Pierwsza wzmianka o atelier Oberlaendera pochodzi z 1 października 1897 roku. Opuścił on swój pierwszy zakład przy Berlinerstrasse 91 najpóźniej w końcu czerwca 1899 roku i przeniósł się na Niederstrasse 27 (obecnie ul. Kupiecka 51). Atelier w nowym miejscu funkcjonowało krótko, tylko do około połowy 1906 roku. Z pewnością od 7 lipca (choć być może już nawet w kwietniu) nową siedzibą studia były pomieszczenia znajdujące się na tyłach kamienicy przy Niederstrasse 38. Na podstawie zachowanego szkicu sytuacyjnego możemy wnioskować, że zakład Oberlaendera miał około 15 metrów długości i 5 metrów szerokości, z czego właściwa część studia zajmowała około 35-40 metrów kwadratowych. Atelier Oberlaendera funkcjonowało prawdopodobnie do końca wojny, choć ad-

res nie został umieszczony w książce telefonicznej z początku lat 40. XX wieku. O tym, że pracownia była czynna do 1945 roku, może świadczyć to, że po zakończeniu działań wojennych w tym samym miejscu otworzono studio fotograficzne Warszawa (ul. Pionierska 38).

Najmłodszym zakładem fotograficznym w Grünbergu było studio założone przez stolarza Fritza Bradena przy Breitestrasse 15 (obecnie ul. Sikorskiego 29). Fritz Braden widnieje jeszcze jako fotograf w książce adresowej z lat 1924-1925. Pomiedzy 1925 a 1929 rokiem lokal sklepowy i studio fotograficzne wynajmował Rudolf Hasse. W 1932 roku w jego ofercie było wywoływanie filmów z rolki (koszt usługi wynosił wówczas 3,5 marki za film), klisz i płyt szklanych, wykonywanie odbitek i reprodukcji (odbitki zdjęć można było zamówić na papierze matowym lub z połyskiem). Hasse oferował także różnego rodzaju korekty fotografii, jak retuszowanie, wzmacnianie czy zmniejszanie nasycenia obrazu. W ofercie zakładu były także przygotowywanie slajdów, powiększenia i pomniejszenia. Hasse, podobnie jak jego poprzednik Fritz Braden, był



również wydawcą pocztówek, czym konkurował m.in. z Paulem Mohrem (choć znane są przypadki ich współpracy, kiedy to autorem zdjęć był Hasse, a wydawcą pocztówki Mohr). Studio fotograficzne Rudolfa Hassego działało zapewne do końca wojny. Adres i reklama zakładu znajdują się w książce telefonicznej z 1941 roku.

26 października 1895 roku w „Grünberger Wochenblatt” ukazało się ogłoszenie Ewalda Hasego, w którym informuje on, że 15 listopada przy Gross Bahnhofstrasse (al. Niepodległości) zamierza otworzyć swoje studio fotograficzne. Zapewnia jednocześnie, że posiada najnowszy i najlepszy sprzęt, dzięki któremu będzie mógł spełnić każde życzenie swoich klientów. Atelier było czynne od godziny 9 do 16, niezależnie od warunków pogodowych. W ogłoszeniu Hase nie wspomina nic o tym, że studio należało jeszcze niedawno do innego fotografa – Williama Clarka. Dowiadujemy się o tym dopiero z informacji zamieszczonej po kilku dniach (2 listopada 1895 roku) przez konkurenta, Hansa Bergmanna (swoje atelier miał przy Holzmarktstrasse 23), u którego Ewald Hase był niegdyś wo-

lontariuszem. W okresie nieobecności Bergmanna Hase był także jego zastępcą i w jego imieniu prowadził studio fotograficzne. W październiku 1896 roku Ewald Hase zamieścił dużą reklamę w gazecie „Grünberger Wochenblatt”, w której szczegółowo podał zakres swoich usług, zarówno fotograficznych, jak i malarskich. Z ogłoszenia dowiadujemy się, że wykonywał portrety i zdjęcia grupowe we wszystkich formatach, ujęcia dzieci, szkół, budynków, pomieszczeń fabrycznych i wszelkich wnętrz oraz krajobrazów. Zajmował się także renowacją starych i pożółkłych obrazów oraz zdjęć. Oferował powiększenia i reprodukcje z każdego typu obrazu, aż do wielkości naturalnej. W ofercie była także fotografia wykonywana z wykorzystaniem lampy błyskowej, zdjęcia na błonie o podłożu celuloidowym oraz platynotypia. Jako że Hase był także malarzem, w ofercie atelier znajdowały się portrety z natury w akwareli, oleju i pastelach (zamówienia na obrazy należało złożyć z dużym wyprzedzeniem). Był on też jedynym fotografem z naszego miasta, który studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Berlinie.

W książce adresowej z 1914/1915 roku została zamieszczona obszerna reklama atelier fotograficznego Richarda Oye. Przedstawiono w niej szeroką ofertę dla fotografów-amatorów, m.in. sprzedaż aparatów nowych i używanych, materiałów fotograficznych najlepszych marek. Ponadto oferowano zdjęcia każdego rodzaju, przeznaczone zarówno do celów komercyjnych, jak i reklamowych. Oye wykonywał również kopie i powiększenia (na wyposażeniu zakładu był elektryczny powiększalnik). Dostępne były także obrazy malowane w technice akwarelowej i olejnej. Przedsiębiorstwo Richarda Oye musiało się rozwijać bardzo dobrze, do 1915 roku stał się on bowiem właścicielem wszystkich budynków znajdujących się po lewej stronie wąskiej uliczki prowadzącej w stronę Neumarkt (obecnie placu Słowiańskiego) oraz niewielkiego ogrodu i budynków gospodarczych. Budynek dawnego studia fotograficznego Richarda Oye stoi do dzisiaj. Pomimo że zatracił swój dawny wygląd, to jednak niektóre elementy, takie jak charakterystyczny kształt dachu, podwójny rząd kotew mocujących szkieletową konstrukcję, będący rusztowaniem dla oszklonych ele-

mentów atelier, mogą zdradzać dawne przeznaczenie tego miejsca. Po wojnie, w 1945 roku, w dawnym zakładzie fotograficznym Richarda Oye przy ul. 3 Maja 90 działało studio Foto-Eros. (Opracowanie informacji o atelier fotograficznych – B. Gruska).

Wszyscy ciekawi starych zdjęć i tego, jak wyglądali ludzie mieszkający tu w ostatnim stuleciu przed zakończeniem drugiej wojny światowej, mogli w okresie 12 listopada 2019 – 19 stycznia 2020 obejrzeć wystawę *Dawne zielonogórskie atelier fotograficzne 1858-1945* (Muzeum Ziemi Lubuskiej, kuratorzy: dr Alina Polak-Woźniak, dr Bartłomiej Gruska). Zaprezentowane zostało ok. 100 oryginalnych fotografii wykonanych we wspomnianych atelier, ponadto reklamy zamieszczone w lokalnej prasie przez właścicieli zakładów oraz materiały pochodzące z akt policji budowlanej przechowywane w Archiwum Państwowym w Zielonej Górze. 20 wybranych zdjęć zostało powiększonych do rozmiarów, które półtora wieku temu były zupełnie niemożliwe do zrealizowania. Wystawę wzbogaciły zabytkowe aparaty fotograficzne ze zbiorów Muzeum Ziemi Lubuskiej.



Dodatkową atrakcją stały się zdjęcia ukazujące wnętrze domu (dziś kamienica przy ul. Żeromskiego) znanego zielonogórskiego wydawcy pocztówek i właściciela dużej księgarni oraz sklepu z materiałami kreślarskimi Paula Mohra, wykonane przez niego samego po 1933 roku. Negatywy zostały udostępnione Muzeum przez wnuka przedsiębiorcy. Na parterze posesji Mohra znajdował się sklep, w którym zatrudniony był liczny personel, można było kupić wszystko to, co dziś kupujemy w sklepie papierniczym: długopisy, ołówki, zeszyty, pióra, kredki, farbki, listowniki, koperty, linijki itp. Na pierwszym piętrze urządzono obszerne i okazałe mieszkanie. Jak na ówczesne stan-

dardy posiadało ono wszelkie wygody, gdyż znajdowały się tam komfortowo urządzone pokoje, kuchnia, osobna ubikacja oraz łazienka ze sporą wanną. Na drugim piętrze znajdowały się słuźbówki i pokoje dla pracowników drukarni oraz ekspedientek, a na poddaszu miejsce wypoczynku i rekreacji.

Przez kolejnych kilkadziesiąt lat ponad 20 fotografów prowadziło w Zielonej Górze swoje atelier, m.in. przy dzisiejszych ulicach Jedności, Drzewnej czy Kupieckiej. Niektóre z nich działały nieprzerwanie aż do końca drugiej wojny światowej, a po jej zakończeniu w części z nich wykonywali zdjęcia polscy fotografowie.



Ewa Rutkowska

Promocja książki Łucji Fice *Druga strona grzechu*

Zasadnicze pytanie Agnieszki brzmiało: Czy można wytłumaczyć drugą stronę grzechu? Czy coś takiego jest? I dlaczego książka nosi taki tytuł?

W odpowiedzi usłyszeliśmy: Grzech to jest to, co określa złe myśli napędzane ogromną energią. To także złe uczynki i złe słowa, które ranią. Grzech to coś nagannego i niemoralnego. A tytuł pochodzi ze snu. Te słowa przyśniły się autorce i jak mówiła na promocji, okazało się, że pięknie wpisały się w treść książki. Łucja nie ma wątpliwości, że druga strona istnieje. Przyznaje nawet, że ma wiadomości z tamtej strony... W zakończeniu książki pisze: „Udowodniłam sobie ponad wszelką możliwość ist-

nienie komunikacji z TAMTĄ STRONĄ, Z KIMŚ, KTO WIE O WSZYSTKIM”.

Książka *Druga strona grzechu* to reportaże na pograniczu z esejem. Jest tu sen i jest rzeczywistość. Są to myśli zapisywane, gdy była daleko... A tło książki stanowią jej doświadczenia z pobytów za granicą, gdzie pełniła rolę opiekunki do osób chorych i starych.

Tym razem miał to być jej ostatni wyjazd. Tak przyrzekła przed wyjazdem sobie i mężowi. Chciała jeszcze tylko ten raz zarobić, aby móc godnie żyć. Poza tym pojechała, bo spełniło się jej marzenie. Jako opiekunka zatrudniona została w pięknym mieście



Pasawa nad Dunajem u bardzo schorowanego, ale znanego naukowca, profesora, filozofa i reżysera, mieszkającego w starym, pięknym domu. To wszystko dodawało jej także twórczego napędu.

Pracowała, zwiedzała miasto i okolice i pisała. Ale ciągle „z tyłu głowy” nękał ją niepokój, wszędzie spozstrzegając jakieś znaki. Sama o sobie mówi, że niezbyt przywiązuje wagę do spraw codziennych, zwyczajnych. Jest jakby ponadto. Woli „bujać w obłokach”, wśród literackich uniesień. Jeden z rozdziałów zatytułowała *Poszukiwania w pamięci znaków, które zapowiadały przyszłość*. Bo, jak mówi, jest to książka o przeczeniach, emocjach i o intuicji. Stara się w niej wyjaśnić pewne zjawiska, o których mówi się, że są niewytłumaczalne. To coś jakby pamiętnik, w którym zapisywała „momenty”. I coś podsumowywała.

Już we wstępie wyjaśnia: „To typ powieści magicznego realizmu dla tych, którzy już przeżyli żałobę, jak również dla tych, którzy stoją PRZED. Dzielę się doświadczeniami, być może z innego wymiaru... Przywołuję męża w symbolach, słowach, gestach, myślach. To książka o walce z samotnością. Dopiero po śmierci bliskiej osoby uświadamiamy sobie smak życia, jego barwę... Rozpalam cierpieniem wyobraźnię, wywołuję obrazy z przeszłości, powracam do przeczuć, których wówczas nie rozumiałam”. Książka poświęcona jest pamięci męża Ryszarda (odszedł w 2016 roku).

Znany warszawski poeta, Leszek Żuliński, który zachęcił ją do wydania tej książki, napisał, że jest

to jedna z najlepszych i najmądrzejszych książek, jakie ostatnio czytał.

A na promocji dyrektor gorzowskiej księgarni Sławomir Szenwald stwierdził, że to spotkanie to święto naszej regionalnej i polskiej literatury i wręczył autorce list gratulacyjny od marszałkini województwa.

Łucja Fice pisze nadal, bo kocha to robić, w ten sposób się spełnia i jest szczęśliwa. Spotkanie zakończyła słowami: „co ma być, to będzie...”. I dodała: „nic nie jest takie, na jakie wygląda”. Monodram w oparciu o tekst książki przedstawiła aktorka gorzowskiego teatru Bogusława Jędrzejczyk. A liryczne piosenki śpiewała Marzena Śron.

Książkę wydała Warszawska Firma Wydawnicza. Projekt okładki – Jakub Ferenc.

Łucja Fice – polska poetka, powieściopisarka i filozofka. Debiutowała w 1997 roku tomikiem poezji pt. *W moim śnie*. W roku 2010 wydała drugi tomik *Piegi na słońcu*. Kolejna jej książka pt. *Opiekunka* ukazała się w 2012 roku. W tym samym roku powstała pierwsza z cyklu książek o opiekunkach za granicą, zatytułowana *Przeznaczenie*. W 2013 roku ukazała się druga pt. *Wyspa starców*. Cykl zamyka książka z 2017 roku – *Za kryształowym lustrem*. Łucja Fice jest członkiem ZLP i RSTK.



Roman Czarnecki

Gubin w literackich szrankach

13 grudnia 2019 roku miałem zaszczyt, a zarazem wielką przyjemność uczestniczyć w Gubinie w uroczystości wręczenia nagród laureatom, którzy wzięli udział w 21. Konkursie Literackim im. Tadeusza Firleja o „Złote Pióro”. Konkurs zorganizowało Gubińskie Towarzystwo Kultury i Miejska Biblioteka Publiczna w Gubinie. Konkurs przeznaczony był dla osób, które ukończyły 16 lat i zamieszkują na terenie zachodnich województw Polski. Wśród wielu laureatów w dziedzinie poezji i prozy znalazł się zielonogórzanin, słuchacz naszego Zielonogórskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku, członek zespołu

kabaretowego Monte Verde Władek Edelman, który zajął zaszczytne drugie miejsce w dziedzinie prozy opowiadaniem pt. *Paryż*. Władkowi Edelmanowi w uroczystości towarzyszyła żona Krystyna. Nagrodę wręczyła prezes Gubińskiego Towarzystwa Kultury Anna Konstanty. Jury Konkursu przyznało nagrody niżej wymienionym osobom.

W kategorii proza:

1. miejsce i „Złote Pióro” – Renata Diaków za opowiadanie *Pierwsze przykazanie miłości: szczęście nigdy nie przychodzi z zewnątrz*,





2. miejsce – Władysław Edelman za opowiadanie *Paryż*;
3. miejsce – Jadwiga Rupietka za opowiadanie *Wykluczeni*.

Wyróżnienia otrzymali: Marta Marek, Dominik Pieniądz i Danuta Newelska.

W kategorii poezja:

1. miejsce i „Złote Pióro” – Roxana Lewandowska za wiersze: *Gubin – cały świat, Podróżniku, Innego końca świata nie będzie, Czy było warto i O kotach*;
2. miejsce – Eva Roszak-Andrukiewicz za wiersze: *W cieniu, Za szybko, Pachnące wspomnienia, Buki w Neuzelle*;
3. miejsce – Ida Kaczanowska za wiersze: *Radość życia, Już jesień, Jesienni, Gubińskie mokradła*.

Wyróżnienia otrzymali: Arkadiusz Pokora, Aneta Ślomp i Adam Bolesław Wierzbicki.

Miła i podniosła atmosfera wręczania nagród dawała nagrodzonym wielką satysfakcję i świadomość tego, że ich talent jest dostrzegany, a to, co robią, potrzebne jest ludziom.



Anna Urbańska

„Dopóki ptaki śpiewają”... chce się żyć!

Artystka fotografka, mieszkająca przez wiele lat w Zielonej Górze, Małgorzata Chomont, wydała tomik poezji zatytułowany *Dopóki ptaki śpiewają*. Jest to jej pierwsza książka poetycka. Wiersze zawarte w tomiku, czytane przez ich autorkę mogliśmy usłyszeć w czwartkowy wieczór 21 listopada 2019 roku. Spotkanie z poetką zorganizowała Biblioteka Norwida.

Małgorzata Chomont, znana zielonogórzanom ze swej pasji fotograficznej, jest współzałożycielką i aktywną członkinią Zielonogórskiego Towarzystwa Fotograficznego. Dzieciństwo spędziła w Ostrzeszowie, obecnie mieszka w Warszawie, ale przez wiele lat miejscem jej życia była Zielona Góra. To tutaj powstawały jej liczne fotografie i pierwsze wiersze. Fotografuje i pisze z pasji i zamiłowania. Cechuje ją wyjątkowa wrażliwość na otaczający świat. Zarówno jej fotografie, jak i wiersze ukazują podziw dla towarzyszącej jej przyrody. Również tytuł tomiku pokazuje, jak ważna jest dla niej natura. „To tytuł, który mówi o tym, że dopóki jest życie, dopóki ludzie rozmawiają, słońce wschodzi, dopóki ptaki śpiewają, wszystko jest możliwe. Samo też słowo »dopóki« ma zaszyfowaną informację o skończoności. Nie może być inaczej, ponieważ ludzkie życie jest określone datami. Cieszenie się więc światem, rozwiązywanie problemów jest możliwe... dopóki...” – wyznaje Małgorzata Chomont.

Jej wiersze nacechowane są pozytywnością, dodają blasku szarości otaczającego świata. Mówią o chwytaniu ulotnych chwil i pokazują niebywałą umiejętność artystki – uważności na to, co dzieje się



dookoła. Dla Małgorzaty Chomont poezja i obraz to – jak sama przyznaje – „antidotum na prostowanie tego pozagniatanego, niekiedy bardzo nieestetycznego, życia”.

O swojej poezji mówi: „Moje wiersze traktują o podróżach, miłości, przyrodzie, zachwycie nad światem. Opowiadają o tym, co bliskie każdemu człowiekowi, o radości, poszukiwaniu spokoju, właściwej drogi”.

Dodatkowym walorem artystycznym tomiku są zawarte w nim fotografie – również autorstwa Małgorzaty Chomont. Artystka ma na swoim koncie wiele wystaw zbiorowych i indywidualnych, natomiast jej przygoda z poezją trwa znacznie krócej. Jej wiersze publikowane były w czasopiśmie literackich „Pro Libris” i „Akant”, a teraz ukazał się jej pierwszy tomik.

„Fotografia była pierwsza, to ona sprawiła, że zaczęłam baczniej przyglądać się otaczającej przyrodzie i wszystkiemu, co dzieje się dookoła. To, co widziały moje oczy i obiektyw aparatu, w wielu momentach nie wystarczało do opowiedzenia innym tego, co widziałam. Zaczęłam używać dość szerokich opisów, które krok po kroku stawały się tym, co obecnie mogę nazwać poezją. Często jednak obraz pokazuje to, czego nie potrafią wypowiedzieć słowa. Bywa też i tak, że to, czego nie może pokazać zamrożony w kadrze wycinek rzeczywistości, dopowiadają słowa. Połączenie słów i obrazu jest dla mnie naturalnym zabiegiem” – opowiada M. Chomont.

Spotkanie z Małgorzatą Chomont, które odbyło się 21 listopada 2019 r. w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, było jednym z wydarzeń 9. Festiwalu Literackiego im. Anny Tokarskiej.

Promocji tomiku poetyckiego towarzyszyła wystawa fotografii artystki oraz prezentacja wydawnictwa Anagram. Jego właścicielka i redaktorka, Magdalena Koperska, przedstawiła zielonogórskiej publiczności najnowsze publikacje, które ukazały się nakładem jej wydawnictwa.

„Wydaję rocznie od kilku do kilkunastu tomików poetyckich. Nie zależy mi na ilości, chcę poświęcić autorowi i jego twórczości odpowiednio dużo czasu i zainteresowania. Dostaję bardzo dużo zapytań od osób, które piszą wiersze z prośbą o wydanie ich poezji. Aby zdecydować się na publikację, musi coś przykuć moją uwagę, coś ulotnego, co czasami trudno określić. Przyglądam się także warsztatowi. Dobra poezja musi trzymać się pewnych wytycznych, o czym czasami piszący zapominają” – przyznaje Koperska.



Redaktorka twierdzi ponadto, że współcześnie nie jest łatwo wypromować poezję: „Obserwujemy bardzo duże rozproszenie na rynku wydawniczym. Zależy mi na promocji w mediach, bierzemy udział w festiwalach literackich, organizujemy spotkania autorskie, ale sukces w dużej mierze zależy od zaangażowania samego twórcy. Jeśli dodatkowo jest aktywny w mediach społecznościowych, otwarty na rozmowy z dziennikarzami, to wówczas naturalnie staje się bardziej znany i jego książki lepiej się sprzedają”.

Wystawę fotografii Małgorzaty Chomont mogliśmy oglądać do końca grudnia w Galerii Biblioteki. Jej tomik jest dostępny w sprzedaży internetowej Wydawnictwa Anagram oraz na stronie autorki (<https://www.fotoesej.com.pl/>).

Natomiast 17 stycznia 2020 roku w holu Biblioteki Norwida otwarto kolejną wystawę artystki, zatytułowaną *Magia w pejzażu*.



Alina Kruk

Kazimierzowi i Jadwidze Dziadoszom

Czas płynie niepowstrzymanym strumieniem wiecznym.

Kazimierz Dziadosz zaznaczył swoje w nim twórcze trwanie poezją liryczną, ciepłą barwą obrazów i kreską rysunków. W tym tworzeniu nie był sam. Zawsze towarzyszyła mu Jadwiga, która nie pozwoliła zwiędnąć pamięci o swojej rodzinie, pisząc o niej opowiadanie. Członkowie Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Zielonej Górze – byliśmy świadkami ich życia z sensem. Taki jest też tytuł opowiadania Jadwigi.

Jadwiga zmarła w 2019 roku. Kazimierz zebrał ją wersami wierszy dla niej pisanych, ale wkrótce do niej dołączył. Nie wystarczyły porozwieszane w domu fotografie i rysunki Jadzi. Ich dusze szybko się połączyły.

Zostaliśmy bez energii, dowcipu, elokwencji, intelektu, talentu obojga naszych przyjaciół – członków Literackiej Grupy OKSYMORON Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Będziemy oczami wspomnień szukać ich na krzesłach Muzeum Ziemi Lubuskiej, którego Jadwiga była Honorowym Kustoszem, na spotkaniach jazzowych i wszystkich twórczych wydarzeniach – w Sali im. A. K. Waśkiewicza, w Sali im. J. Koniusza, w holu Biblioteki Norwida i jej filiach. Zawsze byli obecni i zawsze razem. Oczami serca będziemy ich szukać podczas wernisaży i wydarzeń twórczych w salach UTW. Będziemy ich szukać i pamiętać.

Byli piękną wizytówką naszego pokolenia.
Niech będą wiecznie szczęśliwi.

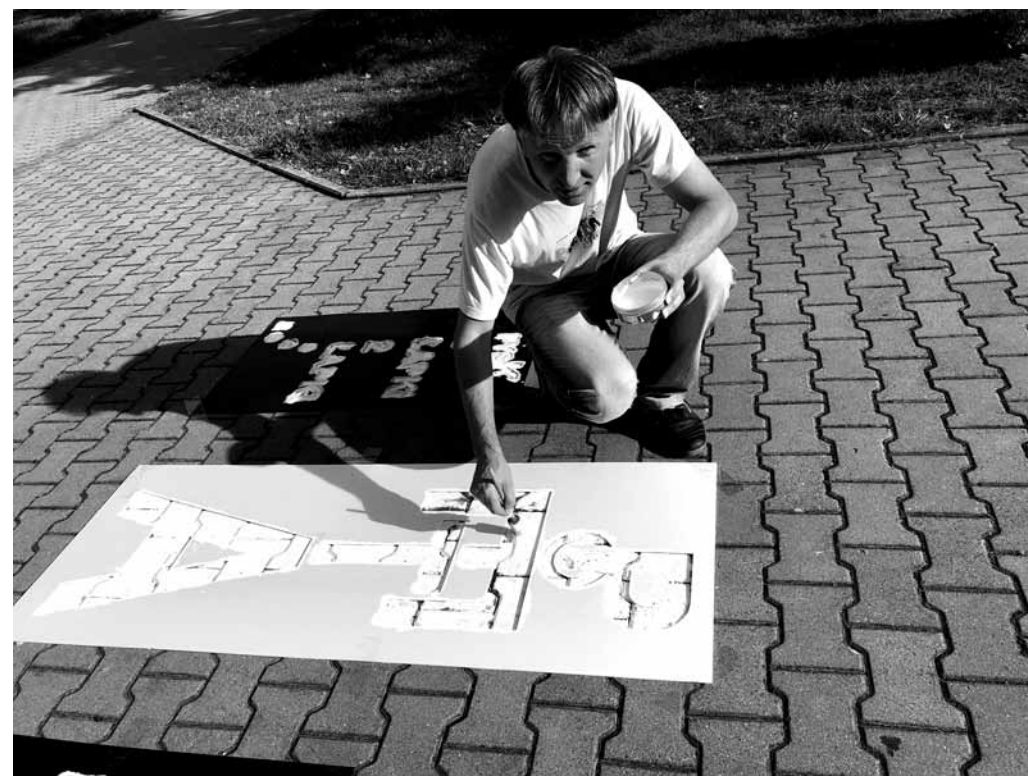


Grzegorz Żegleń

Słowa w obrazie miasta

Pod koniec 2019 roku Szprotawski Dom Kultury reprezentowany przez dyrektora Teresę Zimę zakończył realizację konkursu na inicjatywę oddolną w ramach projektu „#zaSZTUKAJ” programu Dom Kultury+ Inicjatywy Lokalne 2019 – dofinansowanego ze środków Narodowego Centrum Kultury. Zwycięzcą tego konkursu został Grzegorz Żegleń – poeta, nauczyciel, dziennikarz z projektem *Słowa w obrazie miasta*. Celem tego przedsięwzięcia – co podkreśla autor – jest promowanie poezji w przestrzeni miasta, krzewienie umiłowania do poezji oraz

pokazania, że może ona wykraczać poza granicę kartki czy książki. W pierwszej części projektu powstały dwie instalacje poetyckie, które zostały zamontowane na jednej z zewnętrznych ścian Domu Kultury. Pierwsza – *Przenikanie* – wykonana z liter o wysokości 25 cm wyciętych ze styroduru w kolorystyce czerwonej i czarnej, ukazująca przenikanie słów przez kluczowe symboliczne słowo, oraz *Labirynt Żeglenia* wydrukowany na specjalnie do tego przygotowanej metalowej tablicy o wymiarach 3 x 2 metry w kolorystyce białej-czarnej ukazujący



wędrówkę liter układających się w labirynt. W drugim etapie autor projektu poprowadził *Warsztaty poezji eksperymentalnej*. W czasie warsztatów młodzież, jak i dorośli poznali nurty, formy oraz zasady uprawiania współczesnej poezji, które znajdują swoje odzwierciedlenie m.in. w literaturze czy też poezji konkretnej. Uczestnicy warsztatów eksperymentowali ze słowami w takich formach jak haiku czy haiga, próbowali swoich sił w kolażu poetyckim oraz tworzeniu z liter instalacji wizualnych. W czasie zajęć udało się wspólnie stworzyć pierwszy tego typu wiersz eksperymentalno-audiowizualny słowo po słowie *Porywy świtu*, który ma szansę stać się małą cegiełką i wkładem w rozwój nowych form ekspresji we współczesnej poezji. Kulminacją projektu było stworzenie na przylegającym do Szprotawskiego Domu Kultury chodniku galerii przechodnia *Między słowem a obrazem*. Galeria prezentuje 10 poetyckich odbić, które powstały z wyciętych i we właściwy sposób zamalowanych szablonów. W ten sposób powstały obrazy skomponowane z odpowiednio ułożonych względem siebie liter. Powstała galeria jest dowodem na to, że sztuka nie ma określonych granic. Literatura może uzupełniać się, jak i przenikać z grafiką czy malarstwem. Przechodnie mogą teraz poznać jeden z nurtów współczesnej literatury – poezję konkretną, a także na chwilę przystanąć i spróbować zinterpretować, jaki pod układem liter skrywa się symbol i jaka tajemnica. Dzięki tym wszystkim artystycznym działaniom Szprotawa wpisała się na mapę miast poezji konkretnej – wizualnej. Wyeksponowane instalacje wzbogaciły krajobraz miasta oraz nadały nowego wymiaru budynkowi SZDK i jego otoczeniu, sprawiły, że stał się on bardziej rozpoznawalny, charakterystyczny, wyrazisty przypisany do funkcji kultury i sztuki.



Tomasz Kowalski

Motywy winiarskie w krajobrazie przestrzennym i społecznym Zielonej Góry

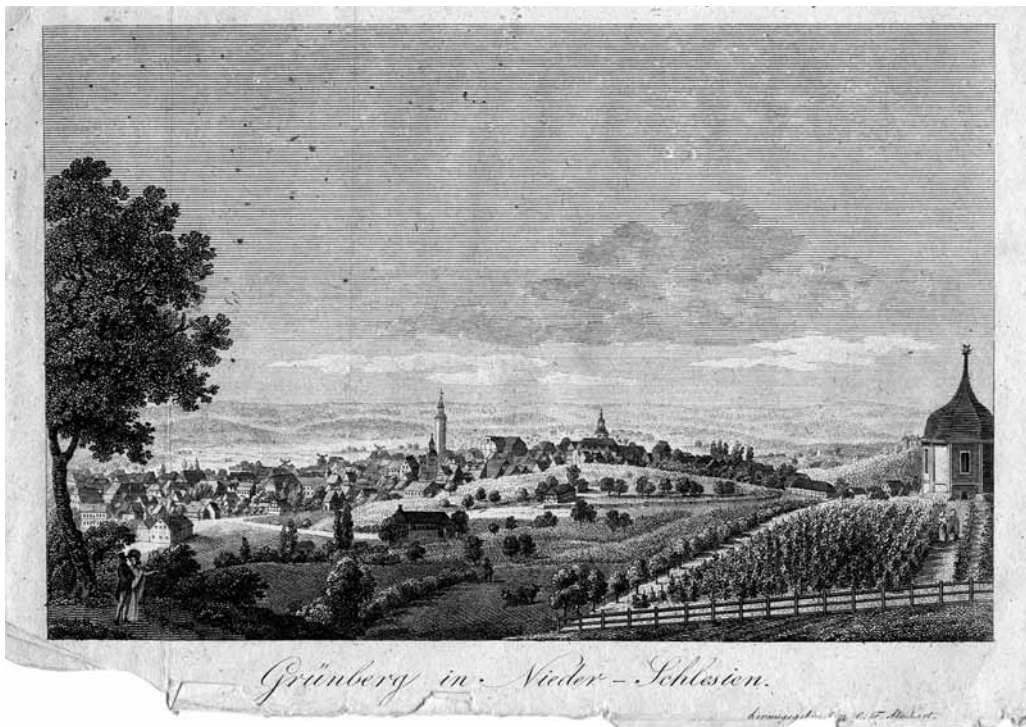
Winorośl zadomowiła się w Zielonej Górze w XIII wieku. Nie wiemy, kto posadził pierwszy krzew tej szlachetnej rośliny, ale swoim czynem spowodował, że stała się ona symbolem naszego miasta, określanego często również jako Winny Gród.

Winorośl rosnąca na stokach wokół miasta wpisała się w tutejszą tradycję nie tylko w postaci motywów architektonicznych, ale też malarskich, graficznych, fotograficznych etc. Można ją odnaleźć na fasadach budynków, w ikonografii, na pocztówkach – tych przedwojennych, jak i współczesnych. Umieszczano ją na tzw. pieniądzach zastępczych. Także dzisiejsi zielonogórzanie wykorzystują winne pędy, np. jako elementy ozdobne bram i furtek. Bardzo ciekawa jest również korespondencja „winobraniowa”, która ukazuje, jak silne emocje – radość, bachiczną rubasznosć, ale i refleksję – wywoływało w ludziach to święto i związana z nim konsumpcja wina.

Najwcześniej motyw winorośli pojawił się na rycinach Zielonej Góry. Do nich należy grafika nieznanego autora oraz dzieło Benjamina Brühla, obydwie z XVIII wieku. Panoramy te przedstawiają miasto od południowego wschodu, gdzie oprócz znanych budynków widzimy też rosnące na stokach winne krzewy.



1. Rycina nieznanego autora z panoramą Zielonej Góry, XVIII wiek. W prawym dolnym rogu widoczne krzewy winorośli. Własność autora



2. Rycina Carla Fryderyka Stuckarta, przed 1918 rokiem. Własność autora

Do najcenniejszych odkryć związanych z dziejami naszego miasta należy w ostatnim czasie kolorowa grafika z 1778 roku ukazująca zielonogórski ratusz. Rysunek wypełnia lukę między widokiem ratusza XVI-wiecznego i współczesnego. Pochodzi ze sztambucha (pamiętnika) Georga Pirschera, właściciela dawnej apteki Pod Filarami. Dokument ten jest w posiadaniu potomków aptekarza, Michaela i Kerstin Müschnerów, a został odnaleziony i opracowany przez dr hab. Jarochnę Dąbrowską-Burkhardt. Istotnym elementem grafiki jest, obok herbu miejskiego, scenka rodzajowa przedstawiająca winiarza podczas pracy oraz dwie dorodne kiście winogron. Obrazek otacza bordiura z sentencją: *Nach schneiden und hencken, nach hacken und graben, kan ich mich auch endlich mit Weintrauben erlaben*¹.

Późniejsze panoramy Zielonej Góry to już wiek XIX. Należą do nich praca Carla Fryderyka Stuckarta oraz litografia wykonana na podstawie zdjęć Gustava Schwartza – fotografa i malarza². Winnice na nich są oddane w sposób bardzo precyzyjny, widać nawet pojedyncze listki na krzewach.

Najbardziej dostępnym rodzajem motywów winiarskich są nawiązania do winorośli znajdujące się w architektonicznej przestrzeni miasta. Industrializacja spowodowała wzrost znaczenia mieszkańców należących do klasy średniej, którzy stawiali coraz bardziej okazałe budowle. W XIX wieku najwięcej „winiarskich” dekoracji wykonano w technice stiuku, potem w szkłe oraz pojedyncze egzemplarze z metalu i drewna.

Wyróżnić tu należy dawną wytwórnię winiaków Carla Raetscha (dzisiejsza ul. Chrobrego), której fasada pokryta jest dużą ilością kiści winogron.

¹ „Po podcinaniu i podwiązywaniu, motykowaniu i grabieniu, mogę się w końcu delectować winogronami” (tłum. A. Polak-Woźniak).

² Więcej na ten temat zob. T. Kowalski, *Graficzne panoramy Zielonej Góry z XVIII-XIX wieku*, [w:] *Lubuskie materiały konserwatorskie*, t. 1, Zielona Góra 2003, s. 45-62.



3. Widok renesansowego zielonogórskiego ratusza. Własność Michaela i Kerstin Müschnerów z Berlina



4. Motyw winiarski na budynku dawnej wytwórni winiaków Raetscha (ul. Chrobrego 35). Fot. autora



5. Supraporta nad wejściem do dawnej fabryki koniaków Raetscha. Fot. autora

U podnóża tzw. Góry Ceglanej, na której znajduje się dawny domek winiarski Gremplera wraz z Palmiarnią, stoi dom mieszkalny, którego fasada również przyozdobiona została bogato wykonanym motywem winnej latorośli (ul. Wrocławska 12). Niedaleko, bo przy dzisiejszej ul. Drzewnej, na jednej z kamienic, na wysokości trzeciego piętra umieszczono płycinę z przedstawieniem kosza pełnego winogron oraz innych owoców. Po obu jego stronach znajdują się putta delectujące się owocami.



6. Wykusz na domu przy ul. Wrocławskiej 12. Fot. autora



7. Płycina na kamienicy przy ul. Drzewnej 29. Fot. autora

Przy ul. Bankowej znajduje się kamienica, której klatka schodowa posiada okna z szybami pokrytymi wytrawionymi rysunkami winogron i pędów *vitis vinifera*.



8. Okna kamienicy przy dzisiejszej ul. Bankowej 6. Fot. autora

Przykładów architektonicznych motywów winiarskich jest o wiele więcej: Czerwony Kapturek z butelką wina w koszyczku na domu na osiedlu Braniborskim, dekoracje w dawnym budynku gimnazjum na pl. Słowiańskim, budynek sanatorium ampeloterapeutycznego, w którym odbywały się kuracje winogronowe (ul. Botaniczna 38). Niezwykle interesująca XIX-wieczna szklana kiść winogron, zawieszona na metalowym szyldzie, znajduje się przy ul. Kupieckiej 22³.

Motywy winiarskie zdobiły również tzw. pieniądze zastępcze (niem. *Notgeld*). Emitowane one były najczęściej w dobie kryzysu, w pierwszej ćwierci XX wieku. Notgelder nie były wydawane przez bank centralny, lecz przez magistraty miejskie lub instytucje, takie jak prywatne banki czy przedsiębiorstwa. Notgelder najczęściej przyjmowały formę niewielkiego banknotu. Zielonogórskie pieniądze zastępcze ukazują sceny pracy na winnicy, martwe natury z winoroślą i z winem, piwnice z beczkami oraz legendy miejskie związane z winem. Co ciekawe, ujrzyć można na nich drugą ważną w mieście gałąź gospodarki – sukiennictwo – w postaci członków tkackich, beli sukna czy też osób zajmujących się sukiennictwem i folusznictwem⁴.



9. Notgeld opiewający na 75 fenigów, ozdobiony postaciami tkacza z członkiem oraz winogrodnika. Własność Muzeum Ziemi Lubuskiej

Innym sposobem prezentacji tak popularnego w Zielonej Górze, tradycyjnego motywu winnej latorośli były karty pocztowe i widokówki. W latach 1869-1870 pojawiły się w Europie jako nowy sposób komunikacji. Wykorzystywały charakterystyczne dla danych miast widoki, panoramy czy elementy krajobrazu, początkowo wykonane w technice litografii, a potem fotografii. Około 40% widokówek wydanych w Zielonej Górze do 1945 roku zawiera treści winiarskie. Są to: charakterystyczne panoramy miasta z widokiem winnic lub ujęte w ornamenty w formie winnej latorośli; wnętrza wytwórni win (np. Fritza Briegera), gospód, restauracji i szynków (np. Zum Alten Fritz); rodzajowe scenki sentymentalne (na winnicy) i humorystyczne (dwóch opojów w bramie miejskiej). Warto wspomnieć o pocztówkach fotograficznych, które ukazują sceny ze zbiorów winogron, najczęściej opatrzone okolicznościowym wierszem sławiącym chwałę lokalnego wina, oraz jubileuszowych kartach pocztowych wydanych np. z okazji 750-lecia uprawy winorośli w regionie. Jedną z najbardziej reprezentatywnych jest seria kart przedstawiających korowód winobraniowy z 1900 roku. Sfotografowano wówczas poszczególne wozy i grupy prezentujące różne wy-

3 Więcej informacji na ten temat zawarł Stanisław Kowalski we wstępie do albumu T. Kowalskiego, *Winiarskie akcenty w architekturze Zielonej Góry*, Zielona Góra 2005.

4 Więcej na ten temat: I. Korneluk, *Zielonogórski papierowy pieniądz zastępczy (1917-1923) w zbiorach Gabinetu Numizmatycznego Muzeum Ziemi Lubuskiej*, Zielona Góra 2003.

darzenia z historii miasta, np. wędrowkę Flandrów, żołnierzy z wojny trzydziestoletniej, przybycie Fryderyka II – w korowodzie jechała jego oryginalna karetka. Prezentowały się też poszczególni producenci win, szampanów i koniaków. Ogromne wrażenie robiły tu zapewne ogromne makiety butelek Fritza Briegera.



10. Litograficzna pocztówka noworoczna z 1894 roku, najstarsza w zbiorach Muzeum Ziemi Lubuskiej



11. Karta pocztowa zachwalająca grünerskie wino. Własność Muzeum Ziemi Lubuskiej



12. Wóz winobraniowy prezentujący wyroby Fritza Briegera, 14 października 1900. Własność autora

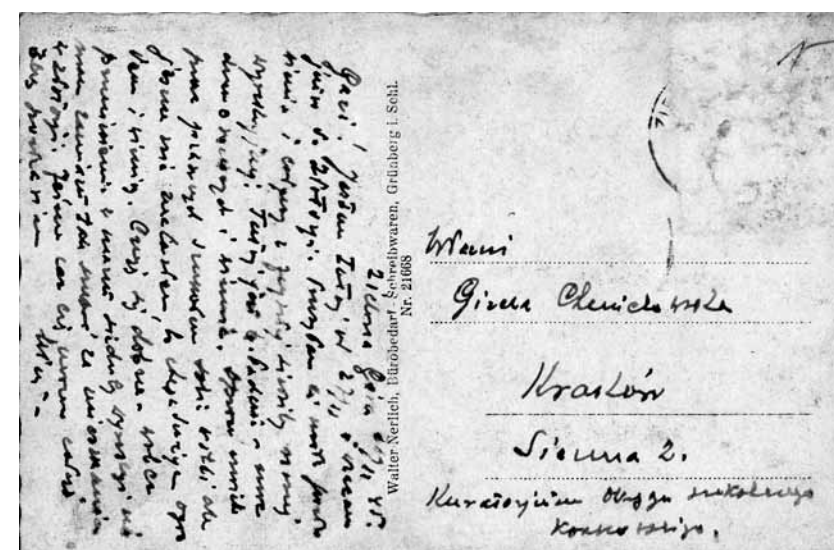


13. Widokówka uświetniająca 700-lecie Zielonej Góry wydana w Dreźnie (1922 rok). Własność Muzeum Ziemi Lubuskiej

Jubileusz 700-lecia Zielonej Góry (w 1922 roku) był okazją do wydania specjalnej kolekcjonerskiej pocztówki. Jest to kolorowa ilustracja autorstwa E. Kutzera przedstawiająca brodatego starca z klepsydrą w dłoni (Ducha Czasu) obracającego kołem symbolizującym upływ czasu i zmienność fortuny. Do charakterystycznych elementów należą tu też trzy wieże: ratusza i dwóch kościołów – ewangelickiego i katolickiego, zielony pagórek (niem. *Grüner Berg*), winorośl, owoce w koszach, herb postrzygaczy sukna oraz herb miasta⁵. Jest to najbardziej nasycona treściami winiarskich pocztówek w dziejach Zielonej Góry. Jeśli chodzi o korespondencję zawartą na omawianych kartach pocztowych, to najczęściej są to pozdrowienia, doniesienia o samopoczuciu i zdrowiu oraz miłe wspomnienia ze święta Winobrania.

Po 1945 roku, w polskiej już Zielonej Górze, motywy związane z winiarstwem także utrzymały się jako jeden z wiodących tematów widokówek i pocztówek. Mamy więc fotografie winogron i winorośli czy ujęcia ze zbiorów na winnicach. Bardzo ciekawy jest zestaw dotyczący Lubuskiej Wytwórni Win, na którym prezentowano m.in. tzw. kapliczkę, czyli pomieszczenie degustacyjne, w którym przyjmowano gości, a także tzw. beczkę-matkę o pojemności około 40 tysięcy litrów z piękną ozdobną ramą rzeźbioną w winorośle, różne zwierzęta i putta.

Jedną z najwcześniejszych powojennych informacji dotyczących winnic zielonogórskich, napisał 28 listopada 1945 roku nadawca pocztówki wysłanej do Krakowa. Pisze m.in., że „jest tu bardzo ładnie, dużo drzew owocowych i winnic” oraz że szuka „willi z dużym ogrodem i winnicą” i „nie ma zamiaru szukać za mieszkaniem w Złotoryi”.



14. Jedna z najstarszych korespondencji wysłanych z Zielonej Góry w pierwszych powojennych miesiącach. Własność autora

Wiele radości przynosi czytanie korespondencji, której narracja świadczy o tym, jak ważnym elementem życia zielonogórzan, i nie tylko, było święto Winobrania, najbardziej rozpoznawalny chyba element miejskiej tożsamości.

Przytoczmy kilka przykładów⁶:

⁵ Zob. T. Kowalski, *Motywy winiarskie na pocztówkach zielonogórskich*, „Zielonogórskie Zeszyty Muzealne” 2008, t. 7, s. 193-198.

⁶ Wszystkie cytaty pochodzą z pocztówek będących własnością autora.

▫ Serdecznie pozdrowienia dla całej rodzinie przesyła Hania. Przyjdźcie na Winobranie. Winobranie będzie 23-24 września.

Zielona Góra, 19 I 1967

Gości zapraszano już w styczniu!

▫ Serdeczne pozdrowienia z Zielonej Góry zasyła Elżbieta. Jadzia, proszę Cię, przyjdź na Winobranie, a jeśli nie przyjedziesz, to niech przyjdzie Jurek lub Wujek.

Zielona Góra, 23 X 1969

Mamy tu do czynienia z pewnym rodzajem wymuszenia na członkach rodziny, żeby wspólnie się bawić. Wiele z tych tekstów zawiera dużo emocji i humoru:

▫ Miłe pozdrowienia z „wesołego miasta” w Dniu Winobrania zasyła Gabryśka

▫ Serdeczne pozdrowienia z pijanej Zielonej Góry zasyła Renata.

▫ Miłe pozdrowienia z Winobrania przesyła kol. Włodek. Ps. Szkoda, że Ciebie Tadzio tu nie było. Cuda się dzieją!

▫ Moc pozdrowień zasyła Józek. Ps. Tadzio, Winobranie w tym roku jest od dnia 22-23.09.1973. Ja tylko przypominam Tobie, że miałeś przyjechać do mnie. Staszek będzie na pewno.

▫ Pozdrowienia z Zielonej Góry przesyła Włodek. Cześć Arturku! Zawody rozpoczynają się w poniedziałek. Forma...? Poza treningami nic nie ma do roboty. Diabelnie nudzę się. Całe szczęście, że rozpoczyna się Winobranie – wspaniała impreza.



15. Korespondencja „winobraniowa”, 18 września 1976. Własność autora

Dzisiaj, spacerując po Zielonej Górze, możemy odkryć sporo współczesnych motywów związanych z winiarstwem. Są to kraty bram, szyldy czy odlewy gipsowe umieszczone na domach. W Muzeum Ziemi Lubuskiej znajduje się jedyny w Polsce Dział Winiarski. Ekspozycja „Muzeum Wina” daje możliwość wszechstronnego zapoznania się z kolejnymi etapami rozwoju winiarstwa, od średniowiecza po czasy współczesne, ze szczególnym uwzględnieniem lokalnego winiarstwa. Na wystawie prezentowane są obiekty pochodzące z przedwojennego miejskiego Heimatmuseum oraz ze zbiorów Muzeum Ziemi Lubuskiej. Wystawa ukazuje zarówno pracę na winnicy, jak i w piwnicy winiarskiej, ukazany jest zatem pełen proces produkcji wina. W Muzeum prezentowane są także witraże będące dorobkiem twórczym poznańskiej artystki Marii Powalisz-Bardońskiej. Na specjalne zamówienie Muzeum wykonała *Panoramę Zielonej Góry* (1977-78) oraz *Winobranie* (1981). Są to największe witraże świeckie w Polsce.

Wiele instytucji, nawet niezwiązanych z winiarstwem, posiada w swoich logo winną latorośl: Miejski Zakład Komunikacji, Zielonogórskie Porozumienie Lekarskie czy Karta Zgranej Rodziny. Dzięki temu wiadać, jak mocno uprawiana tu od średniowiecza winorośl wrosła w tradycję i obyczajowość naszego miasta, wzmacniane dodatkowo przez zielonogórskich winiarzy oraz ich coraz to nowe i doskonalsze wyroby.

Kolekcjoner Lubuski

Moje minerały dają radość i szczęście

Z Marią Siatecką, kolekcjonerką kamieni, rozmawia Ewa Mielczarek

Ewa Mielczarek: Jest Pani zbieraczką kamieni. Jak należy to rozumieć?

Maria Siatecka: Minerały i kamienie szlachetne są najbardziej skryzalizowanym przejawem materii na Ziemi, najbardziej zwartym kondensatem energii. I właśnie dla poznania i wykorzystania tej energii je zbieram. Minerały posiadają swoistą świadomość, żyją samotnie lub parami, rodzą się i promieniują i przy właściwym postępowaniu ludzie mogą z nimi wymieniać się energią. Tajemnica szczęśliwych i nieszczęśliwych kamieni zamyka się w sposobie reagowania człowieka na emanacje danego klejnotu, dlatego kamień dla jednych przynoszący niepowodzenie, innej osobie, której wibracje harmonizują z wibracją kamienia, mogą przynieść radość i szczęście oraz poprawę zdrowia fizycznego.

EM: Interesują Panią jakieś szczególne kamienie? Jakie kryteria decydują o wejściu nowego obiektu do kolekcji?

MS: Najczęściej kupuję nowe egzemplarze nie tylko po to, żeby powiększyć kolekcję, ale i po to,



żeby poznać tajemnicę, którą niesie kamień. Tą tajemnicą dzielę się z członkami klubu Kryształ w Zielonogórskim Uniwersytecie Trzeciego Wieku. Każda nadarzająca się okazja jest dobra do zainteresowania się czymś nowym zarówno pod względem nazwy, pochodzenia, jak i formy. Mogą być okazy w formie skały, szlifowane, bębnowane, szczotki lub geody. W tym miejscu ostrzegam początkujących zbieraczy, że handlarze, świadomie albo nieświadomie, sprzedają kamienie sztuczne, syntetyczne

i poprawiane za pomocą nowoczesnej techniki. Do litoterapii, czyli metody leczenia przy pomocy minerałów, najlepsze są kamienie naturalne, które powstały bez większego udziału człowieka. Jako klejnoty pięknie się prezentują tak kamienie oryginalne, jak i podfarbowane.

EM: Skąd się wzięła ta pasja? Jaki był pierwszy eksponat w kolekcji?

MS: Od zawsze były przeze mnie podziwiane, były przedmiotem mojego zachwytu i pożądania. W 2004 i 2005 roku uczestniczyłam w szkoleniach prowadzonych przez Dunkę Kirsten Helming. Tam poznałam techniki pracy z kamieniami oraz znaczenie poszczególnych odmian w celu wykorzysta-



nia energii. Pierwszym eksponatem w mojej kolekcji był bardzo popularny kryształ górski, bębniak i różowy kwarc w biżuterii.

EM: Jak duży jest zbiór?

MS: Nie prowadzę rejestru tego, co mam. Czasem po spotkaniu terapeutycznym z kimś pożyczam kamień na jakiś czas do pracy danej osobie, czasami przekazuję w prezencie. Liczba oscyluje ponad 130 odmian i rodzajów, przy czym niektóre odmiany mam w kilku egzemplarzach i w kilku formach. W mojej kolekcji są egzemplarze bardzo drogie, są też bardzo małe i wyjątkowe. Na przykład herkimer ma podobną energię jak diament występujący tylko w USA. Mam tanzanit pochodzący z jedynej kopalni na świecie, znajdującej się w Tanzanii. Piękny tanzanit z tej kopalni miała sławna aktorka Elizabeth Taylor.

EM: Skąd czerpie Pani wiedzę na temat poszczególnych kamieni?

MS: Ukończyłam studia przyrodnicze. Brałam udział w szkoleniach prowadzonych przez wysokiej klasy specjalistów. Mam chyba wszystkie książki na temat kamieni szlachetnych i minerałów, jakie ukazały się w języku polskim. Tyle lat zajmuję się kamieniami, że nabrałam doświadczenia. Jak to się mówi: praktyka czyni mistrza. Pewnie robię to dobrze, bo bywa, że układam mandale tym, których to interesuje. Nigdy nie powiedziałam, że wszystko wiem. Ja ciągle się uczę, obserwuję innych i to, co widzę, staram się interpretować, korzystając z doświadczeń i sugestii innych osób. Bywa, że w czasie seansu pojawiają się niesamowite informacje dotyczące przeszłości, czasami innych wcieleń, a czasami odpowiedzi z innych wymiarów.

EM: Jak pozyskuje Pani obiekty do swojego zbioru?

MS: Głównym źródłem jest coroczna giełda minerałów na Lwóweckim Agatowym Lecie w lipcu każdego roku. Do Lwówka Śląskiego przyjeżdżają wystawcy z wielu krajów Europy, a ostatnio

również z Indii, Chin i Afganistanu. Co roku w Lwóweckim ratuszu odbywa się tematyczna wystawa. Na przykład w 2018 roku były pokazane wyjątkowo strzeżone diamenty korony, które zachwycaly oczy tak znawców, jak i zwykłych widzów. Wcześniej była wystawa bursztynu i wyrobów z tej żywicy, bo bursztyn to nie jest typowy minerał, a skamieniała żywica drzew iglastych. Prezentacji towarzyszył pokaz wyrobów ze sztucznego bursztynu, nie do odróżnienia przez przeciętnego widza. Proszę mi wierzyć, że niektóre wyroby ze sztucznego bursztynu wydawały się być piękniejsze od ozdób wykonanych z naturalnego minerału. Przyznaję się, że podczas każdego wyjazdu, nawet poza granice Polski, zaglądam do sklepów z minerałami, bywam na giełdach i wystawach.

EM: Proszę scharakteryzować swój zbiór. Jak go Pani nazywa?

MS: To są moje ukochane kamienie. Udało mi się zebrać przedstawicieli wszystkich gatunków i odmian, co nie znaczy, że już nie powiększam kolekcji. Bez nich ciężko by mi się żyło.

EM: Czy kataloguje Pani swoje zbiory?

MS: Nie miałam do tej pory takiej potrzeby. Jeżeli robi się coś, co się kocha, to łatwo się zapamiętuje. Na niektóre egzemplarze nakleiałam plaster z nazwą dlatego, żeby się nie pomylić. Wiele kamieni jest podobnych, a jeśli różnią się wyglądem, to potrafi to stwierdzić jedynie wysokiej klasy znawca. Te różnice wynikają na przykład z okresu, w którym po-



wstawał minerał, od temperatury, w jakiej się tworzył, wilgoci i ciśnienia skorupy ziemskiej. Przecho- wuję je w skrzynkach z naturalnego drewna, leżących na specjalnie do tego przystosowanym regale. Dzielę je kolorami, bo najszybciej dobiera się je do danej czakry. Czakra to, najprościej mówiąc, takie miejsce w ciele człowieka, gdzie krzyżują się kanały energetyczne i gromadzi się energia. Ciemne kamienie układają się na dolne partie ciała, jasne i fioletowe na górne części.

EM: Które z eksponatów ceni Pani najbardziej?

MS: Te, które dostałam z serca. Należy do nich kwarc o zielonej barwie od buddyjskiego mnicha, który przez 14 lat przebywał w Tajlandii. Ametystowa geoda to urodzinowy prezent od przyjaciół na moje okrągłe urodziny. Jaspisowe serce otrzymałam od osoby zajmującej się esencjami ziołowymi. Bardzo lubię kryształową geodę, którą kupiłam za przysłowiowego jednego dolara od Beduina na egipskiej pustyni. Niesie ona przesłanie od muzułmańskiego świata, aby pozwolić im załatwić konflikty we własnym zakresie i po ich myśli. Nie pomijam polnych, rzecznych i morskich kamieni, które również niosą przesłanie, tyle że o innej energii. Ci znajomi, którzy wiedzą, co

mnie zajmuje, z podróży po kraju i wyjazdów zagranicznych przywożę okazy, które ich zafascynowały. Tą drogą dostałam drobne, prawie białe kamienie z Dunaju, z ciepłego morza i lawę z wulkanu.

EM: Czy miała Pani okazję zaprezentować swój zbiór szerszej widowni?

MS: W 2018 roku przez dwa miesiące mój zbiór oglądali czytelnicy filii Biblioteki Norwida przy ul. Podgórznej. Po zakończeniu wystawy miałam spotkanie i wykład dla osób zainteresowanych. Wtedy wielką radość sprawił mi pewien zielonogórzanin, ofiarowując mi swój zbiorek kamieni. Powiedział, że ja je lepiej wykorzystam. Miałam spotkania w klubach emerytów i rencistów oraz z pionierami Zielonej Góry. Cyklicznie spotykam się z uczestnikami zajęć w Uniwersytecie Trzeciego Wieku w Krośnie Odrzańskim. Jestem zapraszana do przedszkoli i szkół, gdzie staram się przekazywać podstawowe informacje przed-szkolakom i uczniom oraz pokazywać część mojego zbioru.



EM: Tworzenie kolekcji wymaga dużych nakładów finansowych...

MS: Zbieranie kamieni i minerałów jak każde hobby nie jest tanie. Potrzeba potrzymania w ręce niejednego okazu wypiera inne potrzeby. Kolekcja to nie tylko skały, ale także biżuteria, którą używam na co dzień i na odświętne wyjścia. Kupuję tyle, na ile pozwalają moje finanse. Energia minerału nie zależy od ceny ani wielkości. Owszem, jest tam zawarta, ale trzeba ją poczuć i odkryć. Kupuję te minerały, które mnie zachwycają. Które chcą być w moim zbiorze.

EM: Rozrastająca się kolekcja to radość i satysfakcja, ale i problem z jej przechowaniem. Jak go Pani rozwiązuje?

MS: Jak wspomniałam, jedno pomieszczenie w domu jest prawie na to przeznaczone. Na razie sobie z tym radzę. Obym nie miała większych problemów.

EM: Jakie są plany na odległą przyszłość związane z kolekcją? Czy widzi Pani szansę, aby kolekcja żyła dalszym życiem, np. w muzeum czy też w innym tego rodzaju obiekcie?



MS: Nie myślałam o takim rozwiązaniu. Bardziej wołałabym, aby ktoś z młodszego pokolenia w rodzinie zainteresował się tematem. A jeśli tak się nie

stanie, przekażę zbiór osobie, która kocha kamienie tak samo jak ja. Sądzę, że muzeum interesowałyby okazy wyjątkowe, a ja mam to, co mnie interesuje, co sprawia mi radość.

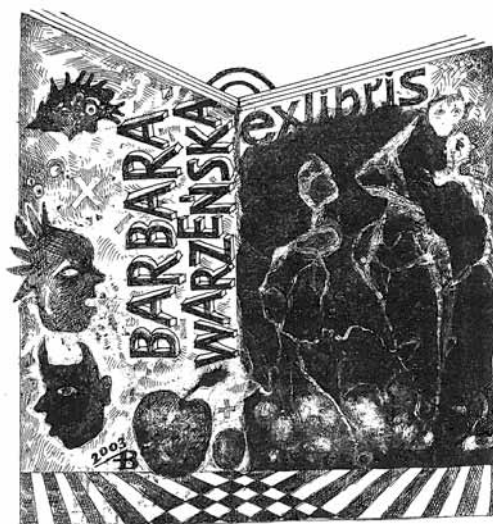
EM: Jakie marzenia posiada kolekcjonerka Maria Siatecka? Czy jest jakiś obiekt, o zdobyciu którego nie przestaje Pani myśleć?

MS: Marzę o takim mineralu, którego nie posiadam i o takim, który Matka Ziemia zamierza wydać.

EM: Dziękuję za rozmowę.

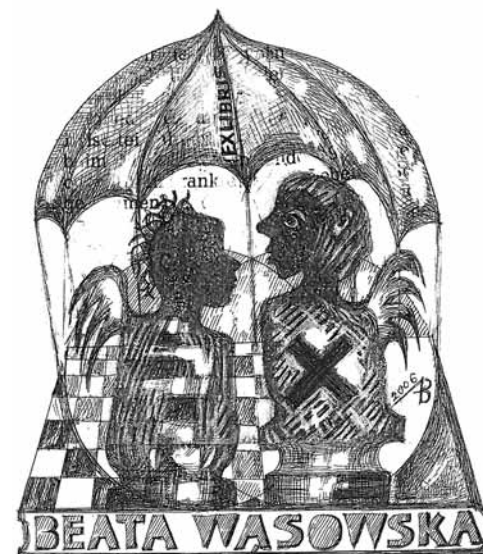


w Pro Libris. Z teki Agaty Buchalik-Drzyzgi



Barbara Warzeńska

Ostatnie obrazy Basi mają w treści egzotyczne muszle. Skarby przywiezione z podróży do ciepłych mórz znają cały świat, zatem chętnie pozują w ciszy do obrazu. Najdrobniejsza muszla może opowiedzieć ciekawą historię. Stoją w pracowni w wielu miejscach, cieszą piękną fakturą i rozjaśniają wnętrze. Są nieodzownym elementem pięknego wystroju. Również mnie zafascynował fakturą i kolorem ten temat. Muszla w swoim bogactwie może wyrazić wszystko, co podpowiada wyobraźnia...



Beata Wąsowska

Malarstwo Beaty jest metaforyczne, ekspresyjne, dominujące kolorem. Kobieta jest głównym tematem. Długo mogłabym analizować obrazy. Na pewno w każdym jest tajemnica. Z Beatą nie można się nudzić. Potrafimy rozmawiać na wiele tematów i ten najważniejszy, jakim jest sztuka. Pomimo dzielących nas kilometrów jest mi bliska. Ekslibris jest czarno-biały, skromny. Patrząc na niego, widzę czerwienie, błękity oraz nasyczone fiolety, pięknie położone obok żółci. Takie są obrazy Beaty. Jej świat wewnętrzny jest bogaty i szalony, nie idzie w parze ze spokojem i zamysłem.



Jan Tarasin

Malarz, grafik, profesor Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. BWA w Zielonej Górze stosowało praktykę zapraszania młodych artystów do aranżowania wystawy przyjezdnym artystom. Mnie trafił się ciekawy malarz, grafik, prof. Jan Tarasin. Z wielkim przejęciem aranżowałam wnętrze Salonu Wystawowego. Obrazy ekspresyjne, pełne zagadek i tajemnic, świat inny od mojego, niemniej z nerwowym niepokojem oczekiwałam na autora. Miłe spotkanie, ciekawy wernisaż i ekslibris, który w tym czasie powstał. Artysta potwierdził, że to jego pierwszy. Ofiarował mi obraz, który wisi u mnie ponad 25 lat i cieszy moje oczy. Jest również źródłem pytań moich wnuków, Piotra i Wojtka.

Prezentacje

Paulina Pochanke

Urodziła się w 1993 roku w Zielonej Górze, absolwentka kierunku publikowanie cyfrowe i sieciowe na Uniwersytecie Wrocławskim. Samouk, który tak naprawdę „profesjonalną” naukę artystyczną zaczął dopiero w 2018 roku od kursu „Concept Art”, kontynuując ją rok później na kierunku grafika w szkole Sowa-Edu w Poznaniu.

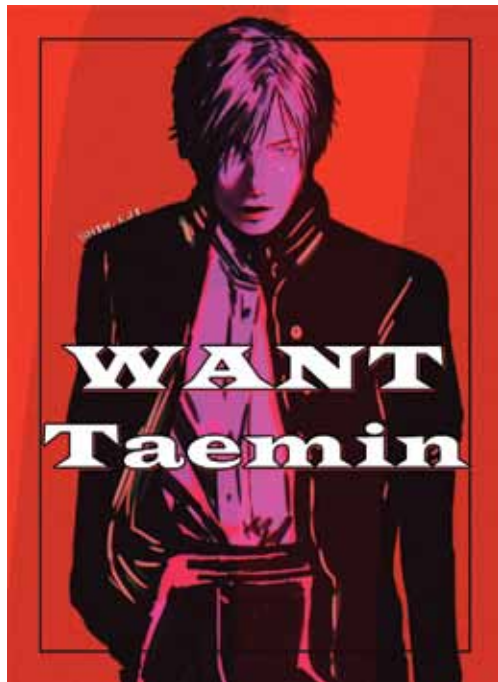
O swojej twórczości pisze:

Rysowanie towarzyszy mi od najmłodszych lat – zaczęło się od tworzenia zwierząt, a wraz ze starszym bratem, kiedy miałam parę lat, rysowałam własne komiksy. Choć tematyka moich grafik jest teraz zupełnie inna, dalej czerpię podobną radość z ich wykonywania. Mimo iż nie mam dużego doświadczenia na rynku artystycznym, a nawet parę razy zrezygnowałam ze swojego hobby, wciąż do tego wracam, cały czas się uczę i nie poddaję się, testując różne style i sposoby rysowania. Przeważnie tworzę w programach graficznych na komputerze, przy pomocy tabletu.

Grafika zbliżyła mnie do wielu podobnych sobie ludzi z różnych kontynentów i krajów, m.in. z Niemiec, Indonezji, Meksyku, Francji – niektórych z nich nawet odwiedziłam i wymieniałam się z nimi listami. Myślę, że właśnie to – przyjaźnie i dzielenie się własną sztuką z innymi artystami – jest dla mnie najważniejsze.







Urszula M. Benka

Święta Agata i św. Naga Lalka z sex-shopu

Preludium

Zapadała moja noc. Wyszłam z rezydencji studenckiej Concordia przy sennej rue Tournefort, skręciłam w wąziutką Pot de Fer i tędy, przeciskając się między stolikami kawiarenek a rynsztokiem (pierwszy raz zobaczyłam wtedy rynsztok), skręciłam w gwarną Mouffetard. Szłam coraz wolniej krzywym brukiem, byłam w szpilkach. Ulica pnie się na wzgórze św. Genowefy. Od dwóch tysięcy lat tak się pnie: słynny Lewy Brzeg, zbudowany przez Rzymian wzdłuż Sekwany hen aż do Italii. To aż do jednej z kamieniczek tutaj dotarł rozpijaczony irlandzki głodomór, filozof z wykształcenia, w pracy nad *Ulissem*, co jest podsumowane jako: *bestia została ubita*. Kiedy nowoczesność burzyła zgrzybiały Paryż *belle époque*, oparło się właśnie owo zbyt twarde dla kilofów oraz dynamitu wzgórze dziewiczej patronki i Paryża, i egzorcyzmów. Wzgórze ponoć boskie, natomiast odczarowane z pogaństwa świętą Genowefą: całą nią, jej obecnością, orędownictwem, łaską, jej drogocennym sarkofagiem w płomiennym gotyku, okopanym później grobowcami Racine'a i Pascala. Logicznie biorąc (we Francji ceni się logikę), trup kobiety, wzniesiony do rangi relikwii, egzorcyzmował boga? Czyżby ustał nakaz podległości kobiety bogu? Czy może, podniesiona do rangi trupa, oczyściła się z kobiecości? Bestia została ubita? Lecz kto był bestią? Odpędziłam te grzeszne chyba myśli. Zastąpiłam je stosowniejszą: Genowefa osłoniła boga góry, osłoniła całą Dzielnicę Łacińską błoną swojego dziewictwa. Radośnie już zeszałam po schodkach. Księgarnia w suterenie była wciąż otwarta. Przekartkowałam szybko albumy fotografii Ingrid Bergman z *Casablanki* i Sylwii Beach od 1919 do 1941, i sięgnęłam po dwa inne: Hansa Bellmera oraz przedstawień Genowefy w malarstwie i rzeźbie, pod tytułem *Niewiasty przeciwko demonom*. Bestia została ubita... Wtedy poczułam dotyk na ramieniu. Mężczyzna nie był młody, miał smagłą twarz, zielone oczy (pomyślałam, że szmaragdowe). Na otwartej stronie przede mną Lalka rozkładała

Concordia

nogi umocowane do tysego tułowia, zaopatrzone natomiast w białe skarpetki i czarne lakierowane sandały grzecznej dziewczynki: odruchowo zakryłam jej łono. I odsunęłam nieco dalej owe *Niewiasty przeciwko demonom*, na jakie padł jego cień. Poszliśmy z mężczyzną na wino do jednej z knajpek przy Mouffetard. Ciekawiło go tylko moje ciało. Poetka? Stypendystka? Hm, to może teraz i Cointreau? Tak? Aaa, to jeszcze *mleko Prowansji*? – ciemno bursztynowe pastis zmieszane z wodą z karafki stawalo się mleczno-żółte. Chichocząc, uświadamiałam sobie nader powoli, że pluskają mi w głowie pojęcia-klucze wschodnio-europejskie: bycie poetą, bycie poetessą, zagraniczną stypendystką, a przede wszystkim mieszanie spraw w tajemnicze zawiesinki; w ten ciepły czas zbliżającej się wrześniei północy jestem tylko moim udem, po którym on przemyka wzrokiem, ramieniem, które muska, oczami, które, jak on się wyraził, są „*très beaux*”. Dotarła do mnie kompletna kuriozalność tematu stypendium (nawet możliwego doktoratu): podświadomość surrealistów! Opisuję tę scenę jako błysk (błysk każdym jej szczegółem), że dusza to tylko to, jak ciało uzmysławia się samemu sobie. Wtedy jeszcze nie zdawałam sobie sprawy, że Lalka, którą oglądałam, to nie fantazmat, ale osobliwe lustro, jakie pokazuje falowania oraz dotyki świadomości i podświadomości, ich przemieszczenia w granicach ciała, jak Bellmer pisze w *Małej anatomii obrazu*, ściągające usta do odbytu, mózg do zębów, oko na podeszwę stopy, pod presją mocy symboli pożądania lub... poczucia niesłuszności życia. Lalka tedy odzwierciedla anatomie niepokoju, sam Bellmer tak się kiedyś wyraził, och, nawet każde jego zdanie pręży się i drga. I dlatego ją zastąpiłam przed czymś esencjonalnie obcym, jakbym zastąpiła esencjonalnie obcą samą siebie.

Crescendo, inna święta

Cykl czarno-białych fotografii Agaty Szuby o nazwie *Przypadki świętej Agaty* jest autoportretem. Nie dlatego, aby ich autorka własnym wizerunkiem ciążyła na zdjęciach. Zdjęcia pokazują prześwietlone ciszą wnętrza pokoju. Pokój skromnie umeblowany, prostokątny, mieści właściwie tylko spore miejsce do spania oraz okno; kilka kobiecych postaci (rozproszonych po kolejnych fotografiach) stoi lub przysiadło w sztywnym skupieniu modlitwy. Nie ma eksponowania scen z hagiografii. A zatem autoportret wewnętrzny, wieloraki, deklinowany przez „przypadki”. Wniknę weń, w jego wieločas, bo *imago* Agaty Szuby obnaża zakamarki przestrzeni i otworzonej przez imię. Na pierwszy rzut oka, oczywiście nie pasuje to *imago* do ciszy – wywołana święta jest patronką wulkanów, a w szczególności Etny – tym bardziej zaczę od tego, co na fotografiach niewidzialne. W Katanii, skąd św. Agata pochodziła, w jej swoistym epicentrum, przez trzy dni trwa wariacki festiwal, namiętniej przeżywany od sylwestra i karnawału. Lampiony. Fajerwerki. Tłumne procesje. Białe szaty o kroju dawnych nocnych koszul z krochmalonego płótna, umajone świece (tak wielkie i ciężkie jak osoba zanosząca modły), osobno kandelory – gromnice od 400 kg do tony w misternych drewnianych „sukienkach”, które, niesione każda przez zastęp mocarnych parafian, nie idą, ale „tańczą”. Uroczystość kulminuje otwarciem żelaznej kraty do kapliczki z relikwiami. Trzeba użyć trzech kluczy; każdego z nich strzeże inna osoba – nad jednym czuwa kustosz skarbcza, nad drugim mistrz ceremonii, a nad trzecim proboszcz katedry jej wezwania (katedrę wzniósł po 1070 wiking rozkochany w grece; przetrwały do dziś zatopione w baroku normańskie łuki okienne i transept, przy czym w tutejszej wersji legendy o Graalu Etna w swoich wnętrznościach kryje ziejących ogniem lub też śpiących aż do sądnego dnia rycerzy Króla Artura).

Od ostatniego przekręcenia trzeciego klucza oczekującemu tłumowi ukazuje się pogodnie uśmiechnięte, świecące złotem i wielobarwnymi klejnotami popiersie Sant'Agata, wykonane przez XIII-wiecznych złotników, ozdobione renesansowym srebrem i pokryte czerwonym aksamitem, czyli barwą męczeństwa oraz majestatu – ta zasłona jest swoistym konopeum, rozwieszonym na tabernakulach, czym ustanawia podobieństwo San'Agaty do hostii w kielichu. I do oblubienicy. Zarówno hostia, jak i oblubienica mogą rzec *Ego sum ostium* [J 10, 9] – bramą w rewiry ekstazy, w inny wymiar. Przystaśmy. Nim procesja ruszy w uli-

ce, grzmi msza prowadzona przez arcybiskupa na jej powitanie. Tutaj, u podnóża najstarszego wulkanu na Ziemi, od zawsze czczono jakąś poskromicielkę Pieca, bo taki jest źródłosłów toponimu „Etna”. Piece były oczywiście bogami; budując je, kowale i ceramicy składali im w ofierze zwierzęta, ptaki, czasem ludzi. Dla poetów polskiego baroku tutaj wylęgła się Afrodyta, z jaja-krateru. Moce Agaty są potężniejsze od wszelkich mocy Pieca bogini. Jak Agata stawia Afrodycie stopę na karku, tak *duomo* stanęła na ruinach jakiejś świątyni starożytnej.

Dla pogan w stanie oszołomienia, dziś dostępnego tylko na gruncie tłumnie przeżywanego sztuki, zmieniającego ją w igrzysko, wszystkie boginie są Boginią, a ta archetypem każdej z kobiet. Lecząc zgarnięcie w pęk, w jednię, dotyczy również świętych niewiast kościelnego kalendarza, których modlitewną animacją rządzą prawa wyobraźni, czyli psychiki, jej tęsknot i lęków: tak jak Genowefa ośłania się dziewictwem, tak pod welonem umarłej już wtedy Agaty krater uciął, lawa przed Katanią stężała, a bestia „została ubita”. Obie święte dominują nad górami, obie operują dynamiką ukrycia¹ oraz obnażenia. Agatę dawni malarze z lubością ukazywali rozpiętą jak na krzyżu: z obu stron kaci długimi obcęgami rwą jej piersi; w swoich hieratycznych pozach kaci wyglądają na swego rodzaju adorantów, wsłuchanych w *Ja jestem bramą*. Obrazy zdobiły kaplice klasztorne, gdzie mnisi mogli się wpatrywać w nie, sami zresztą nanosili je do iluminacji ksiąg. To wyobrażenie torturowania kobiecej nagości odgrywa coś więcej niż jedynie rolę zwykłego przetworzenia na obraz myślowy – „w znaczeniu etymologicznym [odgrywa] rolę twórczą, poetycką”, rozwijała Evelyn Patlagean w *Histoire de l'imaginaire*, co powtarza za nią Jacques LeGoff, autor *Historii ciała w średniowieczu*. Akt zaś poetyckiej komunii twórcy z odbiorcą zawsze porusza fizjologię. Akt odbywa się na łące fantazyjności. Mnisi więc malowali cieniutkim pędzelkiem te piersi podobne do pąków kwiatu albo do gałek ocznych. Zresztą, dawniej sami własnoręcznie miesili ciasto, lepili i piekli półkuliste słodziuchne ciasteczka-cycuszki², polewali białym lukrem w dotyku jak plastelina, koronowali i uciskali kandyzowaną wiśnię albo różaną konfiturą utoczoną w kulkę. Rozmaitej wielkości, do smaku. Każdy zbliża takome usta do tych piersi.

Cykl fotograficzny Szuby zdaje się pod maską nowoczesnego pokoju pokazywać więzienną celę, gdzie piersi świętej cudownie odrosły, a drzwi lochu się otworzyły. Stąd świetlista poświata na *Przypadkach*. Agata Szuba sama mówi: „wstępując w rolę medium pomiędzy światem rzeczywistym i Boskim próbuję ujawnić to co nieoczywiste, podskórne i marginalne, zadając sobie tym samym pytanie, czy miejscem kultu najwyższego jest tylko świątynia? Czy aura świętości buduje się tylko w miejscach nieskalanych?”. Fotografie zatem pomijają brutalność festa, pomijają festiwalowe konwulsje, przenoszą do ciasnego współczesnego mieszkania, a takowe na naszym planie religijnym stanowi miejsce skalane; w dniu świętym należy je opuścić, udać się do miejsca już Prawdziwego. Tam Kobieta swoją obecność powinna rozpocząć spowiedzią: konfesor czeka tuż przy wejściu. Z drugiej strony, w chwilach najbardziej podniosłych, w święta najbardziej spazmatyczne przestrzeń kościoła jest opuszczana, procesjonalnie, ostentacyjnie, z chóralnym śpiewem.

Samo życie

Na innym cyklu Szuba łączy własną wykrzywioną bólem twarz z „resztą” kobiety albo swojego ja, zbudowaną z nadmuchiwanego elementu lalek z sex-shopu. Ostatnie ze zdjęć tego cyklu to już tylko po spuszczeniu powietrza wiotkie długie worki. Są również jej autoportretem. Te odłączenia ja od ja. Te wypróznione kieszki psychiki. Ludzie, przynajmniej w pewnych chwilach, tak czują stan nie do życia, stan, wręcz los zużytych kondomów. Lalki nadmuchiwane, poukładane w dziwacznych pozycjach, mogą się

1 Św. Genowefa ufundowała chronologicznie najstarszą z katedr, ich „wzór”, w opactwie Saint Denis.

2 Przy innej okazji rozwijam szerzej wypowiedź Magdaleny Abakanowicz o znaczeniu braku wszelkiego pośrednika między dłonią rzeźbiarza a plastycznym tworzywem. Brak tedy młotka, dłuta czy ryłka i zdanie się na dotyk jest zniesieniem granicy ciał, swoistym *coitus sacralis* twórcy z jego – teraz już spersonifikowanym – tworzywem.

zaiste kojarzyć z Bellmera Lalką, o jakiej Therese Lichtenstein pisała właśnie w kategorii drzwi zamkniętych (*Behind Closed Doors*) – drzwi, gdzie po obydwu stronach panuje śmierć. U Szuby worki są jednostajnie cieliste albo czarne. Żadnej próby odkrycia w nich różu albo pąsu. O ile biel oddaje coś, co w nicości jest potencją stwarzania z niczego, to czerń oddaje to, co jest w niej skreśleniem. Jeśli więc pada słowo „sex-shop”, nie spodziewajmy się erotyki, nawet z podtekstem igrania z tym, co niedozwolone; z zabawy Lalką zostaje tylko smutek zabawy. Tylko upokorzenie, złość. Przemieszczenie – zawsze konkretne – organów Lalki u Bellmera ma „widomy” związek z przemieszczaniem się struktur mentalnych w stanie, przykładowo, halucynacji bądź hysterii, których władzę nad psychiką cechują tyrania oraz sadyzm. Tego rodzaju autoportrety wykwitają zwykle w czasie narastania polityki zamordyzmu wobec ludzi i Ziemi, albo w okresach przerażającego odkrywania, jak głęboko zostały nim napiętnowane pokolenia rosnące już „po śmierci”, czyli kiedy protesty zamilkły, zło puchnie, a obecność skażeń odbierana jest jako normalność.

Lalka Szuby ma piersi z serduszkami w miejscu sutek. Są jak owe ciasteczka – *minni di Virgini*. Ale ręce zaciśnięte na brzuchu – ręce jak u dzieci talinoidu. Niewyrośnięte palce, dłonie tuż przy łokciu. Twarz Lalki Bellmera jest spokojna. U Szuby szczyrzy zęby w grymasie nienawiści. Dlaczego? Oto puenta wiersza Roberta Rudiaka *Anatomia lalki* – Hans Bellmer.

To jest właśnie choroba miłości [...]
Na tym polega [...]
Na niekończącym się nigdy
Otwieraniu i dzieleniu siebie
Na zaglądaniu do wnętrza
Do głębi do pustki do dna

Szuba też zarzeka się immoralnych predylekcji. I też przyszło jej żyć na styku epok (choć już innych), świadomie czy nie, rezonować życie na styku. Na styku jednak rozdrapanym, bo epoka Bellmera czy Witkina, czy Sylwii Beach, niewiasty, jaka ubiła bestię pisarskiej anonimowości Jamesa Joyce’a, i w 1941 z wejściem hitlerowców do Paryża zamknęła swoje wydawnictwo-miłość i sypnęła kartkami *entartete Literatur*, literaturą mroku i zakazaną Joyce’a cielesnością, w twarz świata – dzisiaj ciągle jest przywoływana – lub jej widmo bądź upiór – i myłona z beztróską, czołobitną wobec niej ponowoczesnością. Tak więc granica nie do ustalenia. Tabu nie powstrzymuje, a przeciwnie, stało się wszechobecne w swojej potoczności, produkowanej wręcz taśmowo, kalkulowanej z użyciem socjometrii. Jeśli chodzi o *Przypadki św. Agaty*, nadmieniam Andrzej Saj: „Na obrazach pojawiają się gesty wydrapanej mandorli. Początkowo mogą być odbierane jako akt wandalizmu, jednak nie mają one charakteru buntowniczego, są raczej punktem wyjścia do zbudowania przestrzeni o charakterze wielopłaszczyznowym”. Mandorla odgraniczała ukazywane sacrum na obrazach: rozdrapywanie jej wygląda na impuls rozpaczliwy, zwierzęcy. Właściwie można by powiedzieć, że tym rozdrapywaniem uciekamy od społecznych makrotechnologii, i że rozpoznajemy, już dotarłszy do końca ciemnego tunelu, coś na podobieństwo klatki: pręty ciągłej twardej śmierci i pasy płynności śmierci albo też jej ulotności, przenikalności, albo jej podziurawienia. Co chyba przeczuwaliśmy od wieków. Przecież mandorlę kościoła jest mur, wbrew któremu tymczasem witraże okienne sugerują, że na zewnątrz świętość jest bardziej intensywna, procesja przekracza tedy mur, aczkolwiek brnie z uporczywą precyzją w sferę skażenia, w wypadku św. Agaty w katańską Via Aetna – z brudnych szaro-czarnych bocznych uliczek dopływa wciąż tłum czcicieli i ciekawskich, i sunie ku dzielnicy portowej, dzielnicy lupanarów i spelunek, istnym profanum, a zarazem szansą ucieczki w siną dal, poza horyzont. Czcciele obwiązują się sznurem, przynajmniej ci w białych szatach. Ich przodkowie w starożytności obwiązali tak świątynie, owe pułapki na zawsze tajemnicze sacrum, bo było rzeczą straszną wypuścić boga samopas, w nieznane, poza widno-

krąg. Dotyczy to i popiersia Sant’Agata: na placu przed jej katedrą stoi rzeźba czarnego słonia z wulkanicznej skały, dodatkowo uzupełniona obeliskiem, upamiętniająca, jak na słoniu przybył tu pewien mag; jedna z wersji tej legendy mówi, że słoń wyrwał się z klatki gdzieś na antypodach świadomości, dotarł „tu”, stał się fontanną i uklęknął przed wizerunkiem.

Katolicy katańscy nie gorszą się obłądną obfitością nagromadzonych piersi swej patronki, swoistego logo miasta. Umiarkowanie praktykujący uważają, że czy Boże Narodzenie, Wielkanoc czy nawet Boże Ciało albo Wniebowzięcie, kościół nie zając. Wszystko się zmienia, kiedy to wielkimi krokami zbliża się Agata. Utkwiło w nich, że właśnie w tym miejscu oślepnął syn autora *Teogonii*, Hezjoda, gdy zaczął ubolewać, jakimż to prawem Wielka Dziwka Helena Trojańska, *porca troia*, została boską lunarną patronką Sparty i opiekunką panien młodych. Wydawane bez zważania na ich zgodę? Tym bogini szeptała na ucho o Parysie. Może też i dziewczekom wbrew sercu przez pobożnych ojców zaślubianym Panu jako mniszki? Cóż, księżyc jest księżycem, raz w pełni, a raz w nowiu swojej cnoty. Co się tyczy świętej Agaty, hagiografowie mówią, że jedną z zadanych jej tortur było zamknięcie w jaskini rozpusty. Za życia św. Agaty, w odmęcie pogaństwa II/III wieku naszej ery, greka tu była codziennością, każdy też czuł wydźwięk wyrazu *spelaion* – a mianowicie, że jaskinie skrywają boskość, że są miejscem boskich narodzin, a uświęca je Obecność, dla żydów Szekina Oblubienica Pańska. Gdyby rozwijać ten trop, to *spelaion* w głębi Etny, pamiętajmy, zapowiada wyobrażenie czyścica jako tygla, ale i macicy; gdyby San’Agata zstąpiła do krateru, gdyby w rezultacie wyobrazić sobie rytualne zrzucanie laki z jej podobizną do którejś ze szczelin czarodziejskiej góry, to na widok ducha (a nawet i szkieletu) Artura bądź Lancelota, bądź Parsifala mogłaby przemówić słowami Wiktora Hugo:

To ty [...] Za Boga rozkazem
Dwa nasze majestaty stykają się razem.
Wlej mi coś z twego ducha w głębi twego grobu...³

– co ma ten sam posmak, jaki tchnie ze słynnej antycznej, a potem średniowiecznej fantazji, zapewne znanej samej św. Agacie, o Jednorozcu, którego róg staje się rogiem zbawienia umieszczonym w łonie Dziewicy. Tak wyraziście, jakby pod ołówkiem Bellmera, zdejmującym powierzchowne ciało. Wielka sztuka nie da się upchnąć w zonie świadomych wyobrażeń epok i intencji. Tak więc lupanar od chwili, gdy św. Agata w nim stanęła, w jasności promienistej brodził. Sama *lupa* – wilczyca, a potocznie dziwka, to mamka Rzymu. Co ani o jotę nie zmienia tego, iż kobieta zmuszana do bezwstydu, ubierana jak lalka Bellmera albo Szuby, w otwarte stringi, otwarte seksowne staniczki, składana tak, że piersi dadzą się podmienić na pośladki, a głowa na brzusek, pojmuje w lot skalę draństwa, nieuniknioną traumę. Rozdrapanie mandorli to transgresja, wykroczenie poza kordon. Na jednym ze zdjęć Witkina z cyklu *Sanitarium* kobieta w czarnej bieliźnie (z sex-shopu) też jest ujęta w rozdrapaną mandorlę. Siedzi w pozie królowej nocy. Św. Agata króluje nad nocą wnętrza z uśpionymi w nim widmami władzy, a co więcej, widmami święta, jakim jest wojna.

Wyjaśnię od razu: mniej uwagi poświęcę perfekcyjnemu, co prawie wszyscy przyznają, wykonaniu prac Agaty Szuby. Jej wielopłaszczyznowa przestrzeń jest przede wszystkim psychiczna. Ona sama, komentując swój *Koncert życzeń* z nadmuchiwaną lalką, mówi impulsywnie: w środowiskach podwyższonego standardu kobieta jest przedmiotem. W markowym kostiumie, pachnąca modnymi perfumami, z *french manicure*, skamle o uwagę i miłość jak żebraczka. Miewa przygody na niskim ciśnieniu: nic z nich właściwie nie wynika. Miewa przemocowych partnerów (co po długim czasie dopiero ujawnia, dołączając do internetowych zwierzeń *me too*) lub żyje sama odstawiona na wysoką półkę. Czasem z Lalką. To przydarza się na-

3 W. Hugo, *Hernani*, akt 4, scena 3, tłum. H. Roźnowski. Słowa te wypowiada przyszły Karol V w Akwizgranie. Pozwoliłam sobie na trawestację ze względu na wiele podobieństw mitu Karola Wielkiego z Arturem; w mitologii ludowej obaj pokutują albo śpią.

wet ludziom genialnym, jak Oskar Kokoschka, który ponoć zainspirował Hansa Bellmera. „Oscar postanowił, że skoro Alma już nie jest jego, to sobie ją zrobi i będzie ją miał. Zrobi sobie na zamówienie lalkę naturalnej wielkości, bardzo antropomorficzną, na wzór i podobieństwo boskiej Almy, z wszystkimi anatomicznymi szczegółami jej ciała i miękkością materiału oddającego wiernie ciepło i miękkość jej ciała. Namalował szkice, osobiście zaprojektował i po pół roku lalka przyjechała. Jakież było jego zdziwienie, gdy zobaczył potworka z długimi włosami, owłosionego jak niedźwiedź polarny, w wytupiających oczach, koszmarnego tak, że jego kamerdyner dostał na ten widok wylewu. W żaden sposób nie spełniała jego erotycznych pragnień, ale co robić. Zakupił paryską bieliznę i szykowne ubrania, ubrał elegancko i żył sobie razem ze swoją »Almą«. Zabierał ją na przejażdżki i do opery, a zapewne i do sypialni. W końcu przestał »bawić się lalkami« – podczas pijackiej libacji w swoim domu, rozwalił lalce głowę butelką czerwonego wina. Wyzwolił się” – pisze anonimowa Anna na portalu *Pikantna sztuka*. Tu należy się wyjaśnienie: sex-shopy reklamują lalki „do kochania”, oferując zakup na raty, po 7,45 gr także w męskiej wersji – dla pań (taka lalka ma na imię Dawid). Pozwólmy sobie zauważyć, że Pra-Lalka wywiązuje się z kilku ról: kochanki, muzy, kozła ofiarnego, świętej figury, a zarazem koszmarnego widziadła, jakie powala z nóg, ba, nawet zabija samym swoim widokiem – lecz posadzona w loży opery pełni rolę błazeńską; błazen to odbicie monarchy w krzywym lustrze, tylko jemu wolno wystawiać króla na śmieszność). Są to łączne aspekty przeżycia sakralnego. Lalka z sex-shopu łączy w niepojętą pełnię idiotyczność z ekstazą. Zdemaskowana, obnaża prawdę o użytkowniku, prawdę tragiczniejszą, niż wyraziłaby ją spowiedź. Nic dziwnego, że na gruncie popkultury (kultury rzeczywistej, najintensywniej mistycznej), pomnożona rozlicznymi sobowtórami, bywa trwożliwie skrywaną tajemnicą, bywa rozkoszą i ośmieszeniem, brzytwą chwytaną przez tonącego, skarbem, a wreszcie śmieciem. Właśnie w tę stronę Agata Szuba gotowa to rozwijać: kobieta podwyższonego standardu skomle aż do granic hysterii, tyle że poprzez każdy prestiżowy gadżet, auto, motocykl, rolex, nikon D7 500, czarno-złote okulary przeciwsłoneczne Diora, balejaż, smartwatch, ThinkPad, jedwabne niewymowne, nawet nazwę firmy, która zechciała ją zatrudnić. „*Medium is message*” – każdą zgłoszkę certyfikatu wartościowości kobieta opłacała zgodą na swoje wykluczenie z prawa do siebie. Firma, w której pracuje, oprócz pracy 24 godziny na dobę zapewnia wszystko: jeździsz na nartach? – są firmowe zawody narciarskie w weekend, grasz w golfa? – są wypadki na golfa w weekend, łowisz ryby – są i ryby. Prócz tego kolacje służbowe do dwóch razy w tygodniu, wypadki za granicę w nagrodę za dobre wyniki. Ale tylko dla pracowników, żadnych osób towarzyszących. „*Woman now is Nigro of the World*” (kobieta jest czarnuchem Świata), czytam na transparencie wykształconych pań o silnych charakterach z ambicją przebicia ściany obojętności na duszę. Duszę rozumianą szczególnie – jako wola, jako decyzyjność. Panie ubrały się na czarno, podnoszą parasolki ze szpikulcem. Czerń oznajmia gniew.

Dotykam punktu, w jakim Szubę podcina się pod feminizm i gynokrację. To jest jednak w jej wypadku bardziej złożone: fotografka rozumie, że bynajmniej nie płęć biologiczna, ale paradygmat powoduje wzwyżdzone, twarde natręctwo kultury: ich faktycznego *macho*. Kobiety wykształcone wciąż wierzą w elementarną racjonalność, tyle że cały ich materiał dowodowy zdaje się pomijać coś, co, dodam od siebie, w zasadzie było jasne już w latach 60. XX wieku, mianowicie: że nauka, ostoja rozumu, stała się instytucją o własnej strategii, toteż toleruje (ochronny być może) kokon przeświadczeń nieaktualnych, odgiętych od rzeczywistości, acz intratnych, też stanowiących instytucję w ramach nauki uczelnianej. Inaczej mówiąc, dyplom nie daje wiedzy pozwalającej zmienić sytuację. Daje wiedzę wyłącznie o aktualnych kodach, wiedzę, jaka tym ciśniej uzależnia.

Osoba wysokiego standardu jest w gruncie rzeczy egzemplarzem pewnej grupy ludzi-odpadów zaprogramowanych biopolitycznie – skalkulowanych tak, że – jak to ujął Zygmunt Bauman w *Życiu na przemiatach* – będąc „ubocznym skutkiem postępu gospodarczego, nosi wszystkie cechy bezosobowego i czysto technicznego procesu. Głównymi aktorami dramatu są: »relacja cen importowanych do eksportowych«, »popyt«, »presja konkurencyjna«, wymogi »produktywności« i »efektywności«, maskujące lub wręcz wykluczające jakikolwiek związek z intencjami, wolą, decyzjami i działaniami realnych osób posiadających nazwiska

i adresy”. O wykluczeniu mówi się, zwykle mając na uwadze nędzarzy, niemniej tu wskazuję na wykluczenie poprzez szczelną izolację, ludzi ustawionych, których dzieciństwo i pierwsza młodość poddane są rygorom osiągnięcia zawodowo-finansowego sukcesu, otoczonych podobnymi do siebie, *poor rich girls & boys*. Dzisiejszych pariasów ze szczytu przeorały standardy biorecyklingu. Nie krzyczą o chleb, bo, owszem, mają bułeczki, i to z płatkami sashimi opryskanymi sosem ponzu. Krzyczą o wytchnienie, o zwykłą miłość, jakiej nie musi się natychmiast wklejać w FB i licytować: te emocje podnoszą ich wydajność i ściślej wiążą z pracodawcą. Paryżanie w 1789 chcieli eliminować pasożytniczą arystokrację i defetystów, a za Komuny Paryskiej krwiopiczów i zdrajców. Świetnie płatna praca mnóstwa młodych ludzi polega na wytypowaniu, jak i e grupy dziś eliminujemy: zbędne zawody, przestarzałe obyczaje (za poklepanie w pracy po opiętej minispódnicy można trafić przed sąd), ludność w rejonach strukturalnego bezrobocia lub strukturalnego uchodźstwa lub ratownictwa morskiego, środowiska szkodnictwa politycznego (tym są poniekąd ekspertyzy dla wojska i urzędów bezpieczeństwa). Selekcje dotyczą wszystkiego: terenów do rekultywacji, wątków tradycji do ocalania, zwierząt i roślin pod ochronę, kryteriów normalności, sposobów leczenia oraz zachowań intymnych. Grupa typujących do selekcji i recyklingu sama jest też (a w jej ramach pozytywne bądź negatywne relacje międzyosobowe) prześwietlana pod tym kątem – testuje się jej dyspozycyjność. W epoce św. Agaty zamontowano analogiczną wysoką półkę. Wybrańcy opuszczali swoje społeczności, żyli wyrzeczeniami. Bezgranicznie ulegli duchownym suwerenom – przeor, *prior* to brygadzysta duchowego komando, zleceniodawca oraz nadzorca – przyjmowali tortury. I, wyjęci spod prawa przysługującego zwłokom, musieli pozwolić, aby ich ekshumowano, obwąchiwano dla potwierdzenia *odori sanctitatis*; aby ich organy pobrano, powleczone pozzłótką i zamknięto na trzy spusty lub zamieniono w towar na rynku relikwii. Aby ich biografie były nicowane, a konterfekty bałwochwalone lub obalane jako szaleństwo lub błazeństwo. W wyobraźni czcicieli to oni dopomogą w eliminacji zbędnych pogan, grzeszników, heretyków, lat czyścica, a wreszcie demonów. Gdyby znano naonczas klonowanie, eliminowałiby kobiety.

U Agaty Szuby wystrzępiona chmura takiej słusznej, groźnej czerni uwidacznia się na fotoobiekcie *Obsesja*. Segment pierwszy: chmura wydobywa się z ust nagiej, atrakcyjnej kobiety; kobieta siedzi, skrzyżowawszy łydki, jak zawieszona w pustce. Czy to ta sama pustka, jaka melodyjnie gra na *Przypadkach św. Agaty*? Segment poniżej: mroczna chmura spływa spomiędzy jej rozłożonych kolan. Po prawej stronie chmura wyraźnie odłącza się od ciała modelki, zawisa (zdjęcie górne po prawej) u podniesionej dłoni (przedramię jest do ramienia prostopadłe, co oznajmia brak wysiłku z udźwignięciem owego mroku), a to w szczególnym zresztą kontekście symboliki, ponieważ kobieta tutaj pokazana jest w perspektywie tak, jak gdyby stała aż po uda zanurzona w morzu, w żywiole ewidentnie żeńskim. Segment czwarty (prawe zdjęcie dolne) chmura zawisa u lekko uniesionych stóp leżącej leniwie jak na plaży, albo też odtacza się tuż nad ziemią – jak odkopnięta; na tym ostatnim obrazie modelka jest wreszcie odwrócona tyłem do chmury. *Obsesja* daje się odczytać jako wyzwolenie, jako uwolnienie ciemności.

Co znamienne, ten tetraptyk pokazuje ciało modelki zawsze, choćby tylko punktowo, styczne z chmurą ciemności.

Wszakże, co jest „ciemnością”? Segmenty *Obsesji* nie mają podtytułów. Nie są ponumerowane. Zapewne wolno zmieniać szyk, odkrywać *katharsis* obu połówki ciała, dolnej i górnej; ich sensory są odmienne. Albo tak nas nauczono. Przeciwwstawiać mózg i serce żołądkowi oraz genitaliom. Nauczono nas myśleć antynomiami „góra – dół”, „jasność – ciemność”, „prawe – lewe”, i traktować je alternatywnie. Ciało jest oczywiście przeciwne duszy. Porównana do żebraczki samowystarczalna kobieta z lepszych sfer uznaje w konsekwencji męskie zainteresowanie swoim ciałem za degradację, jako policzek wymierzony w psychikę i umysł; pamiętamy, że manifestuje ona swoje umysłowo-duchowe atuty, pozwalające zasiąść na wysokiej półce, za pomocą ozdabiania ciała, za pomocą wyzbywania go felerów, maskowania ułomności, stanów patologicznych oraz za pomocą przedmiotów-fetyszy. Na przekór fantazjom Witkina i jemu podobnych, robi

sobie lifting, wyskubuje brwi, nakłada makijaż, stosuje botoks, poddaje plastycznym operacjom, stara się nawet upodobnić do lalki Barbie albo lalki z sex-shopu – po części jej angażująca praca bez czasu na swobodne życie prywatne (tak jest w świetnie płacących korporacjach, w dziennikarstwie głównych programów informacyjnych, w sporcie wyczynowym) ma właśnie za cel zdobywanie środków na to wyestetyzowane *medium*. Ona jako nadmuchiwana Lalka jest kłębkim bólu. Prof. Andrzej Bator z podziwem (ale czy z empatią?) dopowiada, że fotograficzne rekwizyty u Szuby to rzeczywiście lalki z sex-shopu, a z wyjątkiem serii *Koncert życzeń* Szuba dzielnie użycza swojej twarzy we wszystkich realizacjach i „cierpi za milion, bo milion jej imieniem” – tu Bator wstawił emotikon :-). Gdyby połączyć te spostrzeżenia z ogólniejszym, pozornie tylko ogólnikowym, iż na całej skali od społecznego dna po szczyt, bez względu zwłaszcza na posiadanie przyjaciół i dzieci, wraz z powstaniem świata wirtualnego przestaliśmy żyć w świecie, to można nieco odważnie spojrzeć na rosnącą znieczulicę. Dramaty, od jakich trzęsie się internet, są już tylko towarem. Odkrycia nauki są towarem. Przestaliśmy żyć – lecz jest to jeszcze dziewiętnastowieczna konstatacja Artura Rimbaud, Jean Baudrillard w *Spółeczeństwie konsumpcyjnym, jego mitach i strukturach* jedynie ją rozwija: „Bycie w świecie stało się mało prawdopodobną ewentualnością. Proste stwierdzenie »istnieję« nie jest poważne. Bycie w świecie nie oznacza obecności w świecie ani tożsamości z sobą samym. Jest grą współwiny, nieobecności, iluzji, dystansu wobec świata”. Innymi nieco słowami – „Porównajmy dzieki, swobodne malunki dziecka ze sztywnymi, skrzepowanymi »obrazami«, w jakie się przekształcają, kiedy malarz dostrzega swoje dzieło i próbuje odtworzyć »rzeczywistość« tak, jak widzą ją inni; nagle onieśmielony wychodzi ze swojego obrazu, przekonuje się, że stanowi odrębną całość, dostrzega ciszę wokół i [...] zaczyna się opancerzanie własnego »ja«, budowanie i rozpaczliwe poszukiwanie tożsamości, samotność”⁴. A zatem znikąd wsparcia.

Szuba pokazuje, że chodzi o długotrwałe procesy oraz – po prostu o procesy. Czy miałyby to być degradacja człowieczeństwa do przedmiotu w rodzaju nadmuchiwanej lalki albo wibratora, czy też podniesłego wzorca, mającego wstrząsnąć sumieniami, albo może awans do boskości Sztucznej Inteligencji, jaką tak gromko a ufnie zapowiada Harrari, to granica integralności jednostki została już bardzo dawno temu naruszona – albo sfłuczona. Nie jest to więc awaria. Ani też kolizja z czymś, co by przybyło spoza psychiki. Zainfekowani własnymi toksynami, mylimy fakty i przedmioty – oraz procesy. Oznacza to istną pajęczynę sprzeczności, jednoczesności. Agata Szuba je na chwilę ukazuje. Z wyczuwalną obawą: sakralność sztuki jest obecnie w jej kręgu kulturowym albo dozwolona, ale nudna, pusta, albo poszukująca, tragiczna, nadto budząca wstręt inkwizytorów.

Pustka jednak erotyczna

Ale jeśli św. Agata jest autoportretem Szuby, i jeśli Lalka jest jej autoportretem, to czy św. Agata (świełiste widma, halucynogenne powidoki albo rozjaśnienia) to Lalka, a nadto jeszcze Czarna Chmura względnie Ciemna Ciecz, Miesiączka, Polucja, Plama, Zmaza? Czy chodzi o jakieś rozpoznawalne pomazanie na znak tego, że być artystką dzisiaj to wnikać w rewiry nietykalne, ponieważ konsekwencją ich poznania, nazwania po imieniu, mogłoby być odrzucenie kultury współczesnej, naszpikowanej mnóstwem radioaktywnych prętów? Sztuka, o jakiej mówię, ich dotyka... Może to tylko one świecą, imitując mistykę światła w ciemności? Szuba włącza ją tylko na chwilę i cofa się w jakieś inne jeszcze konceptualizacje. Nieważne, czy artystycznie sięga Witkina, Bellmera, Joyce’a. Mówi! Negacjami. Oksymoronami. Ucieczką. Mówi do góry nogami. O bazylice pustawym pokojem, o ołtarzu rozłożonym łóżkiem. O rycerskiej tarczy kapustą.

Kobiety artystki od lat 60. toczą swoje zmagania pokrętnym szlakiem. Zwykle szukają nie tyle tabu, co godności. W 1971 Natalia LL wystawiła *Sztukę konsumpcyjną* (najbardziej rozpoznawalny obecnie cykl jej

fotografii), gdzie dziewczyna o nieco lalkowatej urodzie (LL nazywa ją swoim sobowtorem⁵) zjada banana, ociera go o zęby, smakuje wysuniętym językiem. W 1975 w *Sztuce postkonsumpcyjnej* Natalii LL tym fetyszem są parówka oraz kisiel. Kilka tygodni temu dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie, prof. Jerzy Miziołek, kazał zdjąć tę retrospektywną ekspozycję jako zgorszenie, a sposób jedzenia banana, przywodzący na myśl seks oralny, określił czemuś mianem „perwersyjny”, co znaczy wszak „zboczony” – postanowienie wycofano [wydano też oświadczenie, że wypowiedź pojawiła się w mediach bez autoryzacji, a zdjęcie dzieł Natalii LL i Katarzyny Kozyry to efekt zapowiadanych zmian w placówce]. To jednak ścianka względnie łatwa do usunięcia – otwarty męski szowinizm, cenzura i tania pruderia na użytek politycznej kariery. Są za nią trudniejsze do wypatrzenia, mylone z jakimiś eschatologicznymi granicami. Zasłony, które potrafią opłatać, opętać. U genezy władzy, jak w *Genesis*, stanowiące pojęciowy maszt drzewo wiedzy władzy spleta się z węzłem, symbolem erotyzmu i seksualności. Seks zawsze wymykał się władzy, narastającej od *belle époque*. „To z początku tylko władza nad ciałem, dyscyplinująca życie człowieka, ujmująca je w karby tresury, doskonalenia i sprawności, mających służyć jedynie lepszemu wydobywaniu jednostkowych sił; wzrost użyteczności człowieka, skorelowany ze wzrostem jego posłuszeństwa wobec systemu ekonomiczno-społecznego (a co za tym idzie, politycznego). Osią, wokół której buduje się ludzkie życie, ma być produktywność i przydatność; naturalną konsekwencją jest więc kontrola urodzin i umieralności, stanu zdrowia, ciągłości życia, długowieczności. Regulacja tych procesów – bo przecież ludzkie życie jest w świetle biopolityki populacji jedynie procesem – to pierwszy krok do wyrachowanej, szybkiej administracji ciał i zarządzania ludzkim życiem. Biowładza rodzi się właśnie na tym gruncie. Niezbędna w dobie rozwoju kapitalizmu, kiedy to człowiek staje się złożonym aparatem wytwórczym, rozwija całą gamę narzędzi, dzięki którym poddaje ludzkie życie ścisłej kontroli i kierunkuje je jedynie na społeczną przydatność oraz wytwórczość. To właśnie najśilniej narzuciło mi się przed oczy, kiedy czytałam *Ziemię obiecującą*; wepchnięci w ramy własnej marności, biologicznej nędzy, pozbawieni bliskości – więcej – możliwości (w sensie potencjalnym) przeżywania bliskości, bo ograbieni z prywatności, rozdzieleni, samotni i rozdarci ludzie służący jako narzędzia. Otrzymujący najniższą możliwą zapłatę za pracę, najniższą – by starczyło im jedynie do następnego dnia, by nie myśleli i nie żyli niczym więcej jak pracą. Zarządzani w sposób doskonały, uniemożliwiający bunt – bo wszelki bunt bierze się z prywatności i z czułości, z przejrzenia się w drugim człowieku i powiedzeniu na głos, w ciepłej jeszcze pościeli: *chcę żyć inaczej*... To właśnie w tym czasie powstał najbardziej subtelny, a zarazem okrutny nadzór nad ludzkim życiem; zaczęliśmy pojmować je jako funkcjonalność podstawowych potrzeb, mówić o prawie do życia, prawie do ciała i prawie do szczęścia, do zaspokojenia potrzeb, do odnalezienia własnej tożsamości. Poza wszelkim uciskiem. I nie zauważyliśmy nawet, kiedy seks stał się przedmiotem operacji politycznych, ekonomicznych, kampanii ideologicznych pod hasłem takiej czy innej moralności bądź odpowiedzialności”⁶.

Owszem, seks stał się narzędziem ucisku. Ostatnimi laty radykalne feministki nie życzą sobie używania ciała modelek do konstrukcji skojarzeń z seksem. To, co w latach 70. oznaczało wyzwolenie, dzisiaj może być kwalifikowane jako zniewolenie. Zmienione zostało mianowicie pytanie wyjściowe: z dawnego „czy kobiecie wolno zwykłe czynności wykonywać erotycznie” (być erotyczną poza łóżkiem) na inne już: „czy kobiecie wolno przejąć sztafetę ostrego seksu”, żądać „weź mnie mocniej” i usłyszeć namiętne „bierz mnie mocniej” – i pozostawać erotycznie wartościową pomimo pogardzania żądzą mężczyzny. *Farba znaczący krew* to pierwsza w Polsce tak obszerna międzynarodowa wystawa malarstwa poświęcona twórczości kobiet, „których praktyka przewartościowuje stereotypy na temat uległości i dominacji. Tytuł, który zaczerpnięto z książki byłego myśliwego Zenona Kruczyńskiego, przewrotnie nawiązuje do popularnego w żargo-

4 P. Matthiessen, *Śnieżna pantera*, przeł. B. Kuczborska, Poznań 1999, s. 44.

5 W rozmowie z Agnieszką Sural na portalu Culture.pl.

6 Okruchy kultury.pl, luty 2014.

nie myśliwskim określenia krwi upolowanego zwierzęcia. Wystawa nie jest jednak opowieścią o kobiecym zniewoleniu. Artystki obdarzają bowiem ciało władzą samostanowienia i proponują afirmatywną wersję kobiecości, opartą na autonomii i sprawczości. Tytułowa farba staje się »cieczą z trzewi«, lepką substancją, która prowadzi tam, gdzie sens się załamuje i rozmywa kategorie władzy i uprzedmiotowienia, prowokując pytanie o to, kiedy patrzymy, a kiedy odwracamy wzrok. Z początkiem lat 90. trzecia fala feminizmu wprowadziła nowy, niekiedy autoironiczny, nieskrępowany i ekshibicjonistyczny ton dyskusji na temat wizerunków kobiet w kulturze, ich ról społecznych, pragnień, fizjologii ich ciał, tożsamości. Wystawa pokazuje, że – pomimo postępującej cyfryzacji i dematerializacji poprzez media społecznościowe – malarstwo, tak silnie osadzone w ciele, jego rozkoszach i traumach, pozostaje wyjątkowo sugestywnym medium do reprezentacji ludzkiego doświadczenia. Dzięki swej afektywnej i performatywnej charakterystyce, malarstwo jawi się przede wszystkim jako skok w podświadomość i praktyka służąca do refleksji nad tym, co wyparte, perwersyjne, wstydlive, objęte zakazem”⁷.

Tak czy owak, jakaś Bestia została ubita. I jeśli to prawda, to autorzy wyobrażeń św. Agaty – rozkrzyżowanej kobiety *topless*, a wcześniej zamkniętej w burdelu względnie w sanktuarium, gdzie odbywały się inicjacje lub rytualne orgie – też służyła, poniekąd, refleksji nad tym, co wyparte, perwersyjne, wstydlive, objęte zakazem. Szuba mimo ogólnika „przypadki” nawiązała do symultaniczności dawnych i dzisiejszych wyzwań. Ja postawiłabym pytanie, czy o społeczeństwie konsumpcji nie należy mówić już w dobie św. Agaty, czyli „onim czasie” wielkich segregacji i zniknięcia wszelkiej transcendencji na skutek racjonalnego i zideologizowanego odebrania istocie ludzkiej, jej kobiecemu obrazowi, ciągłości pomiędzy jej boskim a diabelskim sobowtorem. Zanegowane, wyparte, potępione lub wyśmiane, lub kwalifikowane jako psychopatologiczne, rewiry boże, człowiecze, diabelskie są wytyczone, ogrodzone, opatrzone całą rekwizytornią znaków „stosownych”, co z kolei zaczęło sprowadzać kulturalność do podporządkowywania się tym stosownościom. Nie ma tedy miejsca na anatomię niepokoju. Ani na niepokój anatomii. Jeśli takowy narasta, odsyłany jest na coraz mniej kojarzoną z kulturą codzienną półkę żywej sztuki. To jak w sklepie z zabawkami półka prawie niedostępna. Zastawiona pudłami z towarami, wszelką inną ofertą handlową. Upodabnia się po prawdzie do czytnika cen, też umieszczonego możliwie niewygodnie. Czy klient chce transparentności? „Współczesne malarki coraz częściej tworzą obrazy prywatne i oparte na introspekcji, nasycone niepokojącą seksualnością, niekiedy obsceniczną, zuchwałą, a jednocześnie niepozbawione humoru czy efektów groteskowych. Afekt służy zaproszonym artystkom do namysłu nad szczególnie spłotem znaczeń: nadmiaru, przyjemności, ale i doświadczenia przemocy, przemocy często o niejednoznacznym wektorze”⁸.

Lalka-chimera, przebudzenie i wzloty

A teraz zapomnijmy na chwilę, że cudowna figura z *festa di Sant'Agata* jest również lalką. Bellmerowi zarzucano właśnie pogoń za błędnymi ognikami żądzy i krańcowości. Co to więc znaczy, że Bellmer ukazuje zawsze nie swoją twarz, jakby przerzucał winę na Lalkę, a Szuba wmontowuje tę własną twarz w plastikową zabawkę do zabawy w degradowanie wartości? Co to znaczy, że Witkin pokazuje patologie, a Szuba je odrzuca, aczkolwiek zarazem (jako artystka) pieczołowicie komponuje, aranżuje, multimedialnie wylewa w przestrzeń galerii, sięga po efekty dźwiękowe, po aluzje do opery? Operowość to zresztą osobne zagadnienie, choćby jako wzmacniacz groteski. Hans Bellmer potraktowałby ją serio, dociekał bowiem istoty tej pół infantylnej, pół złowieszczej fascynacji. Oskar Kokoschka myślał operowo. Szuba jednak zdaje się po-przestawać na potocznym uznaniu Lalki za kolosalną pomyłkę. Tymczasem to absurd. Nadmieniałam o ge-

nuszu Kokoschki; myślenie operowe jest taką samą syzyfową pracą pochwytywania sensu, jak myślenie posługujące się przesadą, celebrujące ją, a z nią natarczywą metaforę, jak u nauczycielki albo szefa wielkiej korporacji... Są zakochani w Lalkach Wokulscy: my oddający się Lalce. Niejedna mniszka wyrzekła się małżeństwa w bardzo młodym wieku, bo nie czuła pociągu do mężczyzn. Jej wzrok bywał przyszpilony do obrazu świętej patronki. Chciała tak samo wdzięcznie trzepotać rękami, wcielona w rolę świętej, składać dłonie, zlewać w śpiewie swój słodki głos z głosem czystych sióstr ujętych mandorlą ich reguły. Co też zresztą ujęto operowo – przykładowo *Dialogi karmelitanek* Georgesa Bernanosa do muzyki Francisca Poulenc.

Właśnie, Szuba rozdrapuje tę mandorlę. Po prostu, rozdrapuje granicę. Co zatem jest obsesją? Śledząc kolejne prace Szuby, wpisane dość bezkolizyjnie w hasłowo rozumiany feminizm, natrafiam na znaczeniowe sprzeczności. Fotografka istotnie buduje swoje obrazy „za pomocą licznych odniesień, aluzji, osobistych doświadczeń i antycypacji [...] fotografia [w jej wypadku] jest »zapalnikiem wyobraźni«, jak wyraziła się dr Agnieszka Bandura z Zakładu Filozofii Uniwersytetu Wrocławskiego. Mnie uderza pewien zabieg, do jakiego ucieka się dzisiaj młoda, utalentowana polska artystka, podejmująca problem kobiety i zarazem (bo to nie to samo!) kobiecości. Sięga mianowicie po znaki, umownie mówiąc, kulturowego poszanowania dla kobiety. Mam na myśli poza św. Agatą jako Lalką jej pracę *Wolności, do kuchni marsz!*, gdzie, jak wylewnie przedstawiał Andrzej Więckowski przy otwarciu wystawy we wrocławskiej Foto-Zonie, „na wielkoformatowej fotografii młoda kobieta (autorka instalacji, Agata Szuba) siedzi w kuchni w pozie syrenki warszawskiej, wszelako zamiast miecza ma kuchenny nóż, a zamiast tarczy główkę kapusty. Na podłodze i jeszcze w powietrzu opadające białe-czerwone konfetti, które wyfruują z fotografii i wraz z dwoma szarymi stolikami w stylu i kolorze mebli kuchennych tworzą sztafaż przed obrazem. Fotografia wychodzi z siebie. Wszystkie te elementy związane są tytułem, przy czym powrót córy marnotrawnej jest triumfalny, wybuchają konfetti, wirują w powietrzu i wybiegają z obrazu, ścielą się do naszych stóp w postaci białe-czerwonego dywanu, który przecież musi przywoływać nie tylko polskie, ale polsko-katolickie skojarzenia sypania płatków kwiatowych w procesjach... Intronizowana królowa kuchni – oto jak niepostrzeżenie zmieniamy narrację – może zejść z krzesła po tym dywanie w rzeczywistość, względnie my możemy wejść do tej nowoczesnej kuchni i stać się dworem tej syrenki z kapuścianym jabłkiem królewskim. Teraz bowiem już widzimy, że to nie tarcza syrenki, tylko kapusta królewska, globus cruciger, na którym przy bliższym wejściu widzimy wygrawerowaną mocnymi pociągnięciami użytkownika kapuścianych liści zwycięską Nike. A nad tym globusem, czyż nie widzimy krzyża? Jeśli nie widzimy, nic nie szkodzi. Jest tam na pewno jako potencjał tradycji, której przecież nie zamierza przecinać berło kuchennego noża”.

To prawda, tyle że zabiegiem nadającym wagę wolności kobiecej jest przywołanie Syrenki i Nike, kojarzonych ze zgodą na męskie narracje o kobiecości walczącej (padającej chwalebnie), z męskim punktem widzenia dziejów, męską wersją historii, czyniącą z Warszawy symbol bynajmniej nie mądrości czy przyjaznego ciepła przy domowym ognisku. Bynajmniej nie fascynujących księgarenek i nie pysznych delicji. Tutaj prawie co pokolenie, do połowy XX wieku, dochodziło do hekatomb, w jakiej, gdyby przywołać Bertolta Brechta *Po bitwie*, nasuwałoby się, że cyczuszki młodziutkich dziewcząt w powstaniach, z visami na tygrysy, gniją w podziemnym kanale i... wszak nie zamieniają się w słodkości. Walka? Walka o kogoś-coś żywego czy walka o Lalkę? Erotyczna gnijąca lalka męskich gier?

To nie tylko kwestia ostrego narzędzia przemocy, miecza albo noża w ręku. To permanentna gotowość do walki, podłączona do ładowarki agresywności. Płeć Syrenki, a tym bardziej warszawskiej Nike, żeńska oczywiście, uprawomocnia ustrukturuwanie agresywności, staje się ono bowiem „ogólnoludzkie”, a nie tylko półludzkie czyli – męskie i pozostawiające kobiety w spokoju. Gdyby Syrenka nad Wisłą nie miała żadnej broni w ręku, to jej argumentem byłoby jej ciało, przesłaniem byłoby samo ciało – jak na rzeźbie Thorwaldse na w Kopenhadze łagodne. W zbiorze mitycznych syren nie ma bardziej androkratycznej syreny, przy braku wszelkich śladów jakiegś tradycji amazonek nadwiślańskich, niechby i z czasów scytyjsko-sarmackich. Męskość

7 <https://artmuseum.pl/pl/wystawy/farba-znaczy-krew>

8 Tamże.

dotyczy zresztą i przywołanego przez Więckowskiego krzyża – w greckim oryginale Ewangelii termin *stauros* oznacza prócz krzyża również pal, znak bezsprzecznie falliczny. Róg jednorożca kojarzono z krzyżem. Szuba jako kobieta jest więc pogodzona nie tyle z mężczyzną jako osobą, ale mężczyzną jako dyktującym paradygmat agresji i *paradygmat* w ogóle. To wyraźnie deprymuje komentatora. Czyżby jakiś podstęp feministki?

Ciekawa sprawa z baśnią o Syrence kopenhaskiej. Po to, aby móc odwzajemnić pożądanie, aby uwolnić uda z otuliny ogona zimnej ryby, musiała wyrzec się głosu, czyli komunikatywności. Co się tyczy syrenki warszawskiej, stoi obecnie nad Wisłą nie tyle dla kolorytu nadrzecznej legendy tutejszej, co z powodu chulikańskich dewastacji, jakich była obiektem, już po wojnie odrestaurowana, ustawiona na Starówce. Punkt wyjścia jej trzem zdobiącym dzisiaj stolicę wyobrażeniom dała najstarsza pieczęć: w herbie Warszawy z 1390, choć wówczas było to zwierzę z ptasimi szponiastymi łapami i tułowiem węża albo smoka, o męskiej głowie. Na pieczęci z 1459 przypominała już bardziej kobietę i miała rybi ogon. Dlaczego Szuba wybrała właśnie ją? Skoro Syrenka jest rodzajem miejskiej patetycznej lalki, warto pewnie mieć na uwadze słowa Bellmera, „iż rozmaite środki ekspresji, takie jak poza, gest, dźwięk, słowo, charakter pisma, tworzenie przedmiotów, mają swe źródło w tym samym szeregu mechanizmów psychofizjologicznych, i że rodzą się wedle tego samego prawa. [...] Zaciśnięta dłoń jest sztucznym ogniskiem podniety, jest potencjalnym »zębem«, który przyciąga i odwraca bieg krwi i nerwów od rzeczywistego ogniska bólu po to, by pomniejszyć jego istnienie”. Syrenkę faktycznie władze carskie pozwoliły ustawić jako swoiste pocieszenie po stłumionym powstaniu, jako ersatz pomnika prawdziwej walki, pomnika bohaterów realnych. Jest zresztą optycznie wpisana w jakieś błędne koło walki bez skutku. Odgradzona od realnego świata. U Agaty Szuby zastanawia mnie przełamanie przez nią przestrzeni obrazu fotograficznego i wtargnięcie na zewnątrz, w świat „realny”, ale za pomocą konfetti, barwnych karteczek: są lekkie jakby sypane przy procesji Bożego Ciała, który to termin również można rozpatrywać jako sakralizację ciała. Lalka będąca tylko ciałem, okazuje się być tylko duszą. Nike wpisana zaś w liść kapusty; wyrazy liść i list są w języku polskim blisko dźwięczne. Zbite w kulę liście rośliny to skumulowanie przekazu, a zatem syrenka okazałaby się w dosłownym tego sensie, Poślanką, żeńskim angelosem. Jak w greckiej mitologii. Tam skrzydlate syreny towarzyszyły duszom do Hadesu jako płaczki opłakujące ich zgon. Szły o krok za Hermesem-Przewodnikiem, czyli Ulisessem. U Szuby syrenka nie ma dawnych skrzydeł. Ma natomiast żywe, pogodne ubarwienie (błękit, turkus, żółć, róż, pomarańcz, seledyn, lila, karmin i cynober) całej aranżacji. Nie wydaje mi się najistotniejsze to, czy *Marsz do kuchni!* lansuje tę czy inną z kobiecych ról społecznych i czy literatura w kuchni (zamiast garnków) uszlachetnia kobietę, bo jeśli nawet takie odczytanie się nasuwa, to dzięki założeniu, że kultura wyrasta z wiedzy, z „ksiąg”. Jeśli u Agaty Szuby więc kartki opadłe „z nieba” są puste, to oglądamy przestrzeń bez żadnych skodyfikowanych dyrektyw, bez żadnych wiążących semantycznie zapisów. Z takiego punktu widzenia akurat w kuchni książka kucharska sygnalizuje niepewność co do własnego smaku, a szerzej to pojmując – wobec własnej zmysłowości. Szykowanie posiłków jest sztuką tak samo jak muzyka, jak taniec, jak malarstwo czy fotografia, nie ma żadnego dobrego powodu, aby uznać węch albo smak za „gorszy” od słuchu albo wzroku, do jakich zwracają się muzyka oraz plastyka, byłoby to tylko kolejne ustępstwo wobec kulturowej dyktatury. Byłaby to podróż Ulisesa z GPS. A zatem – skoro wiąże duszę z ciałem – dorzucę jeszcze, że w wypadku św. Agaty jej cycki, bo tak po prostu mówią Sycylijczycy, w symbolicznej formie biskopka nasączonego likierem, wypełnionego jedwabiscie miękkim serkiem ricotta, kawałkami czekolady, oblanego białym lukrem, niekiedy z odrobiną pistacji, nadającej nieskazitelnosci zielonkawą chłód, są potrawą rytualną. W innych regionach Sycylii ciastka o podobnym kształcie, ale marcepanowe, znane są jako *minni di virgini* – piersi dziewic.

Nie mam wrażenia, aby Agata Szuba przystanęła na politycznym aspekcie ciała oraz kobiety. Tworzy fotograficzne instalacje wieloznaczne, wysmakowane, bez okrzyków w rodzaju *male shovinistic pig*. Szuba preferuje szept, wyciszenie; jej uwalnianie się od mroku, od jakiego zaczęłam tę analizę, powiadamia tylko

o istnieniu toksycznych chmur w naszym wnętrzu; płyną gdzieś w podtekście czarno-szarych fotografii. Autorka celebrytuje natomiast swoje gesty polemiczne jako kobieta i pytanie już tylko, do jakiego stopnia „rzeczywiście wyzwolona ze stereotypów wolności”, powtórzę za Więckowskim – stereotypów, „które w istocie są przecież kolejnymi kajdanami”. Oczywiście, samo sięganie po intermedialne środki, oscylacja między fotografią czarno-białą i czarno-szarą jak głębinowy sen, i kolorem, znamionuje bezsprzeczne unerwienie penetracji. W *Przypadkach*, przypomnę, meblem-kluczem metaforycznego wnętrza (wnętrza *profanum*) jest tapczan. Tapczan ucieleśnia skandaliczne intencje; często zdobi go Lalka. To na nim opuszczamy kordon kontroli kulturowej: poprzez sen i, przynajmniej potencjalnie, poprzez seksualność, niezależnie już od tego, czy z kimś realnym, czy wyobrażonym, czy z Lalką. Lalką w roli władczyni zarówno chwalebnej, jak i trupiej, w roli niewinnej zabawki, w roli Dzieciątka, w roli dzieciątka dziewczynki, a następnie Kata kaleczącego nam życie, i Błazna, w roli Lustra i ekranów, wyświetlających nasze, pochwycone obiektywem kamer, urojeń, fantazje i rzeczywistości. I na tego rodzaju meblu, przedłużonym poza jakąś niewidzialną ramę zawieszonymi obrazami kobiecych twarzy, twarzy „wykonanych” podług religijnego lub popkulturowego kano-nu, z monologizującą nie wiedzieć po co naszą wewnętrzną Molly, kończymy zwykle żywot. W tle naszego świata, dzisiaj, wszystko drga, jak za życia Bellmera, od niepodjezrywanych asonansów. Od stawiania się jak Europa lat 30., 40. oraz 50. XX wieku, i jak jej mieszkańcy obojga płci, czymś równie żałosnym jak gnijące cycki ubitej jako bestia, lepkiem w dotyku jak zużyty kondom.

Pani Lalka

Zaryzykuję tezę, że kultura popularna jest w swojej istocie mistyczna. Jeśli, jak dziś, poddana jest manipulacjom reklamy i prawom rynku, i potrafi zaszokować głupotą, to ten bezwstyd oznacza swoje istnienie wykiełznanie się z rygorów obydwu skrajnie zmanipulowanych instancji kontrolnych, a mianowicie intelektu oraz etyki. Żadna z nich nie kształtowała się inaczej jak instytucjonalnie. Żadna z nich nie zaczerpywała odnowicielskich mocy inaczej jak drogą profanacji – po prostu w odniesieniu do intelektu mówiliśmy o aksjomatach, a w wypadku etyki o dogmatach. Ambicją kultury nowożytnej stało się narzucenie owych aksjomatów i dogmatów możliwie wszystkim zakątkom i zaułkom. Stworzono nawet nowy rodzaj szlachectwa, mający je nobilitować – wykształcenie. Udało się zburzyć kulturę popularną wieków średnich oraz epok następných. Nie podołano jednak z wdrożeniem.

RECENZJE I OMÓWIENIA

Niebawem

Czesław Sobkowiak, *Powszednie niebo*, Pro Libris, Zielona Góra 2019, 100 s.

O miłości co powiedzieć
Swoimi słowami
Nie wiem –

Ten wiersz nie ma tytułu. Spłynął bez wysiłku, tak jak gdyby różne wydarzenia, stany i zjawiska w naszym życiu, osobiste, publiczne, wywoływały jakiś wiatr, wiatr, który „lata kędy chce” i pozostaje czymś najzupełniej, najzabawniej unikalnym. Opisując go, jedynie potrącamy słowami jak paletką rakietkę badmintona. Zawsze tylko od jakiejś strony. Zawsze w jakąś pogodę-niepogodę. Miriady czynników. Sonnenberg je z pasją wykrzykuje. Bocian je z pasją potępiała. Styczeń je przetwarzał w dreszczowce metafizyczne. Czesław Sobkowiak inaczej: „Nie trzeba mi mówić ani pisać”. Nie brak mu przecież pasji ani zmysłu moralnego, ani dreszczy metafizycznych. Wyłonił jednak z siebie rytmy najzupełniej samoistne, włącznie z rzadkim skądinąd u poetów wyznaniem uwolnionym od rozpaczliwych dramatologii – że się nie wie. Och, nic nie jest ze światem „jakoś nie tak”. Wolno świat strofować, idealizować, ustrasznić, uidealnić. Albo – czuć. Tak po prostu. Powszednie niebo... Wedle św. Katarzyny Sienieńskiej sama droga do nieba jest niebem.

O *Powszednim niebie*, najnowszym zbiorze wierszy Czesława Sobkowiaka, niełatwo coś dorzucić po znakomitym wstępie prof. Małgorzaty Mikołajczak, która oddawaną w tych wierszach codzienną miłość

rzutuje na nieustającą wymienną tego, co „wysokie” i co „niskie” – ponieważ przesycane są blaskiem. Wyrażają przedproze: na nich właśnie widnieje *blask*, nawet jeśli światła pogasły. Chwile przed snem, przed wybudzeniem. Miłość to stan, powiada Mikołajczak. I zauważa, że słowo „miłość” padło właściwie tylko ten jeden raz, a miłość to nie uczucie, tylko stan ducha. Ja wołałabym słowo dusza, może z powodu rozstaju, na jaki wkroczyła filozofia określeniami *die Seele* i *der Geist*. Dusza odnosi się oczywiście do kobiety, towarzyszyki całego życia, ale obejmuje, jak tutaj w wierszu *Światło*:

Wieczne światło i drzewa
[...] ptaki i inne głosy [...]
Sen i dotyk [...]
Po przekroczeniu granic
I bez zaznaczania różnic

Ponieważ przekraczanie granic, znoszenie różnic to fascynujące właściwości życia naprawdę, właśnie w tym wietrze, jaki lata, wieje, ucicha, kędy chce, powiem najpierw o *blasku między tobą a mną*. Okazuje się blask dzisiaj tym, czym dla romantyków była miłość albo wolność: przeczuwali, że wymykają się z rąk, tym gwałtowniej, brutalniej, im bardziej chcemy je mieć. Blask dzisiaj niepomniecznie zdumiewa, o ile go w ogóle dostrzegamy. Nasze oczy dawno i na dobre odwykły od sycenia się subtelnością odcieni bla-

sku. Z prostego powodu: doświadczenie ciemności, a także szarej godziny znamy zazwyczaj tylko z drugiej ręki. W miastach tę porę unieważniono. Używamy sztucznego oświetlenia. Blask pochodzi z istoty rzeczy, może tylko emanować. Połysk natomiast odbija jedynie powierzchniowo światło wyemitowane z zewnątrz. Jak rozpoznać? Używamy szkła kontaktowych, okularów, lunet, lornet, teleskopów, lamp, latarek i latarni, neonów, reflektorów, fleszy, a nadto jeszcze sztucznych kolorów. To powoduje, że aż do niedawna minerały i substancje kojarzone z Niebem – w opisie Nowej Jeruzalem czytamy „A ściany jego domostw będą z jaspisu [...] a fundamenty upstrzone wszelkimi klejnotami” – choćby i najcenniejsze, wydadzą się skromniutkie, wyblakłe w porównaniu z ofertą „przedwieczne kolorowych” produktów w sklepach sieci TESCO. Hmm, jaspis, matka kamieni? To z pozoru niczym niewyróżniająca się skała osadowa, nieprzejrzysta, cętkowana, pasiasta lub ze smugami, czerwona, błękitna, bura, ale zawsze o delikatnym szklistym lub tłustym połysku. Magnetyzowała wzrok w epoce, kiedy każdy właściwie intensywny barwnik stanowił ewenement sam w sobie, po czerwieniu wyprawiały się całe karawany znad Morza Śródziemnego na Ruś i do obecnej Polski, gdzie pospolicie rośnie czerwien trwały, żywiciel larw pluskwiaka o nazwie czerwien polski; sproszone larwy były jednym z towarów eksportowych Rzeczypospolitej aż do odkrycia w Meksyku koszenili, pigmentu podobnej genyzy. Analogicznie z zabarwianiem sokiem z indygowca, z pozyskiwaniem fioleto z szakłaku, słynnego lazuru włoskich mistrzów ze startego lazurytu, purpury z wydzieliny purpurowca, drapieżnego ślimaka morskiego z rodziny rozkolców. Lokalnie do barwienia zadowolano się ochrą, czyli pospolitą rudą żelaza, węglem drzewnym, sproszkowanymi minerałami, a nawet i taki pigment robił wielkie wrażenie w kosmosie barw naturalnych. Utorował tę świadomość Aldous Huxley jeszcze w połowie XX wieku: o przełomie kultur ludzkich, odkrywających, że barwy niebiańskich widzeń w transie, względnie objawieniu, można sobie wyprodukować – niewyobrażalnym kosztem dewastowania siebie i świata, oczywiście. Świat był szary, ziemisty. Ubrania, domy, narzędzia, potrawy. Samo ze-

tknięcie ze wspomnianą barwnością oznaczało wtedy wkroczenie w przestrzeń królewską i świątynną, zastrzeżoną dla wybrańców, kałaną przez profanów, gromadzoną chciwie i tezurowaną w skarbcach objętych klauzulą tajemnicy.

Rozwodzę się nad tym tak obficie, ponieważ kosmiczne technokolory plastikowego odpowiednika klejnotów nie posiadają właściwości leczniczych, psychoterapeutycznych, nie emanują niczym – chyba że toksycznością, toteż poddajemy je testom, zanim damy dziecku do zabawy lub spożyjemy w nadziei posiłku. Owszem, „stare” skarby potrafiły być trucicielskie, potęgowały strach. Strach zaś, powiadał Huxley, „ogranicza miłość. I nie tylko miłość. Strach eliminuje także inteligencję, dobroć oraz wszelką myśl o pięknie i prawdzie. W przemyślanie żartobliwej desperacji pozostawia jedynie świadomość własnej nieprzyzwoitości”. Ogranicza nas i karmi kłamstwami, jednocześnie blokując drogę rozwoju. Tym niemniej, dzisiaj pędzimy szybkimi ścieżkami syntetyków transu, obowiązkowej edukacyjności Objawienia, podkładów muzycznych dla imitacji anielskich chórow, i to samo z syntetyczną nadprodukcją osobistego szczęścia lub – jeśli ktoś woli – miłości. Na jaskrawie barwnych reklamach supermarketów ileż atrakcyjniej przedstawia się 12-dniowe, zakończone nudą i złością małżeństwo seksbomby Pamelii Anderson, od codziennego nieba wlokącego się przez dekady w kolejkach, urzędach, w kuchni i na podwórku. Sypialnia i eros? Cóż, nawet w literaturze pięknej z takich półek staje się pokupnym newsem.

U Sobkowiaka sen jest bezbarwny jak sen z głębszych warstw nieświadomości. Poeta nie ma „innego pomysłu by śnić” – niż dotknięcie ramieniem ukochanej. Są tedy „wielkie drzewa”. Z ptakami. Z „ja” rozszerzonym na świat ufnie i czule jak usta do pocałunku.

Uroda czerwcowego wieczoru migocze
Nie mija ani nie znika dziwnym sposobem
Odnajduje się w ciemności nadal żywa.

To kwestia innego zmysłu – zapachu akacji...
Lubuski poeta otwiera świat bez napiętych strun
w rodzaju „muszę” i „każdy-nikt”. Sztuczne barwy,

sztuczne natężenia światła odsunął i w jakimś sensie obezwładnił; to kwestia nie tyle maestrii artystycznej, co postawy wewnętrznej.

Samo nagromadzenie wierszy zawierających wprost nazwane albo niejako mimochodem uwolnienie od pośpiechu i cywilizacji TESCO, dantejskiego Pieła z filmu Lecha Majewskiego, w spokojnej, naturalnej tonacji, sprawia, że ten zbiór ma w rzeczy samej jakąś ciszę. Nie chcę tu odciskać przymiotników w rodzaju „mistyczna” czy „święta”, Czesław Sobkowiak zresztą też ani razu nie sili się na patetyczne wieszczce ni charyzmatyczne pozy; moc wierszy to właśnie – blask. O ile światłość potrzebuje mroku, aby się w ogóle odeń móc odróżnić, o tyle blask ma niezależne, własne, epicentra. Płynie z „być”. Nie potrzeba tu żadnych powodów. Żadnych argumentacji. Wydarzeń kluczowych, ich zwiastunów... Czytam w utworze *Notatki i nie tylko*:

Patrzę na plac, na ludzi przy stolikach
Na fasady domów i wystawowe szyby
Na banknot który trzymam w ręce
I nic nie przychodzi mi do głowy
Dobrze że mogę usiąść na ławce
Wysoko samolot na niebie przeciąga linię

Ponieważ, wbrew pewnikom współczesności, nie ma żadnej różnicy między tym co ważne i nieważne. Sekwencja spraw ma źródło w ich logice, logice, jaką kierujemy przeciskaniem jej przez siatkę rozumu i rozumiały racji. Zawsze wybranych kosztów innych. W cywilizacji dobro-bytu mierzonego stanem karty płatniczej nastąpiła jakaś już, skorelowana z utratą fototaksji, atrofia zdolności odbioru wszystkiego prawie, co nie mieści się w ofercie TESCO. Oczywiście, jest nią także kultura. Sobkowiak od tego odstaje. W swoim poruszającym wspomnieniu o Mariannie Bocian, na jakie się natknęłam w wydanej niedawno pracy profesorów Stefana Bednarka i Jana Tomkowskiego, dał wyraz temu, jak bardzo na początku swojej drogi poetyckiej ufał wyobrażeniom o poezji – miał je za „obiektywne”, „uniwersalne”. Literaturę uważał za swoisty thesaurus. I może właśnie

dlatego, że motywowała nim pokora, w jakimś momencie cofnął się, otrząsnął z ról nadanych ludziom sztuki, a dziś w *Powszednim niebie* zarzucił wszelkie chwyt (no, powiedzmy, że poetyckiej sztuki ornamenty, wszystko jedno: tradycyjne czy też awangardowo nowatorskie) i pozwala, aby ujawniły się zestrojenia innego rzędu.

Próbuję żyć i wie o tym powietrze woda ogień
Drzwi uchylone na korytarz
[...]
Jest czas wydobywania samotności (ty o tym wiesz) [...]

Oddech świata, serca, spokojny, w tle odnotowane kątem oka codzienne rekwizyty: przejście dla pieszych, mężczyzna rozmawiający przez komórkę (jest, w końcu, co tu kryć – rekwizytem równie dobrym jak pod ścianą połamane wiadro), bez doszukiwania się sprężyn tego mechanizmu czy też meta-mechanizmu. Coś powoduje, że wszystko tu ma swoje miejsce. Nic niczego nie przesłania. Błękitne niebo, spaliny aut i banknot o niskim nominale to jakiś chleb. Wybór ławki na deptaku zamiast rozśpiewanej przedniej platformy tramwaju z epoki awangardy to tylko chęć mimowiedna. Ma się chęć usiąść obok. Tak po prostu.

Nie mnie orzekać, czy Czesław Sobkowiak zatrzymał się świadomie „po jasnej stronie myśli”; długo ma się takie wrażenie przy lekturze, gdy raptem zdmuchuje je osobliwy wiersz *Tylko światło*, umieszczony po oczywistości, jaka rzadko do nas dociera, do nas, na osiemdziesiąt kilka lat według statystyki nieśmiertelnych, że... tylko światło

Wzięło się światło
W otwartym wierszu
Który od dawna opowiada
Że ciemność jest naga.

– jakimś instynktem, jakimiś psychicznymi opuszkami palców, wyczuwa, kiedy „bliżej być już nie można”.

Urszula M. Benka

Pora odlotu

Urszula Kozioł, *Znikopis*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019, 64 s.

Najnowszy zbiór poezji Urszuli Kozioł *Znikopis* jest bardzo osobisty, głęboki i skomplikowany wewnętrznie. Czytam zawarte w nim wiersze i odnoszę wrażenie, że rozgrywa się w nim pewnego rodzaju walka o podmiotowe „być albo nie być”. Książka zrodziła się w dramatycznym momencie życia podmiotu, dramatycznym także w perspektywie historycznej. Życie poetki dobiegło późnych lat, kiedy to zarazem uzmysławia sobie ona swoją krytyczną sytuację twórczą. Wiadomo, co to znaczy. Oczywiście przywołuje różne przeżycia, doświadczenia, wyraża uczucia, wspomina kogoś bardzo bliskiego (też pobyt „w Carnac na polach Menec”), ale też wyraźnie ocenia skutki przemian kulturowych, przemian duchowych, które są tu opisane z nutą zdumienia i zatrwożenia. Wydają się dla niej wręcz irytujące, dostrzega jakiś rodzaj zgubnej mody na samozniewalanie się człowieka poprzez uzależnienie się choćby od wynalazków technicznych. Tenże w coraz większym stopniu działa bezkrytycznie i dostosowuje się do nowych reguł. Jakby sam o sobie coraz mniej decyduje. Ze zdumieniem obserwuje poetka zawężanie się wewnętrznej przestrzeni wolności. Czas nastał zupełnie inny. Nie wyzwalania się, ale uzależnienia swojego ducha od różnorakich choćby mód. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że wcześniejsze, kolejne, pokolenia poetyckie wyrastały właśnie ze sprzeciwu wobec wszelkich ograniczeń wolności i wykreowania własnego ja, własnego świata, to obecnie można obserwować odwrotne zjawiska. Tamten czas zdaje się definitywnie odchodzić. Zarówno w przestrzeni ludzkiej, jak i w szerszym wymiarze. Nabiera też symbolicznego znaczenia odchodzenie twórców, którzy wyrosli w minionej epoce. Posiadali oni silne rozeznanie wartości. Ta cecha i zdolność teraz znika, jest jakby zapomniana, górę bierze wszelkiej maści relatywizm. Współczesny człowiek obojętnieje. Nie czyta, nie słucha, nie patrzy. Jest „zakutany w te swoje kable jak kneble / w sznurki w troki wtyczki do uszu” (*Z przeinaczeń*). Ludzie „patrzac nie widzą słuchając nie słyszą / oprzyrządowani od stóp do głów że mucha nie siada” (tamże). Taka sytuacja jeszcze niedawno była

nie do pomyślenia. Poecie w tego rodzaju rzeczywistości przebić się ze swoim słowem jest więc niemożliwe. Poetka w wielu wierszach podnosi problem znalezienia słów, które by uchwyciły żywą rzeczywistość, które by wyraziły ważne doświadczenia, ale intuicyjnie zdaje sobie sprawę, że mówiąc poetycko: „Piszę grochem o ścianę”. Samo tworzenie jawi się niemal jak wysiłek bezsensowny. Górę bierze świadomość, że nikt już na wartości nie czeka. Uzmysławia sobie wagę swoich treści, które chciałaby przekazać, ale i otaczającą ją obcość rejestruje. Pustynię. Stąd różnorakie trudności, bezsilności, niemoce. Jest więc poezja w tym czasie „wołaniem na puszczy”. Diagnoza trafna. Czyli jej misja unieważnia się, a wysiłki okazują się bezskuteczne. Te zwątpienia są ważne, albowiem w konsekwencji byt poetycki znika z pola widzenia. Wiersze anihilują, uciekają. Urszula Kozioł z wiersza na wiersz zmagając się z tymi doświadczeniami i refleksjami nastrajającymi pesymistycznie. Toteż czytelnikowi ani samej sobie nie wmawia żadnej ułudy. Klasyk wiary horacjańskiej („Nie wszystek umrę”) nie podziela, bo nie może. Oto znaleźliśmy się w epoce, w której już nie ma zaznaczonych znaczeń wysokich ani niskich, która już nie dba o dziedzictwo form i myśli, o tradycje lub ciągłość myślenia, co przyczyniałoby się do narastania bogactwa kultury. Słowa mają krótki, jednorazowy żywot. Są czymś znikomym i bezradnym w swoim istnieniu. Ale wbrew wszystkiemu to marginalne minimum znaczenia jest ciągle dla podmiotu istotne. Wspomaga jego ducha. Nawet ów „szelest” pióra na kartce. Tworzeniu towarzyszy przekonanie, że „pisma” (spuściznę) nie tyle ogień strawi, co skutecznie istnienia pozbawi je „niepamięć”. Tworzenie w tej sytuacji ma wymiar niemal heroiczny, bowiem nawet nie może być potraktowane jako zapisywanie śladu życia. Weszliśmy w nową epokę, mieliśmy inne nadzieje. Okazuje się, że na ład cywilizacyjny nie można już liczyć. Wkroczył chaos i to on zajął miejsce naczelne po klarownej konstrukcji i świadomości celu. Tedy podmiot dotyka wszelakiego rodzaju brak. Najbardziej dokuczliwe jest to, że nie wiadomo, dokąd

i po co zdążamy. „Mój czas jest piaskiem” – powie poeta. Współczesny czas „chce mnie częstować czymś”, lecz można zapytać, co to jest to „coś”? Poza tym. Nie tylko jawę realną, ale i sny, które miewa podmiot, też spotykają skomplikowane perturbacje. Wiedza o życiu przybiera postać banału, a nawet trywializuje się: „wiem którym tramwajem jechać”. W snach, owszem pojawiają się „niezwykłe budowle / ba witraże w bezludnych katedrach”, ale sacrum znikło, ludzie odeszli. Rzeczywistość jawi się surrealnie, enigmatycznie, bez oparcia o sens: „Obraduję z nimi / ale nie wiem o czym” (*Skrajem zmierzchu*). Tak Urszula Kozioł pisze swój lament, bo dotyczy on w pierwszej kolejności również daremności słowa. Obcowanie ze słowem jest tu dużym problemem. Poetka doświadcza raczej skutków bezsłowności, które osaczają ją i jakby gubią. Wysiłek jest jednak ciągle przez nią podejmowany: „w ślad za falistym ruchem / rozsypanych cząstek mowy / i trwożliwie zbitych w kłębek / pojedynczych liter” (*Z bezwiersza*). Litera są jak piasek i jakby poza alfabetem. Słowa nie tworzą fundamentu, nie układają się w dialog ani z podmiotem, ani z odbiorcą. Nazywa poetka ten stan „porą odlotu”. Mamy do czynienia z opisem trudnego stanu duchowego. Głównie z wiwiskcją liryczną tu wielokrotnie rejestrowaną. Tak jakby należało tylko opisać i wyrazić szczegółowo wszystkie kłopoty z bezsłownością, z „pierzchającym wierszem”, z „wytrąceniem pióra z ręki”, i zgodzić się, że celem jest opis braku.

Nic więcej. To też ważne zadanie. Zarazem nie rozświetlenie czegokolwiek jest możliwe, gdy ma miejsce doznanie podmiotowej ciemności, konfrontowane z ciemnością świata, kosmosu (*Obie ciemności*). Jest to jednak jakiś rodzaj wtajemniczenia: „obie ciemności teraz / ta we mnie i ta nade mną / przypadły do siebie na mgnienie / rozpoznały / że stanowimy jedność” (*Obie ciemności*). Znikome i gorzkie to oczywiście pocieszenie. Ale uchwycony został jednak jakiś punkt w istnieniu: „pustka bardziej wymowna od tysiąca słów”. Trzeba przyznać, że wytrwale Urszula Kozioł opowiada o swoich zmaganiach egzystencjalnych, twórczych bólach i cierpieniach duchowych. Jest rejestratorem, który poszukuje własnej realności. W ten sposób zdobywa też ocalający dystans (poprzez żart) do siebie samej (*Moje sylwestry*), do swej samotności „od wielu lat”. Sensem jest dać świadectwo tych wszystkich rozterek i umniejszeń życia, spłoszenia się poezji, zastygania czasu, pojmwania mgnienia życia, utraty perspektywy „jutra”, niewiedzy o „teraz”. Zbiorek zamyka wiersz pełen bardzo trudnego, eschatologicznego lęku i trwogi: „Nagle powiało na mnie chłodem”. Skomplikowany to zbiór, nie podejmujący się kreowania fikcji. Podmiot odarty jest ze złudzeń, bo „odejdę z niczym”. I tylko trzeba dodać na zakończenie, że cechuje te wiersze rozpoznawalny styl, dbałość o umiar obrazowania, o przejrzystość, finezję i wirtuozerię słowa.

Czesław Sobkowiak

Zeszyty bibliograficzne

Zeszyty bibliograficzne ZLP, nr 1 – Mieczysław J. Warszawski, oprac. Mirosława Szott, 44 s.; nr 2 – Eugeniusz Kurzawa, oprac. Eugeniusz Kurzawa, 192 s.; nr 3 – Andrzej K. Waśkiewicz, oprac. Anna Sobecka, 498 s.; Zielona Góra 2019.

Dotarły do mnie trzy książki z serii wydawniczej, której organizacyjnie patronuje oddział ZLP w Zielonej Górze, a szczegółowiej rzecz ujmując: Eugeniusz Kurzawa, człowiek lubiący inicjować, podejmować i realizować różne pomysły literackie, zwłaszcza te

związane z lubuskim środowiskiem pisarskim. Chodzi obecnie oczywiście o nowy rodzaj edytorskiej pracy, której owocem są *Zeszyty bibliograficzne ZLP*, opublikowane w ubiegłym 2019 roku. Redaktorem tej serii, która wchodzi w obieg, jest właśnie

Eugeniusz Kurzawa. I dobrze byłoby – tak sobie myślę i wyobrażam – by ta pierwsza, godna uznania „jaskółka edytorska” nie była jedyną. Pracy na tym polu jest ciągle dość dużo. Kilku pisarzom (Januszowi Koniuszowi, Annie Tokarskiej, Michałowi Kaziowski, Henrykowi Szyklinowi) właśnie takie zeszyty warto także poświęcić. Hitami czytelnicy nie będą, ale dobrze, jeśli zostaną bibliograficznie spisane wszystkie autorskie dokonania twórcze i wszystkie teksty (recenzje, eseje, noty) opisujące ich dzieła. Które są owocami tu spełnionego życia. Wspomniane trzy zeszyty poświęcone są trzem pisarzom. Mieczysławowi J. (Janowi) Warszawskiemu – nr 1, który opracowała Mirosława Szott. Ta książeczka w porównaniu z pozostałymi zeszytami jest niezbyt duża objętościowo, ale budzi we mnie sporo sentymentalnego wzruszenia, jako że Mitek był moim rówieśnikiem. Debiutowaliśmy razem w tym samym numerze „Nadodrza” (1967, nr 7, s. 9) i potem wiele spraw artystycznych i życiowych nas łączyło. Stąd dedykowałem mu wiersze, czego tu nie zauważono. Jednak na ów sentyment wskazują także ze względu na włączenie materiału ikonograficznego w postaci kilkunastu zdjęć, które pokazują człowieka, dodają one coś ważnego do legendy autora i do skarbca pamięci. Żyjemy w czasie dominacji obrazu, więc słusznie są takie rzeczy włączane. Mówią co innego niż słowa, ale mówią. Opis bibliograficzny, ułożony według działów (twórczość, prace o życiu i twórczości autora, nagrody, wyróżnienia, stypendia) byłby klasycznie wystarczający, ale wyłącznie, stricte informacyjny, dobrze więc, że został też wzbogacony o takie wartości jak wywiad i esej, co pozwala to wydanie traktować jako quasi-monografię, czyli nie tylko jako wyliczenie adresów, ale i jako opis intelektualny. Szkoda, że nie sporządzono tu indeksu nazwisk, który sam w sobie też ma wartość poznaw-

czą. Kolejne dwa zeszyty już takowe indeksy posiadają. Jest więc w czym się rozcztywać. Według podobnego modelu kompozycyjnego, w najogólniejszym wymiarze oczywiście (bowiem rozdziały tematycznie są dostosowane do zakresu uprawianej literackiej działalności), została opracowana bibliografia twórczości Eugeniusza Kurzawy (sam autor to uczynił za trwającego życia; zeszyt nr 2) oraz Andrzeja K. Waśkiewicza opracowana przez Annę Sobecką (zeszyt nr 3). Jeśli rzecz poświęcona Kurzawie ma już objętość pokaźną, wyczerpującą informacyjnie od różnych stron, bowiem liczy sobie 192 strony (adresów bibliograficznych jest 1906), plus 4 strony uzupełniającego suplementu, to trzeci zeszyt, dotyczący dzieła i życia Andrzeja K. Waśkiewicza, to niemal 500-stronicowa, duża, gruba księga. Znajdziemy w niej imponujące kompendium adresów bibliograficznych, ponumerowanych, jest ich 5199, które pokazują tego twórcę bardzo szeroko, rzetelnie, uczciwie. Obejmują całe pracowite, aktywne życie. Znajdziemy też wywiady, eseje, fotografie, o których sensie publikowania pisałem wyżej, oraz indeksy nazwisk. Te trzy zeszyty przyprowadzają mnie do zamyślenia i jakoś także wskazują na wartość (potrzebę) nieustawiania w wysiłku, by słowem objąć świat i podmiotowe doświadczenia, dające temu światu świadectwo. Eugeniusz Kurzawa daje się więc poznać, redagując tę serię, jako ktoś, kto chce nasz (i swój) najbliższy obszar literacki wyciągnąć z pewnego cienia. Przypominają mi się różne jego publiczne pytania o znaczenie tutaj powstającej literatury w odniesieniu do ogólnopolskiego kontekstu. Ważne to pytania i wysiłki. Są już trzy zeszyty bibliograficzne, ciekawi mnie tylko jedno, czy, jeśli będą następne, to poświęcone wyłącznie członkom ZLP?

Czesław Sobkowiak

Uduchowanie natury

Justyna Koronkiewicz, *Naturalna kolej rzeczy*, Pro Libris, Zielona Góra 2019, 116 s.

Poprzez opisanie żywiołu natury i zmienności pór roku, mijania czasu, człowiek, zwłaszcza poeta i artysta, zawsze wyrażał swoje przeżycia, doświadczenia i myśli o istnieniu. Takim tropem, a raczej powołaniem, na pełną skalę idzie również Justyna Koronkiewicz w najnowszym zbiorze *Naturalna kolej rzeczy*. Wydany jest pięknie, w okazałym formacie, na dobrej jakości papierze, z licznymi fotografiami różnorodnej natury, drzew, gałązek zapewne sąsiadujących w otoczeniu zamieszkania, w Studziennej u stóp Gór Stołowych. Od razu chcę zasignalizować, że w tę *Naturalną kolej rzeczy*, dotyczącą przede wszystkim kosmicznej natury, która jest obecna wszędzie, niemal na wyciągnięcie ręki, wpisuje poetka bardzo realnie i swój podmiotowy rytm. Poprzez opis szeroko rozumianej przyrody, wszystkich jej żywiołów (ognia, wody, ziemi, wiatru, powietrza) wyraża samą siebie, swoją biologiczność, swoją więź z każdą rzeczą, co więcej, swoje życie wręcz dosłownie rozpatruje poprzez pryzmat przyrody, utożsamia się z nią. Zbliża się do jej materialności, do jej żywiołów tak dalece, że nie tylko czuje się jej częścią, ale dostrzega możliwość i przyznaje sobie takie prawo do sprawowania nad nią różnorodnej opieki, tudzież magicznego zaczarowywania bytu. Czuje wpisany w nią rytm, w to coś innego, duchowego „pod korą”. W tym celu natura we wszystkich kształtach i przejawach jest bardzo wnikliwie poddawana obserwacji. Toteż w wierszach, pisanych epickim stylem, nie mamy do czynienia nigdy z ogólnikowym przywoływaniem czegośkolwiek. Są to zawsze bardzo szczegółowe opisy i przedstawienia tego, co się dzieje obok, na niebie, w ziemi, pod śniegiem, w wodzie, w deszczu, w błocie, w lesie, ale co ważne – nie do końca tylko na zewnątrz, w obserwowanym świecie, lecz i we wnętrzu podmiotu. Każda roślina (flora) i każdy byt zwierzęcy (fauna), bogato tu eksponowane, są przywoływane poprzez konkretną nazwę, a więc poetka rejestruje poetycko: zimorodki, jaskółki, słoneczniki, melisę, miętę, po-

krzywy, bzy, bluszcze, werbeny, nagietki, pomidory, czosnek, bociany, dzikie gęsi, pszczoły, świetliki, świerszcze, pająki, ślimaki, żaby i inne. Można odnieść wrażenie, że wszystkie one, te istnienia, nie są poetce obce, gdyż wewnętrznie oswojone. Bliskie. I pomiędzy nimi a podmiotem poetyckim (duchowym wnętrzem poetki) odbywa się ciągle jakiś mentalny dialog, który bardzo często ma charakter czynionych rytuałów o wręcz pierwotnej proveniencji. To zbratanie z siłami przyrody jest też inicjowane odpowiednimi zachowaniami. Może to być wybijanie rytmu na szamańskim bębnie, może to być jakiś rodzaj melorecytacji odpowiednich, zaklinających słów, jak w mantrze, także taniec rytualny i inne zachowania (nawet zbiorowe) czymś szczególnym nacechowane. Wynika to wszystko, co w tej poezji się dzieje, a dzieje się w każdej porze roku trochę inaczej, z przepełnienia swojej postawy wielką wiarą i uduchowioną pasją, w przekonaniu, że taki właśnie sposób kontaktowania się ze światem ma największy sens. Albowiem oparty jest na przywracaniu i dostrzeganiu wszędzie ezoterycznego sacrum. Sacrum naturalne nie boskie, w opozycji do profanum cywilizacji. Ten sens dodaje sił, nieustannie aktywizuje wnętrze, wyposaża w zapal do bardzo wrażliwego zajmowania się każdą rzeczą, każdą czynnością („Powtarzam na głos nazwy kolorów. Wibruję w powietrzu jak mantra. Zaklinam, przeklinam, rozkopuję zasy. Docieram do uśpionych brązów”). Zawsze można odnieść wrażenie, że towarzyszy tak realizowanej egzystencji wysoki stan uniesienia, radość, nieustający zachwyt i zgoda na wszystko, co się dzieje. Nawet jeśli jesień zwiastuje umiowanie, a zima stan martwoty, to w tej poezji dostrzegana jest perspektywa i potencja na odradzanie się (*Metamorfoza*). Nasionka, ziarenka, pestki, kłaczka, jak we śnie, czekają na wiosenne przebudzenie do wzrostu i podobne procesy poetka obserwuje u siebie („Wysiewamy myśli w rozsądniku. Wiosną puszcza świeże pędy”). Świat to nie-

ustanne rodzenie się, vitalność. Śmierci w zasadzie nie ma, umiera to, co materialne, ciało, lecz duchowa istotność przybiera kosmiczną postać. Tak więc i byt bliskiej osoby można rozpoznawać w najdrobniejszych roślinach. Z tych powodów, które przedstawiłem, uważam, że mamy tu raczej do czynienia z rytuałem, w którym – jak wiadomo – nie ma miejsca na dystans ani na intelektualną refleksję. Z żadnym byciem obok tego świata, ale wyłącznie we wnętrzu. Świat tyleż jest przedmiotem, co podmiotem. Harmonia jest więc możliwa. Chcę zauważyć, że całą swoją osobowością poetka Justyna Koronkiewicz jest zaangażowana w takie właśnie istnienie, które chce i ma być wolne od dylematów kulturowych, moralnych, politycznych, a zwłaszcza od sceptycyzmu i nihilizmu obecnej epoki. Wolne jest też od jakichkolwiek dramatyzujących gradacji duchowych. Poetka pisze: „Można tak żyć. Zapuszczać korzenie. Bez patrzenia na czas, potykania się o własne nogi i wielkie filozofie”. Chodzi bowiem o nadzwyczajność każdego gestu, wrażenia i obserwacji, o całkowitą harmonię bycia, o „Iśnienie na skórze”: „Wypijmy kompot z malin. Ty zapalisz fajkę. Obłok dymu ukołysze się”, „Dźwięki dotykają chmur”. Jest bez wątpienia pięknie, beztrosko, prawie jak na wakacjach, ale czy prawdziwie? Czy wiarygodnie: „Moja skóra napina się i pęka. Ciało jest pestką. Sięga korzeniami w głąb ziemi”. To wystarczy? Dopatruję się w tak realizowanej poezji sporej dozy ułudnego nastawienia, bowiem poetka też przyznaje, że to, co niewygodne, usuwa z pola widzenia: „Przeganiam zimowe sny. Za dużo w nich śmierci, a ja wierzę w życie”. Poetka szamańskim rytuałem chce więc świat kreować, wtajemniczać swoją kobiecością powołaną i uprawnioną do kreatywności, wszystko upiększyć i uniezwyklić, także w akcie erotycznym. Mężczyzna, jest też tu obecny,

ale raczej w tle. Ma swoje miejsce w tym świecie, jest uczestnikiem, jednak główny ton wszystkiemu nadaje widzenie kobiece. Arkadia została odkryta i osobowo stworzona, słowem wyrażona. Jest wyrażona rzeczywistość podmiotowa, poetycka, ale siłą rzeczy funkcjonuje w pewnych granicach, za którymi czyha obiektywny świat z bezlikiem zagrożeń. Ta poezja ukierunkowana mistycznie w moim odczuciu ma charakter jakby eksperymentu mentalnego, osobowego, anizeli wskazuje na rzeczywistość o trwałych podstawach. Zastanawiam się, czy da się długo takie nastawienie utrzymać. Zaprezentowaną w zbiorze realność odbieram jako niemal zabawę dziecięcą, oczywiście szczerą, pełną egzaltowanej afirmacji, zapалу, entuzjazmu, za wszelką cenę afirmacji (podtrzymywaną), anizeli postawę, która uwzględni kryzysową naturę współczesności. „Przyglądam się jaszczurkom, korze na świerkach. Wsiąkam w przydrożne kamienie”. Ta widoczna żarliwość przekazu, namiętność i manifestowana szczęśliwość możliwa jest tylko poprzez wyodrębnienie się ze skomplikowanego otoczenia cywilizacji. Myślę, że arkadyjskość tego zbioru jest dość iluzoryczna, jakby podmiotowe widzenie przepuszczane było przez jakiś filtr, nie do końca mając mocną, realną podstawę. Mity i tęsknoty człowieka do ucieczki w jakiś dziewiczy krąg na rajską wyspę, by żyć w pełnej symbiozie z naturą, nigdy nie miały racji bytu. Zawsze były tylko pięknym snem. Chcę być jednak sprawiedliwy, mimo pewnych wątpliwości ideowych uważam, że są to wiersze napisane żywym, dobrym, bogatym, niebanalnym językiem, poetka unika schematyczności widzenia, świetnie uszczegółowia opisy. Panuje nad żywiołem słowa. Od tej strony patrząc, należy się Koronkiewicz uznanie.

Czesław Sobkowiak

Kamień milowy popkultury

Jacek Dehnel, *Ale z naszymi umarłymi*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019, 316 s.

Najnowsza powieść Jacka Dehnela nawiązująca swoim tytułem do dzieła Marii Janion jest niejako odwrotnością zwyczajowego trendu: pisarz fantasta przenoszący się ze swoją twórczością do nurtu głównego. Tym razem pisarz o uznanym dorobku głównego nurtu postanowił napisać powieść popliteracką. Co zaskakuje, właściwie żadnemu krytykowi nie potrafi przejść przez gardło połączenie nazwiska Dehnel ze słowem fantastyka. Jakby dokonywało to desakralizacji osoby pisarza. Znamiennym jest to, że książka powstawała przez wiele lat, jej początki można odnaleźć w *Dzienniku roku chrystusowego*, pierwotnie mając być filmem, serialem. To również mocno rzutuje na sposób i formę, w jakiej przedstawiane są fakty, jako połączenie popkulturowych wątków z romantyczną manią fantastyczności. Sam Dehnel, kiedy wspomina o wczesnych wprawkach do dzieła, nazywa je „powieściami o Zombie”. Przychylne i negatywne recenzje skupiają się wyłącznie na odniesieniach i hiperbolizacjach realiów Polski, a jednak jest to powieść postapokaliptyczna, świat się niby kończy, a bohaterowie są zmuszeni do życia w jego pozostałościach. Można ją czytać, nie tylko odnosząc się do ukrytych aluzji, ale też zupełnie je pomijając, zabawa jest taka sama.

Powieści patronują: myśl Marii Janion – *Do Europy tak, ale z naszymi umarłymi* i *Pieśń Konfederatów Barskich* Słowackiego. To nowy kamień milowy popkultury, ironiczny oraz skądinąd obrazoburczy. Doskonały dowód na to, że można napisać dobrą powieść w konwencji popularnej. Jest ona nie tyle prześmiewcza w swojej grotesce, co wręcz przerażająca. Żywe trupy pełnią tu rolę alegorii staczającego się społeczeństwa. Kiedy tylko rodzime zombie, ale nasze, dobre, bo polskie, czyli z odpowiednią nazwą – antenaci, zaczynają odnosić pod przewodnictwem historycznych wodzów narodu zwycięstwa, trupomania szerzy się wszędzie. W telewizji, gdzie dziennikarze, poprzebierani w żupany i kontusze, wyśpiewują peany na cześć dzielnych zdobywców, w sejmowych salach, w których najpierw nieśmia-

ło, a potem coraz częściej mówi się o odrodzeniu Rzeczypospolitej i sprawiedliwości dziejowej, na ulicach, które przypominają XVI-wieczną Warszawę, przemieszaną z tekstylnym patriotyzmem, a także w duchowieństwie, które po upadku Watykanu skupia się na wyborze spośród siebie nowego papieża, dotując nowo powstałe, na wzorcach gotyckich, kulty martwych. Trupy nie krzyczą, ale Polacy już tak. Parafrazują *Gott mir uns!* Albo my, albo nikt, bowiem martwi Polacy wszystkich krajów łączą się.

Sprężyna absurdu nakreśla się do granic możliwości, a kiedy pęka, nikt już nie może jej powstrzymać. Autor początkowo lubuje się w opisach wodzów i ich działań. Pokazuje też swoje spojrzenie na dzisiejszą historię dziejów. Pomimo tego, że wstaje każdy bohater narodowy, Dehnel wstrzymuje się z opisem działań właściwie każdego antenata zmarłego po drugiej wojnie światowej. Szczególnym smaczkiem są Skamandryci i „Inni pożałuj boże artyści”, którzy zamiast krzewienia polskości poza granicami zajęci są odzyskiwaniem swoich ulubionych kafejek i restauracji.

Wszystko stoi na głowie do momentu, kiedy sam pisarz wycofuje się ze swojej wizji. W swoim rozliczeniu ze wszystkim i wszystkimi udowadnia, że zawsze można się cofnąć. Na dowód przytoczyć można dwie postaci z historii nowożytnej naszego kraju, które oszczędza. Zapewne pamiętając najśawniejsze zdanie jednej z nich. Pozostaje pytanie, czy powodowany jest tu szacunkiem, czy strachem. Dla mnie jest to dowód, że nieistotne, jak mocno zabrnijemy w jakąś ideologię, zawsze możemy zrewidować swoje przekonania.

Tekst nie oszczędza też popkultury, a właściwie jej ponowoczesnej odłony, subtelnie wyjaśnia różnice między „poliawkowaniem” a polubieniem. Komiczne sytuacje nie tylko stanowią przeciwwagę dla wartkiej akcji, są dodatkowo żartem w stylu Barei, gdzie najpierw czytelnik uśmiecha się, a potem ze smutkiem kiwa głową. Bowiem w końcu wyśniona okazja do zaistnienia i rozruszania turystyki: rodzime żywe

trupy, powstające tylko u nas, przegrywają bitwę o uwagę mediów, nie z podobnie surrealistycznym wydarzeniem, a z „tym co zawsze: aferą korupcyjną w Ministerstwie...”. Dehnel podkreśla też nierzadko towarzyszące czytelnikom wrażenie, że „wiadomości odkleily się od rzeczywistości jeszcze bardziej niż za czasów dotychczasowej propagandy”, to jednak największą wadą wydaje się dość jednostronny ogląd sytuacji, powieść walczy z wszechobecną manią martyrologiczną, tym, że nic wspaniałego nie dzieje się w kraju nad Wisłą, a jednak, mimo tak ważnego tematu sam Dehnel, choć nie oszczędza, to też martyrologizuje swoich bohaterów. Co smuci. Bo o ile potrzebny jest kontrast, to skala szarości wypełniona jest tu wątkami postaci epizodycznych. Irytujące jest to, że choć na początku główni bohaterowie mają swoje wady, to na koniec stają się kryształowi, każde z nich pozbywa się swoich przywar, stając się jednoplanową aluzją polityczną.

Po ścieżkach odniesień

Michał Banaszak, *Miejsca*, Drukarnia Grafpress, Olkusz 2018, 49 s.

Warto zaznaczyć, że w XXI wieku istnieją jeszcze poeci, których tomiki sprzedają się niemal na pniu. W tym przypadku najnowszy tomik zielonogórskiego prawnika jest już niedostępny. Trzydziestoletni poeta hołduje zasadzie *opus manuum artificis*, w każdym wierszu zaznaczając swoim dźwiękiem, że najistotniejszymi w jego fidiuszowskim zamyśle są Zasady i Forma. Nie obawia się on nawiązań nie tylko do formalizmu barokowego, sonetów krymskich, poezji prowansalskiej, ale i korzeni sztuki, takich jak pantum.

Wydaje się jednak, że jest to tomik szczególnie ważny, ponieważ stanowi opozycję dla nowocześniejszej mody poetyckiej: tylko jeden wiersz osadzony jest w realiach doczesnych, pozostałe zaś po pierwszym czytaniu ukazują skryte pod komunikatywnością znaczenia donośniejsze. Czy to w postaci po-

Mistrzowski język, jednocześnie zawierający czytelne odwołania leksykalne, nowatorska konwencja, odwracająca postać zombie, dodająca ważny argument do dyskusji o literaturze popularnej, bo pomimo że popularna, to jednak kanoniczna, nadaje powieści prekursorskiego charakteru. Doskonały przegląd topoi literatury pięknej, który jest demaskacją pustego patriotyzmu. Uniwersalność, dzięki intertekstualności odnosi czytelnika do niesamowicie bogatego zbioru literatury, jednak niemożliwym jest znalezienie nawiązań do innych tekstów kultury o żywych trupach.

Niestety razi brak konsekwencji, zaskakującego zwrotu akcji. Sam wątek romansowy dość szybko przesłania właściwe wydarzenia, można powiedzieć, że stanowi kotwicę, która pozwala udowodnić, że mimo całego absurdu życie toczy się dalej. Jednak idylliczność i sielankowość stanowią boleśnie przesłodzoną równowagę dla niezwykle ciekawej fabuły.

Klaudiusz Mirek

szukiwania absolutu, relacji międzyludzkich, wątpliwości egzystencjalnych czy fenomenologii spaceru.

Nie sposób przejść obojętnie nad zawodowymi wyznacznikami stylu Banaszaka, jego prawniczy socjolekt oraz operowanie pewnikami powodują, że obraz kreowany w twórczości jest nie tylko spójny, ale i realny. Choć miejsca opisywane dla regionalnych czytelników wydają się oczywiste, są również uniwersalne, w końcu stały się pomnikami dzisiejszych i minionych czasów.

Miejsca są podróżą nie tylko topograficzną, ale też metafizyczną, bowiem te kamienie milowe stają się bramą, która pozwala czytelnikowi zajrzeć na chwilę do planu, gdzie materializują się abstrakcje, podmiot liryczny w ten sposób wyciąga na wierzch codzienne lęki, poszukiwania mrocznej strony zwyczajności w skali mikro. Niekiedy perspektywa przy-

muje kąt widzenia dziecka, nadając znaczenia, powoduje refleksję nad otaczającą rzeczywistością.

Stylistycznie tomik wydaje się naturalną kontynuacją poprzedniego, dalej widoczna jest niezmierna fascynacja codziennością, poszerzając poprzednio zaszerwowane na kartach *Piosenki o rozpadzie* doświadczenia czytelnicze o kolejne aspekty: utratę, daremność, rozpacz i miłość. Autor po raz kolejny stosuje wszelakie wybiegi, zamiast

dać czytelnikowi wizję, zmusza go do podążania za swoim wzrokiem, malując realność (jednak nie oceniając jej). Banaszak za pomocą tych dwóch tomików udowodnił, że upragnione dla większości poetów zaistnienie na poziomie ogólnopolskim nie wymaga gargantuicznego nakładu czy uczestnictwa w życiu lokalnej koterii, balsamizacja w środowisku może nawet w tym przeszkadzać.

Klaudiusz Mirek

Sześćdziesiąt cztery kroki na równoważni

Elżbieta Dybalska, *Białe, Organon, Zielona Góra 2019, 83 s.*

Wydany w ubiegłym roku tomik Elżbiety Dybalskiej *Białe* można uznać za nieoczywiste dzieło. Poetka choć nie uważa się za przedstawicielkę nurtu regionalistycznego, to uciekając od niego, staje się ofiarą fatum.

Estetyczność formy jest odzwierciedlona w strukturze dzieła. Czyste, bezpretensjonalne i nacechowane dbałością o język strofy doskonale ze sobą współgrają. Trzon tomiku składa się z lejtmotywów – i tych oczywistych, paratekstualnych, jak cytaty i zdjęcia kamieni, przewijające się przez cały tomik, dzieląc go na mniejsze części, jak i wewnętrztekstowych, okalających całość zebranych tekstów – łązy i deszcz, które rozgałęziają się na impresjonistyczne obrazy miejsc oraz widoków: „pod stopą / cały świat / majowa łąka / gorący piasek / i białe kamienie / niebo w kałuży / wokół horyzont / deszcz dolewa też ziemi / całuje mnie słońce / takie to moje miejsce / słyszę ciebie”. Pozwalają one choć na kilka chwil spojrzeć na codzienne wydarzenia okiem poetki, która nie tylko widzi i zapisuje, ale również odczuwa. Szczególnie poruszający jest wiersz *Pięta*, odwołujący się do toposów jednego z arcydzieł literatury polskiej, *Posłuchajcie Bracia Miła*. Motywy nie są tu jedynie statyczne, toczą walkę ze sobą, kamienie erodują pod płynnymi strofami pozbawionymi opuszczeń czy błędów logicznych. Tytuły wierszy wiążą się z ich treścią, a spójność całego dzieła zasługuje na szczególną pochwałę. Sześćdziesiąt

cztery wiersze łączy nie tylko nastrój, ale również ciąg myślowy strumienia świadomości.

Niestety jest to też główny zarzut do twórczości Dybalskiej. Bowiem trudno nie odnieść wrażenia, że całą poezję sprowadza ona do terapii. Autorka niejako przytłacza czytelnika swoimi doświadczeniami, które odbiorca przeżywa wraz z nią. I to nie byłoby dużym zarzutem, gdyby nie wszechobecne żal i strata, niejako spowijające w mroku jasną postać podmiotu lirycznego: „pocałowałam ciebie / w moje imieniny / wiedziałam że odchodzisz / w jednym geście / powitanie i pożegnanie / ślady miłości”. Lament niesamowicie dominuje czytelnika, a lejtmotywy stają się klatką, z której nie można uciec.

Pomimo tego, to właśnie ta dwoistość czyni tomik wyjątkowym. Pokazuje, że każdy obraz może kryć dwa aspekty historii. Równowaga pomiędzy ascetyczną bielą a czernią żalu nie jest przecież prosta do utrzymania.

Doskonałym podsumowaniem całości jest tytułowy wiersz *Białe*, który łączy w sobie delikatność formy z trudnymi emocjami. Autorka przeciwstawia w nim przytłaczające uczucie niesprawiedliwości: „opuszkami palców / szukam garbatego losu”, z delikatnością miłości, której doświadczyła: „na filizance złota róża / rozkwita miłośnię / porcelanowy komplet / kruchy a wieczny”.

Klaudiusz Mirek



(zgłoszenia)

Lubuski Wawrzyn Literacki

Proza

Hanna Bilińska-Stecyszyn, *Pelunia*, Związek Literatów Polskich, Oddział w Zielonej Górze, Lubniewice 2019.

Łucja Fice, *Druga strona grzechu*, WFW, Warszawa 2019.

Roman Habdas, *Żgajoki i inne opowiadania*, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta, Gorzów Wielkopolski 2019.

Agnieszka Jordan-Gondorek, *Dziewczyna z warkoczem*, Replika, Poznań 2019.

Ewa Kołodziejczyk, *Jaszczurka Czyczy na zachodzie Polski*, BeCreative, Warszawa 2019.

Anna Konstanty, *Cztery do kwadratu*, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry WINNICA, Zielona Góra 2019.

Włodzimierz Korsak, *Piękno w lesie*, opracował Henryk Leśniak, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta, Klub Kolekcjonera i Kultury Łowieckiej PZŁ, Zarząd Okręgowy Polskiego Związku Łowieckiego, Gorzów Wielkopolski 2019.

Marek Krukowski, *Jamimoje*, Zielona Góra 2019.

Leszek Libera, *Buks Molenda*, przeł. Sława Lisiecka, Wydawnictwo OD DO, Łódź 2019.

Zofia Mąkosa, *Wendyjska winnica – Winne miasto*, Publicat, Poznań 2019.

Wojciech Obremski, *W krainie siedmiu słońc*, Novae Res, Gdynia 2019.

Marcin Radwański, *Miłość*, e-bookowo.pl, Będzin 2019.

Marek Ratajczak, *Jak wiśnia w kompot*, LaGe Publishing, Paderborn 2019.

Aldona Anna Reich, *Tylko dobrze ludzie zostali*, Literacko.com.pl, [Zielona Góra] 2019.

Jadwiga Rupieta, *Odcienie życia*, Żary 2019.

Artur Wodarski, *Drzazg*, Związek Literatów Polskich, Oddział w Gorzowie Wielkopolskim, Gorzów Wielkopolski 2019.

Jerzy Beniamin Zimny, *Róże z Montreux*, Związek Literatów Polskich w Poznaniu, Poznań 2019.

Poezja

Elżbieta Bielska-Kajzer, *Nie zapomnij, że byłeś*, Urząd Miejski w Nowej Soli, Nowa Sól 2019.

Stanisław Bryk, *Antologia zrodzonych myśli*, Zielona Góra 2019.

Hanna Chmielewska, *W poszukiwaniu łaski*, Liberum Verbum, Wrocław 2019.

Elżbieta Cipora, *Moja tekstura*, Trzebiechów 2019.

Renata Diaków, *Umarłam dla Ciebie. Nareszcie*, Font, Poznań 2019.

Elżbieta Dybalska, *Białe, Organon*, Zielona Góra 2019.

Roland Hellman, *Gedanken – Myśli*, Hellman Eurocolor, Zielona Góra 2019.

Tomasz Jankowski, *W Zielonej Górze na deptaku*, Ad Rem, Nowa Sól 2019.

Halina Jerulank, *Dotykam Cię tylko myślami*, Pro Libris – Wydawnictwo WiMBP im. Cypriana Norwida, Zielona Góra 2019.

Beata Patrycja Klary, *Martwia*, Zaulek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2019.

Ewa Kołodziejczyk, *Lirycznie*, Biblioteka Poetycka Wydawnictwa BeCreative Polska, 2019.

Justyna Koronkiewicz, *A jednak boli*, Miejska Biblioteka Publiczna w Świdnicy, Świdnica 2019.

Justyna Koronkiewicz, *Naturalna kolej rzeczy*, Pro Libris, Zielona Góra 2019.

Katarina Lavmel, *Anturaż*, Font, Poznań 2019.

Zbigniew J. Łepkowski, *Księżyc mojego niepokoju*, Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów, Zielona Góra 2019.

Paweł Łęczuk, *Small talk*, Forever Young Books, Warszawa 2019.

Sebastian Piórkowski, *XXXIII*, Liberum Verbum, Wrocław 2019.

Ala Rabiko Woźniak, *Naiwna sztuka słowa*, Liberum Verbum, Wrocław 2019.

Czesław Sobkowiak, *Powszednie niebo*, Pro Libris – Wydawnictwo WiMBP im. Cypriana Norwida, Zielona Góra 2019.

Maciej Stojek, *Wiersze wymięte skrawkami opowiadań*, Liberum Verbum, Wrocław 2019.

Krzysztof Szkułatowski, *Pięćdziesiątka*, Gut and Berg, Gdańsk 2019.

Elżbieta Wancław-Chłopik, *Budzenie umarłych*, Liberum Verbum, Wrocław 2019.

Marzena Więcek, *Hekabe Suka liże wiatr*, Pro Libris – Wydawnictwo WiMBP im. Cypriana Norwida, Zielona Góra 2019.

Marek Lobo Wojciechowski, *Dzień kreta*, Wydawnictwo Kwadratura, Łódź 2019.

Irena Zielińska, *Śpiewam ciszę*, Adam Marszałek, Toruń 2019.

Lubuski Wawrzyn Naukowy

Tomasz Andrzejewski, *Nowa Sól – dzieje miasta*, Muzeum Miejskie w Nowej Soli, Nowa Sól 2019.

Dorota Angutek, Artur Kinal, Jerzy Leszkowicz-Baczyński, Magdalena Pokrzyńska, Agnieszka Urbaniak, *Winiarska i bachiczna tradycja Zielonej Góry. Studia i szkice społeczno-kulturowe*, Epigram, Bydgoszcz 2019.

Ryszard Asienkiewicz, Józef Tatarczuk, Artur Wandycz, *Dziecko lubuskie. Poziom rozwoju fizycznego chłopów i dziewcząt w wieku 7-18 lat w świetle wybranych czynników społecznych i środowiskowych. Normy biologiczne*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2019.

Grzegorz Biszczyński, *Nieznane twarze Zielonej Góry*, Stowarzyszenie FORUM ART, Zielona Góra 2019.

Andrzej Buck, *Czasopisma literackie młodych i dla młodych po 1945 roku*, Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich / Pro Libris, Warszawa 2019.

Andrzej Buck, Monika Simonjetz, Dawid Kotlarek, *Miejsce spotkań. Biblioteka jako przestrzeń społeczna (na przykładzie województwa lubuskiego)*, Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich, Warszawa 2019.

Dariusz Chajewski, *Polska Toskania. Przewodnik po Ziemi Lubuskiej*, Polska Press, Zielona Góra 2019.

Andrzej Kirmel, *Pierwsi Męczennicy Polski z Międzyrzecza*, Muzeum Ziemi Międzyrzeckiej im. Alfa Kowalskiego, Międzyrzecz 2019.

Urszula Kołodziejczyk, Czesław Karczmarski, Marta Gortych, Jakub Kostecki, *Geośrodowiskowe uwarunkowania Polderu Miłsko*, Instytut Inżynierii Środowiska Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2019.

Małgorzata Konopnicka, *Sulechoviensia: historyczne zapiski encyklopedyczne od 1945 r. do współczesności*, Gmina Sulechów / Vega Studio Adv., Kwidzyn – Sulechów 2019.

Jacek Kotuła, *W służbie św. Apolonii. Rozwój lecznictwa stomatologicznego w Zielonej Górze w latach 1945-1989*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2019.

Krzysztof Kowerko, *Świebodzińscy bohaterowie Niepodległej. Życiorysy wybrane*, Muzeum Regionalne Świebodzin, Świebodzin 2019.

Literaci w Gorzowie. Pod skrzydłami Pegaza, Związek Literatów Polskich w Gorzowie Wielkopolskim, Gorzów Wielkopolski 2019.

Lubuskie zamki i pałace w obiektywie Adama Sowy, red. Igor Myszkiewicz, Stowarzyszenie FORUM ART, Zielona Góra 2019.

Mirosław Marciniak, *Gozdnica – Miasto Ceramików. Spacerownik*, Kraków 2019.

Beata A. Orłowska, Krzysztof Wasilewski, *Kresy Wschodnie II RP we współczesnej pamięci zbiorowej mieszkańców Ziemi Lubuskiej*, Wydawnictwo Naukowe Akademii im. Jakuba z Paradyża, Gorzów Wielkopolski 2019.

Jadwiga Parecka, *Słownik gwary bukowińskiej z lubuskiej Brzeżnicy i jej okolic*, Oficyna Wydawnicza DEKORGRAF, Żagań 2019.

Partnerskie miasta dawniej i dziś. Sulechów-Fürstenwalde (album fotograficzny), Urząd Miejski w Sulechowie, Sulechów 2019.

Powiat żarski (do 1815 roku), oprac. Paweł Karp, Adam Górski, Adam Marszałek, Toruń 2019

Małgorzata Pytlak, *Późnośredniowieczny warsztat garncarski ze Smolnicy. Rekonstrukcja procesu wytwarzania naczyń*, Muzeum Lubuskie im. Jana Dekerta w Gorzowie Wielkopolskim, Gorzów Wielkopolski 2019.

Robert Rudiak, *Fenomen Michała Kaziowa. Monografia*, Związek Literatów Polskich w Zielonej Górze, Zielona Góra 2019.

Robert Rudiak, *Ruch literacki na Środkowym Nadodrzu w XX i XXI wieku*, Związek Literatów Polskich w Zielonej Górze, Zielona Góra 2019.

Jolanta Skierska, *Bezpieczeństwo socjalne mieszkańców Zielonej Góry w latach 1950-1956 w świetle protokołów Komisji Zdrowia oraz Komisji Pracy i Pomocy Społecznej przy Miejskiej Radzie Narodowej w Zielonej Górze*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2019.

Beata Trzop, *Mężczyźni (nie)dzisiejsi: dylematy wokół współczesnych wzorców męskości*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2019.

ZIN! Zielonogórska twórczość alternatywna, oprac. merytoryczne Igor Myszkiewicz, Aleksandra Mrówka Łobodzińska, Stowarzyszenie FORUM ART, Zielona Góra 2019.

Lubuski Wawrzyn Dziennikarski

Zbigniew Bodnar – Radio Zachód

1. *Zanim pójdę spać, muszę pochować wszystkie noże.*
2. *Jerzy Witold Solecki – powstaniec warszawski.*
3. *Umarli, a mimo to żyją... w pamięci.*
4. *Józef Mazur – więzień stalinowski.*

Zbigniew Borek – „Gazeta Lubuska”

1. *Kulisy śmierci szefa antyterrorystów* [29-30.06.2019].
2. *Ja bohater? Jeśli już, to dla syna – mówi Andrzej, który uratował ludzi z ognia* [22-23.06.2019].
3. *Jak z pobicia zrobić pogrom* [20-21.07.2019].
4. Reportaż *Ile razy trzeba się schylić*, w zbiorze *Wstając z kolan. Reportaże o „dobrej zmianie”*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2019.

Dariusz Chajewski – „Gazeta Lubuska”

1. *Takie to były czasy. Katów i ofiary wrzucono do jednego worka* [3-4.08.2019].
2. *Stefan Niesiołowski. Wartość dodana, czy zmarnowane głosy wyborców* [16-17.02.2019].
3. *Smród, brud i... miliony na wysypiskach* [19-20.01.2019].
4. *Ja muszę umrzeć... Podwójny agent ścięty z winy polskiego wywiadu* [25-26.05.2019].

Ponadto: *Polska Toskania* – film i przewodnik.

Regina Dachówna – reportaże „Przegląd”

1. *Autobusy pod zielonym napięciem.*
2. *Sprzedam pałac za złotówkę.*
3. *Rodzinnie z noblistką.*
4. *Prezydent żegnany ze smutkiem.*

Natalia Dyjas – „Gazeta Lubuska”

1. *Irańczyk w Polsce czuje się jak ryba w wodzie* [7.06.2019].
2. *Złotkiem nie byłem. Teraz chcę pomóc innym ludziom* [2-3.02.2019].
3. *Noblistka Olga Tokarczuk? Dla nas nadal jest Oleńka* [19-20.10.2019].
4. *Po upadku nie może chodzić. Marzenie? Stanąć na nogi* [29.01.2019].

Cezary Galek – Radio Zachód

1. *Gdzie jest kolczyk Karin Wolff* [29.12.2019].
2. *80 lat miłości do Wilna* [19.07.2019].
3. *Brudne ręce* [27.07.2019].
4. *Rodzi się nadzieja* [20.12.2019].

Eliza Gniewek-Juszczak – „Gazeta Lubuska”

1. *Myszka w klatce, a człowiek poszedł do piachu* [27-28.04.2019].
2. *Antybiotyk za 8 zł mógł uratować życie mojej mamy – uważa córka* [15-16.06.2019].
3. *Najbardziej tajemnicza święta działa w Nowym Miasteczku* [27-28.07.2019].
4. *Kto jest winien śmierci mężczyzny?* [16-17.11.2019].

Kamil Hypki – Radio Zachód

1. *Granica* [1.09.2019].
2. *Nie zostawiłem was* [8.09.2019].
3. *Sześciu z Żagania* [29.09.2019].
4. *Oderblick* [6.10.2019].

Jacek Katos-Katarzyński (Materiały filmowe WWW Gazety Lubuskiej)

1. *Pozytywna terapia według Łokciewicza – WIRTUALNE POZDROWIENIA.*
2. *PLATIE – Fashion made in Ukraine.*
3. *Joanna od psów i kotów.*
4. *JA CIEBIE TEŻ – spektakl teatralny przed premierą filmową.*

Jakub Kłyszczek – „Tygodnik Regionalna”

1. *Zgrana para. W aucie i życiu* [6.07.2019].
2. *Mistrzowie. Nie tylko w czwartki* [22.06.2019].
3. *Motor zamiast saksofonu* [23.02.2019].
4. *Pozostały tylko wspomnienia* [26.10.2019].

Kacper Kubiak – fotoreportaże internetowe

1. *Pod sceną festiwalu Pol'and'Rock* – WWW „Gazety Lubuskiej”.
2. *Festiwal kolorów bez kolorów* – WWW „Gazety Lubuskiej”.
3. *Drużyna Wataha Football Zielona Góra* – FaceBook Wataha.
4. *Marsze Równości w Lubuskim* – Facebook Instytutu Równości w Warszawie.

Andrzej Loch – TVP3 Gorzów Wlkp.

1. *Bitwa Regionów: Zabytki* [25.05.2019].
2. *Bitwa Regionów: Park* [19.05.2019].
3. *Bitwa Regionów: Rowery* [5.05.2019].
4. *Kalejdoskop: noc Biologów – zaproszenie* [9.01.2019].
5. *Święta z jajem* [22.04.2019].

Maciej Piotrowski – TVP1

1. *Generał* – TVP1 Magazyn Śledczy.
2. *Niewinny pedofil*, TVP1 Alarm.
3. *Stanica za milion, czyli afery PZW*, TVP1 Magazyn Śledczy.
4. *Awantura o kurnik*, TVP1 Alarm.

Mateusz Pojnar – „Tygodnik Krag”

1. *Świat chłopca z autyzmem* [2.04.2019].
2. *Epitafium dla Stanisława Łomnickiego, bezdomnego artysty* [10.09.2019].
3. *Martyna Kierczyńska zamknie się w klatce* [24.09.2019].
4. *Robiła grafiki dla Washington Post czy amerykańskiego „Playboya”. Kim jest Ewelina Dymek?* [15.10.2019].

Mariusz Pojnar – „Newsweek”

1. *Gozdnica potrzebuje cudu* [Newsweek Extra 2/2019; nr indeksu 280119] – „Tygodnik Krag”
2. *Wierni chcą odwołania proboszcza. Co zrobi biskup Lityński?* [2.04.2019].
3. *Dwie nastolatki pobiły kolegę z klasy* [23.04.2019].
4. *Żużlowe marzenie z dzieciństwa spełnione* [11.06.2019].

Paweł Ptaszyński – Radio Zielona Góra, Ptak przy Kukułczej

1. *Interwencje, historia i wpadki* [19.03.2019].
2. *Jacek Białogłowy komentuje* [26.03.2019].
3. *Radio wczoraj, dziś i jutro* [9.04.2019].
4. *Internet i komputery* [28.05.2019].

Michał Szczęch – „Pismo. Magazyn Opinii”

1. *Matka Boska rozkłada ręce* [30.04.2019].
 2. *Cudów brak* [1.07.2019].
 3. *Na psa urok* [1.11.2019].
- „Tygodnik Regionalna”, cykl artykułów: *Jak pani Basia ratowała Ryśka* [30.11.2019].
To był ostatni dzwonek [7.12.2019].

Elżbieta Wozowczyk-Leszko – Radio Zachód

1. *Pionierka* [9.01.2019].
2. *Jesteśmy częścią natury* [13.11.2019].
3. *Lekcja migania* [16.10.2019].
4. *Nie jesteśmy niewidzialni* [4.12.2019].

A

AUTORZY NUMERU

Janusz Barwik

Urodził się w 1988 r. Z wykształcenia portugalista, interesuje się literaturą piękną, antropologią kulturową i ochroną środowiska.

Łukasz Barys

Prozaik, laureat konkursów literackich (m.in. 2. miejsce w 20. Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukszy w Kargowej).

Urszula M. Benka

Urodziła się w 1953 r. we Wrocławiu. Pisarka, poetka, recenzentka, redaktorka, nauczyciel akademicki, doktor nauk humanistycznych. Stypendystka rządu francuskiego, Europejskiej Organizacji Niezależnych Intelktualistów w Paryżu, dwukrotna stypendystka Ministerstwa Kultury w Polsce oraz Rządu Saksonii. Debiutowała wierszami w czasopiśmie „Sigma”, następnie wiersze, opowiadania, recenzje i artykuły drukowała m.in. na łamach „Literatury”, „Nowego Wyrazu”, „Odry”, „Konfrontacji” i „Kontaktów”. Laureatka wielu konkursów i turniejów poetyckich. Współpracowała z polskimi czasopismami emigracyjnymi (np. „Zeszyty Literackie”). Będąc w USA, podjęła współpracę z nowojorskim „Kurierem” i „Nowym Dziennikiem”. Została członkiem amerykańskiego PEN Clubu. W 1979 wstąpiła do ZLP. W 1991-1992 publikowała w „Akcencie” cykl felietonów pt. *Listy z Nowego Jorku*. W 1991 powróciła do Polski, zamieszkała początkowo w Katowicach, gdzie m.in. w 1992-1994 uczestniczyła w działaniach artystycznych autorского teatru męża, Andrzeja Urbanowicza, Oneiron 2. W 1991 została członkiem SPP. Od 1994 r. mieszka we Wrocławiu. Twórczość Benki była tłumaczona na wiele języków, m.in. na angielski, czeski, fiński, francuski, niemiecki, szwedzki, rosyjski.

Halina Bohuta-Stapel

Publicystka, poetka, prozatkorka. Uczestniczka i laureatka konkursów literackich, autorka 5 tomików poetyckich. Publikuje w pismach: „Obrzeża”, „Pegaz Lubuski”, „Pro Libris”, „Gazeta Lubuska”, „Grünberger Wochenblatt” oraz na portalu internetowym pkpzin. Członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów, laureatka prestiżowych nagród literackich i regionalnych (Nagrody Kulturalnej Wójta Gminy Świdnica za rok 2009). Wraz z Aleksandrą Stukowską-Matusiak prowadzi Literacki Kabaret Dojrzałych Dam.

Agata Buchalik-Drzyzga (1940-2013)

Absolwentka wrocławskiej PWSSP/ASP (dyplom w Pracowni Grafiki u prof. S. Dawskiego). Zajmowała się grafiką warsztatową i użytkową, tkaniną artystyczną, malarstwem sztalugowym, sztuką papieru oraz ekslibrisem. Autorka kilkudziesięciu wystaw indywidualnych i zbiorowych. Laureatka szeregu prestiżowych nagród, wyróżnień, odznaczeń i medali. Także pedagog, w latach 90. dyrektor zielonogórskiego BWA. Całe życie zawodowe związana z Zieloną Górą.

Marian Bugajski

W latach 1967-1972 studiował filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim. Stopień doktora uzyskał na tymże uniwersytecie w roku 1979, a w roku 1988 stopień doktora habilitowanego. Od 1992 r. związany z Zieloną Górą, najpierw jako profesor Wyższej Szkoły Pedagogicznej, następnie jako profesor Uniwersytetu Zielonogórskiego. Tytuł profesora nauk humanistycznych otrzymał na podstawie postanowienia Prezydenta RP w roku 2005. Językoznawca, badacz współczesnej polszczyzny, chociaż zajmuje się też problematyką historycznojęzykową. Wydał m.in. *Językoznawstwo normatywne* (Warszawa 1993) i *Język w komunikowaniu* (Warszawa 2006) – książki, które w zasadniczy sposób wpłynęły na kształt współczesnej lingwistyki normatywnej i jej odniesień do praktyki. Jest ponadto językoznawcą praktykującym – popularyzatorem polszczyzny i kultury języka w mediach – także w internecie. Członek Rady Języka Polskiego przy Prezydium PAN. Od 25 lat przewodniczący Komitetu Okręgowego Olimpiady Literatury i Języka Polskiego.

Żaneta Cierach

Absolwentka Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Warszawskiego. Od 2017 r. pracownik WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze (drugi zastępca dyrektora).

Roman Czarnecki

Urodził się w 1950 r. Emerytowany policjant, członek Stowarzyszenia Miłośników Zielonej Góry „Winnica”, członek Zarządu Stowarzyszenia Lubuskiej Rodziny Katyńskiej, Międzynarodowego Stowarzyszenia Policji (IPA) Sekcja Polska w Zielonej Górze, słuchacz ZUTW Zielona Góra, Honorowy Członek Uniwersytetów Trzeciego Wieku w Sulechowie, Goleniowie i Kołobrzegu. Prowadzi spotkania autorskie z pisarzami, organizuje wystawy fotograficzne i malarskie oraz występy artystyczne na terenie Zielonej Góry i kraju. Autor wielu tekstów i wierszy. Interesuje się teatrem, muzyką, malarstwem i fotografią.

Jakub Domoradzki

Poeta, prozaik. Z wykształcenia filozof (UJ). Debiutował w 2. Antologii Stajni Literackiej SPP w Warszawie *Co jest pisane* (2016), a samodzielnie w tomiku *Wiersze, których nie lubi mój tata* (Mamiko, 2016) nominowanego do Nagrody Poetyckiej im. K.I. Gałczyńskiego Orfeusz w kategorii najlepszy tomik roku. Ponadto autor *Nie przysypuj gruszkami popiołu* (Liberum Verbum, 2017) oraz *Poety poślubnego* (Liberum Verbum, 2018). Współpracował z Pierwszym Programem Polskiego Radia (Redakcja Publicystyki i Redakcja Wiedzy i Edukacji), publikował także w „Gazecie Bieszczadzkiej”, Kwartalniku Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych „PUL” (poezja) oraz „Sądeczanie” (artykuły historyczne). Obecnie mieszka w Warszawie.

Władysław Edelman

Urodził się w Iłowej, od kilkudziesięciu lat mieszka i pracuje w Zielonej Górze. Autor opowiadań, tekstów satyrycznych, fraszek i limeryków nagradzanych na ogólnopolskich konkursach, m.in. w Bogatyni (Turniej Łgarzy), Przemyślu (Turniej Satyry „O złotą Szpilę”), Myślenicach (Konkurs Literacki „Fraszka Igraszka”), Zielonej Górze (Konkurs Literacki im. Anny German). Wielbiciel jazzu, Monty Pythona i Haruki Murakamiego.

Waldemar Elbanowski

Urodził się w 1952 r. w Zielonej Górze; absolwent Technikum Elektrycznego. Wykonywał wiele zawodów, m.in.: piłkarz, kelner, barman, przedsiębiorca, menadżer, stoczniovec, taksówkarz, agent ubezpieczeniowy, ogrodnik. Obecnie pracownik ochrony. Jego hobby to modelarstwo szkatuńskie. Pisanie wierszy to jego wielka pasja, mimo że poezją zajmuje się od niedawna. Uczestnik programu telewizyjnego pn. *Sanatorium miłości* (2. edycja).

Agnieszka Ginko-Humphries

Poetka i pisarka, laureatka ogólnopolskich konkursów poetyckich, tłumaczka. Publikuje pod nazwiskiem Ginko. Za poezję i prozę dla dzieci otrzymała w 2015 ogólnopolską Nagrodę Guliwer w Krainie Olbrzymów. Swoje wiersze publikowała w ogólnopolskich czasopismach literackich, a także w Wielkiej Brytanii (należała do grupy poetyckiej King's Poets), Czechach i Serbii. W 2017 opublikowała tomik wierszy *Kruche*, nominowany do Nagrody A.K. Waśkiewicza i Lubuskiego Wawrzynu Literackiego. Autorka pięciu książek dla dzieci: *Ciotka Klotka i inne historie* (Pascal, 2010, wyróżnienie w konkursie Książka Przyjazna Dziecku 2011), *Podróże Srebrnego* (Wilga, 2014, finał Konkursu Makuszyńskiego 2014), *Tutlandia* (Media Rodzina 2013, nominacja do nagrody Książka Roku 2013 IBBY), *Tutlandia – Niespodzianki* (Media Rodzina 2015, wyróżnienie FENIKS 2016 na Targach Książki w Warszawie) oraz *Bajek z dżungli i oceanu* (Media Rodzina, 2018, książka umieszczona na Liście BIS PS IBBY, polecana przez jurorki konkursu #książkaroku2018). Od 2014 r. mieszka w Zielonej Górze.

Piotr Gulewski

Student anglistyki na Uniwersytecie Zielonogórskim. Prozaik.

Halina Jerulank

Rusycystka, wieloletnia nauczycielka. Od paru lat zajmuje się pisaniem wierszy, rysowaniem. Publikuje w „Gazecie Lubuskiej”. Wydała tomik poetycki pt. *Przed Tobą* (2018) i *Dotykam Cię tylko myślami* (2019).

Dorota Kaczmarek

Urodziła się w 1961 r. Starszy kustosz, kierownik Działu Promocji w WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze. Przewodnicząca Zarządu Okręgu Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich w Zielonej Górze.

Beata Patrycja Klary

Rocznik 1976. Poetka, felietonistka, recenzentka literacka, animatorka kultury. Ukończyła Akademię Bydgoską (filologia polska) i Uniwersytet Zielonogórski (dziennikarstwo i bibliotekoznawstwo). Debiutowała jako nastolatka na łamach „Filipinki”, a po latach w „Pegazie Lubuskim”. Za debiut poetycki *Witraże* w 2005 r. nagrodzona dyplomem Lubuskiego Wawrzynu Literackiego. Felietony, recenzje i wiersze publikowała m.in. na łamach czasopism: „Topos”, „Arkadia. Pismo Katastroficzne”, „Kwartalnik Opolski”, „Pro Libris”, „Lamus”, „Bliza” (kwartalnik artystyczny), „Pegaz Lubuski”, „Nowe Zagłębie”, „Kozirynek”, „Znaj”, „Migotania, Przejasnienia”, „Twórczość”. W latach 2005-2006 należała do Grupy Literackiej „Wiązało”, związana z Europejskim Stowarzyszeniem Kultury Enclave. Współorganizatorka Ogólnopolskiego Festiwalu Poetyckiego im. Kazimierza Furmana. Od 2011 r. prowadzi cykl spotkań poetyckich w Gorzowie. Jest stypendystką Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego z dziedziny literatury. Laureatka wielu prestiżowych konkursów literackich. Za tom *Zabawa w chowanego* otrzymała Lubuski Wawrzyn Literacki (2011). W 2013 r. nominowana do Nagrody Literackiej m.st. Warszawy za tom *De-klaracje*. Laureatka Nagrody Otoczaka za rok 2014. Za tom *Obiekty totemiczne* otrzymała Lubuski Wawrzyn Literacki (2015).

Tomasz Kowalski

Urodził się w 1960 r. Ukończył studia na Uniwersytecie Zielonogórskim, na kierunku historia. Od 1978 r. pracuje w Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, obecnie w Dziale Oświatowym. Jest współautorem popularnego albumu *Winiarskie akcenty w architekturze Zielonej Góry* oraz licznych artykułów dotyczących dawnych widoków graficznych Zielonej Góry. Od 1984 r. związany z zielonogórskim środowiskiem kabaretowym. W latach 1988-90 występował w kabarecie Drugi Garnitur, a od 1994 r. jest członkiem kabaretu Ciach. Jest znawcą winiarstwa, lubuskiego i światowego, powoływany do jury konkursów winiarskich. Do jego zainteresowań należą ponadto historia Zielonej Góry, a szczególnie produkcja wina, dawna i obecna, oraz miejska ikonografia. Wolny czas najchętniej spędza w Łagowie Lubuskim.

Katarzyna Koziorowska

Urodziła się w 1990 r. w Olsztynie, gdzie mieszka do dziś. Ukończyła liceum ogólnokształcące o profilu humanistycznym. Od młodych lat próbuje pisać wiersze. Jest laureatką czołowych miejsc i wyróżnień w konkursach (m.in. w Ogólnopolskim Przeglądzie Twórczości Poetyckiej im. Jacka Kaczmarskiego „Rytmy nieskończoności”). Wydała drukiem pięć tomików (*Moje Anioły*, *Ani jednej tży*, *Ostatni sen*, *Za ścianą* oraz *Wiosnę przegapiłam*).

Alina Kruk

Absolwentka Wyższej Szkoły Inżynierskiej i podyplomowych studiów poznańskich UAM i AE. Od 1972 r. pracownik WSI w Zielonej Górze i w nadzorze inwestycyjnym. Od 1986 r. kierowała kolejno Urzędem Miar, Wojewódzkim Ośrodkiem Doskonalenia Kadr Administracji Rządowej Urzędu Wojewódzkiego i Zakładem Usług Szkoleniowych Izby Skarbowej w Zielonej Górze. W latach 1993-2000 organizowała szkolenia z zakresu protokołu dyplomatycznego i etykiety dla kadry kierowniczej. Organizowała ponadto studia podyplomowe z zakresu prawa administracyjnego i zarządzania kadrami w Zielonej Górze. Obecnie na emeryturze. Powraca do twórczości literackiej z młodości lat. Jest laureatką konkursów na wiersze i opowiadania. Publikuje m.in. w „Inspiracjach” i „Pro Libris”. Była liderka i członkini grupy literackiej OKSYMORON.

Eugeniusz Kurzawa

Urodził się w 1954 r. Absolwent WSP w Zielonej Górze, poeta, dziennikarz, redaktor książek i wydawnictw, animator kultury, prasoznawca. Wieloletni pracownik „Gazety Lubuskiej”, członek Związku Literatów Polskich (prezes honorowy Oddziału Zielonogórskiego). Uprawia głównie publicystykę, felietonistykę, wywiad, pisze eseje, szkice i recenzje literackie. Mieszka w Wilkanowie.

Artur Łukasiewicz

Magister filologii polskiej, pracował w Zakładzie Teorii Literatury na zielonogórskiej WSP, od ponad 20 lat dziennikarz. Od 2012 r. redaktor naczelny „Gazety Wyborczej” w Zielonej Górze, redaktor i współautor książki *Gazeta Wieku. XX i XXI wiek w Zielonej Górze i okolicach*.

Czesław Markiewicz

Urodził się w 1954 r. w Zielonej Górze; poeta, prozaik, krytyk literacki, eseista, wieloletni dziennikarz Radia Zachód. Autor tomików poetyckich, laureat wielu prestiżowych nagród literackich.

Krzysztof Martwicki

Prozaik, laureat licznych ogólnopolskich konkursów literackich (m.in. w Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukszty w Kargowej). Mieszka i tworzy w Płońsku.

Marcin Mielcarek

Student filologii polskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Pochodzi spod Kalisza, z miejscowości Plewnia. Fan piłki nożnej i motoryzacji, głównie w szwedzkim wydaniu.

Ewa Mielczarek

Urodziła się w 1961 r. w Gnieźnie. Absolwentka Uniwersytetu Wrocławskiego (nauki polityczne oraz bibliotekoznawstwo i informacja naukowa). Starszy kustosz, redaktor, kierownik Działu Wydawnictw WiMBP im. Cypriana Norwida. Sekretarz redakcji czasopisma „Pro Libris”.

Klaudiusz Mirek

Urodził się w 1991 r.; z wykształcenia edytor, obecnie student filologii polskiej. Pasjonat literatury posthumanistycznej, fantastyki, poezji oraz eseistyki. Interesuje się wykorzystaniem teorii językoznawczych w literaturoznawstwie i budową światów allotopicznych. Mieszka w Zielonej Górze.

Igor Myszkiewicz

Urodził się w 1974 r.; ilustrator książek i gier fabularnych, autor komiksów, m.in. krzepiącej internetowej serii „Kryzys Wieku” – wesołej i pogodnej, jak i reszta jego twórczości. Pomysłodawca i ilustrator antologii opowiadań fantastycznych *Fantazje Zielonogórskie*. Od ponad dwóch dekad w szeregach Zielonogórskiego Klubu Fantastyki Ad Astra, nieco krócej w Stowarzyszeniu Forum Art. Na co dzień kustosz i plastyk w zielonogórskim Muzeum Ziemi Lubuskiej; autor (a czasem współautor) publikacji o lubuskim środowisku kulturalnym i dziejach Zielonej Góry.

Alina Polak-Woźniak

Ukończyła studia historyczne na Uniwersytecie Zielonogórskim, pracę doktorską pod kierunkiem prof. Kazimierza Bobowskiego z zakresu dyplomatyki obroniła w 2011 r. Pracuje w Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze. Do najważniejszych wystaw, jakie zorganizowała, należą: *Dawne zielonogórskie restauracje; Panie i Panowie, trzymajcie kapelusze!!/Dámy a Pánové, držte si klobouky! Wystawa ze zbiorów Muzeum w Nowym Jicinie; Archivum Grünbergensium. Zielonogórskie manuskrypty z lat 1382-1799 ze zbiorów Archiwum Państwowego w Zielonej Górze; Muzeum Ziemi Lubuskiej oraz kolekcji prywatnych; Dawne zielonogórskie atelier fotograficzne 1858-1945*. Specjalizuje się w paleografii neogotyckiej oraz odczytywaniu rękopisów (ulubiony okres: XVI-XVII w.). Jej hobby to nauki kryminalistyczne, detektywistyka, a w wolnym czasie uczy się języka japońskiego.

Anna Polus

Zastępca dyrektora WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, starszy kustosz, członek rady wydawniczej, trener prowadzący szkolenia dla bibliotekarzy, koordynator inicjatyw w zakresie wspierania i promocji książki, czytelnictwa wśród mieszkańców Zielonej Góry, zwłaszcza przedsięwzięć dla dzieci i młodzieży. Moderatorka spotkań w ramach Czwartków Lubuskich. Od lat związana z kulturą Zielonej Góry i województwa lubuskiego. Animator kultury, członek Stowarzyszenia Kozzi Film Festiwal w Zielonej Górze, członek i przewodnicząca Rady Muzeum Etnograficznego w Zielonej Górze zs. w Ochli, wykładowca na studiach podyplomowych z zakresu bibliotekoznawstwa i informacji naukowej.

Marcin Radwański

Urodził się w 1978 r. Wielbiciel kryminałów, literatury obyczajowej i poezji. Autor książki z wierszami pt. *Czekając na...* (2015), zbioru opowiadań pt. *Skok w przepaść* (2015), *Miłość* (2019) oraz powieści kry-

minalnych: *Nieprzypadkowa ofiara* (2015), *Nie odrzucaj mnie* (2016), *Danie główne* (2017), a także powieści obyczajowej *Natalia Carpetieri* (2018). Stypendysta Prezydenta Zielonej Góry w dziedzinie literatury za rok 2013. Współpracuje z kwartalnikiem literacko-kulturalnym „Pro Libris” i czasopismem „Moja Przestrzeń Kultury”. W 2017 r. otrzymał Lubuski Laur Literacki na gali Wawrzynów Literackich w kategorii sensacja, za książkę *Danie główne*. Wiceprezes Zarządu zielonogórskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Bibliotekarz w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Cypriana Norwida. Mieszka w Zielonej Górze.

Maria Radziszewska

Bibliotekoznawca, historyk, starszy kustosz w Dziale Zbiorów Specjalnych WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze. Kuratorka wystaw. Sekretarz Otwartego Międzynarodowego Konkursu na Rysunek Satyryczny. Interesuje się malarstwem i wzornictwem przemysłowym XX w.

Bogumiła Różewicz

Urodziła się w 1961 r. w Zielonej Górze. Poetka, członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Debiutowała książką poetycką *Welon na fali* w 2011 r. Jej wiersze były prezentowane w *Radiowej książce poetyckiej* (Radio Zachód), w antologiach (*Pióro na niebie, Dotyk nadziei*) i w prasie literackiej. Jej poezja została przetłumaczona na język niemiecki i ukraiński.

Ewa Rutkowska

Z Gorzowem związana od 1984 r. Absolwentka Studium Kultury Dorosłych w Poznaniu i Pedagogiki Kultury na WSP w Szczecinie. Pracując w WDK, zajmowała się amatorskim ruchem artystycznym (m.in. przeglądy rejonowe i wojewódzkie we wszystkich dziedzinach sztuki, konkursy recytatorskie). Była współorganizatorem Ogólnopolskiego Spotkania dla nieprofesjonalnych twórców piosenki SMAK. W 1998 r. powołała w WDK Klub Literacki pod nazwą Poeci Okrągłego Stołu. Współpracownik Wydawnictwa Artystyczno-Graficznego „Arsenal” i Gorzowskiego Internetowego Informatora Kulturalnego (GIKK). Obecnie współpracuje z czasopismem „Pegaz Lubuski” i Portalem Milepress. Od 2004 r. na emeryturze.

Agnieszka Sobiak

Urodziła się w 1972 r. w Zielonej Górze. Specjalista public relations, redaktor Polskiego Radia, szkoleniowiec, wykładowca. Ukończyła Wydział Politologii, specjalność: dziennikarstwo w Wyższej Szkole Stosunków Międzynarodowych i Amerykanistyki w Warszawie oraz Wydział Pedagogiczny, specjalność: public relations w Wyższej Szkole Społeczno-Ekonomicznej w Warszawie. Obecnie pracuje na stanowisku specjalisty ds. szkoleń i promocji nowych idei bibliotecznych w WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze.

Czesław Sobkowiak

Urodził się w 1950 r. w Jaromierzu; absolwent polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim, poeta, autor kilkunastu tomików poetyckich i tomu prozy *Rzeka powrotna*, krytyk literacki, współpracownik regionalnych i ogólnopolskich pism literackich. Mieszka w Zawadzie (Zielona Góra).

Tomasz Stefaniuk

Urodził się w 1973 r.; jest pracownikiem naukowym Uniwersytetu im. M. Curie-Skłodowskiej w Lublinie, Wydz. Filozofii i Socjologii, zatrudnionym na stanowisku adiunkta ze stopniem dra habilitowanego. Obszary specjalizacji: filozofia, nauki o kulturze, orientalistyka. Jest autorem dwóch monografii naukowych (poświęconych filozofii rosyjskiej i filozofii arabskiej), znacznej liczby artykułów naukowych i rozdzia-

łów w monografiach naukowych. Oprócz zatrudnienia na uczelniach polskich (UMCS w Lublinie, niegdyś dodatkowo również Uniwersytet Jagielloński w Krakowie), wykładał również na uczelniach tureckich (w 2018 r.).

Piotr Szczepański

Urodził się w 1967 r. w Warszawie. Absolwent Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie (mgr historii kultury) oraz Wyższej Szkoły Stosunków Międzynarodowych i Amerykanistyki w Warszawie. Publikował na portalach Fabryka Librorum i Portal Pisarski. Dotychczas wydał dramat pt. *Thora boga burzy i piorunów poszukiwanie szczęścia i zgubionego młota Mjollnira* (wydawnictwo Studio Moema). Podróżnik, wielbiciel muzyki i atmosfery południa. Z wykształcenia kulturoznawca i politolog, z zamiłowania peregrinator ludzkiej natury. Efekty tych podróży zamyka między słowami.

Anna Urbańska

Zawodowo zajmuje się public relations. Pracowała jako dziennikarz, manager ds. marketingu i PR oraz nauczyciel. Inicjatorka i współorganizatorka rozmaitych akcji promocyjnych i wizerunkowych. Trener szybkiego czytania i technik pamięciowych. Realizuje się także w pracy twórczej z dziećmi i młodzieżą. Miłośniczka Tatr, wędrowek po górach oraz tenisa ziemnego.

Grzegorz Żegleń

Urodził się w 1972 r. w Szprotawie. Poeta, nauczyciel, dziennikarz. Publikował w prasie regionalnej i ogólnopolskiej, w almanachach poetyckich (*Schuflada*, *Rozpoznani spośród*, *Poddasze poetów*). Debiutował tomikiem *W lustrze ciszy* (1995), a w 2006 wydał kolejny zbiorek *Taką cię zapamiętam*. Redaktor almanachu poetyckiego *Pierwszy krok*. Jego wiersze prezentowane były w *Radiowej księżce poetyckiej*, a także w TVP 1 (program *Radość*). Twórca happeningu artystycznego *Deszcz pieniędzy*. Autor tekstów piosenek (płyta *Młodość ze słońcem na ty*). Producent i współrealizator płyty *Crepitus Versuum*. Zwycięzca konkursowego projektu *#zaSztukaj Słowa w obrazie miasta* dofinansowanego przez Narodowe Centrum Kultury. Autor instalacji poetyckich w przestrzeni miejskiej *Przenikanie*, *Labiryntu Żeglenia* oraz galerii przechodniej *Między słowem a obrazem*. Członek grupy poetyckiej Die Huelle oraz Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Mieszka w Małomicach.





Cena 10,50 zł (w tym 5% VAT)

ISSN 1642-5995



L PRO
LIBRIS